



Susan Howatch



Weekend w Londynie

Tytuł oryginału: Call in the Night

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Telefon z Europy odebrałam po południu jednego z tych długich, migotliwych dni w pełni lata, kiedy najdalsze krańce alei rozmywają się w mgiele, a drapacze chmur więżą duchotę w dole ulic. Gdy tylko przywlokłam się do domu z bezsensownego oglądania wystaw sklepowych przy Piątej Alei, podeszłam do klimatyzatora, nacisnęłam guzik i stałam dłuższą chwilę przed wentylatorem, wyglądając przez okno. Osiemnaście pięter pode mną przechodnie snuli się chodnikiem, na skrzyżowaniach skwierczał ruch; dwadzieścia przecznic dalej, na północny zachód, krążył po niebie helikopter, aż w końcu podszedł ostrożnie do lądowania na dachu budynku Pan Amu. Przypominał wybredną muchę, która bada kawałek biszkoptowego ciasta.

Odwróciłam się, odeszłam od okna i otworzyłam drzwi klitki, którą właściciele mieszkania z nadmiernym optymizmem nazwali kuchnią. W lodówce znajdowała się puszka soku limonowego; pod zlewem stała mała butelka dzinu, którą zawsze trzymałam dla niespodziewanych gości, chociaż sama nie wiem dlaczego, bo żadna z moich koleżanek nie miała pociągu do alkoholu, a ja nie doszłam jeszcze do tego, żeby sobie dyskretnie popijać. Uznałam jednak, że zawsze muszę mieć w domu nie napoczętą butelkę dzinu, odkąd kilka miesięcy wcześniej wpadłam w zakłopotanie, nie mogąc zaproponować zaproszonemu mężczyźnie nic mocniejszego od piwa imbirowego. Ponieważ byłam wykończona i padałam dosłownie z nóg w tym upale, wyjęłam teraz tę butelkę dzinu i nalałam sobie skromną miarkę do szklanki, w której czekały już kostki lodu i sok limonowy. Ów grzeszek picia w samotności wywołał figlarny uśmiech na mojej twarzy. Pomyślałam, jak by ten widok wstrząsnął moimi rodzicami. Oboje byli całkowitymi abstynentami, filarami nader szacownej niewielkiej społeczności w New Hampshire w Nowej Anglii; ojciec nie chciał nawet hodować jabłek na naszej małej farmie, bo tak wielką odrazę budził w nim zwykły jabłecznik.

Westchnęłam, na poły rozdrażniona, na poły rozżalona swoimi wspomnieniami. Ten rozdział mojego życia był już zamknięty, a chociaż brakowało mi rodziców i często tęskniłam za wiejskimi zakątkami New Hampshire, w gruncie rzeczy błogosławiłam los za to, że uwolniłam się spod surowej dyscypliny wychowania w Nowej Anglii. Ale nawet teraz czasem zastanawiałam się, czy aby na pewno się wyzwoliłam. Mimo

swoich dwudziestu ośmiu lat, z tego trzech spędzonych w Nowym Jorku, wciąż katowałam się poczuciem winy, kiedy kupiłam sobie jakiś bardziej frywolny ciuch, i zadreślałam się jak idiotka, gdy topniało mi konto w banku.

„Kochana, jaka ty jesteś rozsądna! — mawiała zawsze Gina. — Chciałabym być choć trochę podobna do ciebie!”

Ale nie była. Była zupełnie inna. Tak bardzo się różniłyśmy, że doprawdy nie wiem, jak udało nam się utrzymać tak bliską więź po śmierci rodziców. Była pięć lat młodsza ode mnie, zatem pięć lat krócej podlegała wpływom Nowej Anglii. Kiedy pracowała w Nowym Jorku, sumienie kazało mi otaczać ją siostrzaną troską, ale po jakimś czasie dałam sobie spokój. Za bardzo mnie to męczyło, poza tym chciałam ukrócić te wieczne kłótnie między nami, kiedy krytykowałam jej wady. Nasze drogi się rozeszły. Wątpliwa nagroda za to spotkała mnie później, kiedy Gina przeniosła się do Hollywood, skąd zaczęły napływać stopy nagryzmołonych naprędce listów na temat jej pracy i wielce pogmatwanego życia miłosnego. Najwyraźniej moja wynikająca z tolerancji rezygnacja, którą rodzice uznaliby niewątpliwie za tchórzostwo, za ucieczkę od problemów moralnych, skłoniła Ginę do tego, żeby obsadzić mnie w roli swojej powierniczki. Poczta z Kalifornii nadchodziła bardzo regularnie. Z początku Gina usiłowała dzwonić na mój koszt, ale nie przyjąłam tego zbyt przychylnie.

— Najwyżej trzy minuty — oświadczyłam. — Przykro mi, ale jestem teraz w dołku finansowym i na więcej nie mogę sobie pozwolić. Już i tak na drugie śniadanie jem tylko jogurt. Nie chcę być zmuszona jeść go i na obiad.

— Ależ kochana, to niemożliwe, żebyś klepała taką biedę! — Przyznam, że ujął mnie niepokój w jej głosie wyrażającym prawdziwe zatroskanie. — Musisz chyba zarabiać krocie, ucząc te potworne bachory...

— W każdym razie nie tyle, ile ty dostajesz za jedną trzydziestosekundową reklamę mydła — wy waliłam jej kawę na ławę. Zaraz jednak poczułam skrupuły, lęk, że posądzi mnie o skąpstwo, toteż pozwoliłam jej gadać dziesięć minut, odkładając tym samym na później zakup albumu Antoniusz i Kleopatra.

Gina wszakże pojęła aluzję i zaraz potem zaczęły nadchodzić listy. Z czasem uznałam, że chyba minęłam się z powołaniem i że powinnam

prowadzić dział porad dla kobiet w rozterce. Sama nie wiem, co ci zalecić — napisałam bezradnie w odpowiedzi na jeden z jej pierwszych listów. — Podejrzewam, że moje uwagi na nic Ci się nie zdadzą. W ogóle nie rozumiem, jak możesz, wyłącznie z powodu dzielących nas pięciu lat, przypisywać mi taką wszechstronną znajomość związków i problemów międzyludzkich.

Bo jesteś taka roztropna! — krzyczało pióro Giny, roniąc fioletowe atramentowe łzy na różowy papier. — Bo tak trzeźwo myślisz! Gdybyś wiedziała, jak w tym szalonym, zwariowanym, pokrętnym, drapieżnym mieście krzepi mnie świadomość, że gdzieś tam jest życzliwa dusza, która reprezentuje rozsądek i zachowuje się normalnie...

Sądzę, że stałam się dla niej substytutem matki, symbolem, jakkolwiek niedoskonałym, uładzonego świata zapamiętanego z dzieciństwa. Choć Gina za nic nie wróciłaby do rygoru życia z Nowej Anglii, pocieszała się myślą, że gdyby za nim zatęskniła, on tam zawsze istnieje.

Po kilku miesiącach tej osobliwej korespondencji pojęłam, że moja siostrzyczka jest mi teraz znacznie bliższa niż wtedy, gdy obie mieszkałyśmy w Nowym Jorku; rozłąka czyni cuda. Kiedy wpadła do mnie w drodze do Paryża, gdzie miała podjąć pracę jako modelka, spędziłyśmy razem cudowny tydzień. Gdy jednak przyszło nam się znów rozstać, nie wypierałam się przed sobą, że przyjmuję to z pewną ulgą. Czułam się jak spokojny, stateczny dom przy spokojnej, obsadzonej drzewami ulicy w spokojnym miasteczku, porwany nagle przez tornado i uniesiony do góry, dom, który okręcił się trzy razy w powietrzu, po czym spadł w to samo miejsce z takim hukiem, aż jęknęła ziemia.

Owego dnia na początku lipca, kiedy wróciłam spacerkiem z miasta, oglądając wystawy przy Piątej Alei, Gina już od pół roku bawiła w Paryżu. Spotkałam się na obiedzie z dawną koleżanką ze studiów. Wyszłam z domu jeszcze przed nadejściem poczty, której w soboty nigdy nie roznoszono przed dwunastą w południe. Kiedy wróciłam o czwartej, omal nie zapomniałam zajrzeć do skrzynki, ale na szczęście coś mnie tknęło i rzeczywiście czekała tam znajoma koperta lotnicza zaadresowana na fioletowo znajomym chwiejnym pismem pod znajomymi francuskimi znaczkami. Przyrzędziłam sobie Występny koktajl z cytryną, po czym uwalilałam się na kanapie, zrzuciłam pantofle i położyłam wysoko nogi. Ze szklanką w jednej ręce i listem od Giny w drugiej wyciągnęłam się

wygodnie, przybierając swoją ograna już rolę doradczyni, filozofki i przyjaciółki.

Zaczynał się tak jak zwykle. Wedle Giny był to „tylko króciutki liścik”. Westchnąwszy z rezygnacją, zaczęłam liczyć kartki pełne wijących się fioletowych gryzmołów i zawijasów, ale ciekawość wzięła górę, toteż wróciłam do początku.

...to tylko króciutki liścik, kochana, słowo honoru, piszę na kolanie, odchodzę dosłownie od zmysłów, bo właśnie powinnam być w trzech różnych miejscach naraz, och! Moje życie przypomina jeden wielki młyn, wciąż usiłuję z czymś zdążyć, czasem wołałabym być na Twoim miejscu, kochana, słowo honoru, bo masz taką miłą, stałą pracę z regularną pensją, no i to śliczne gniazdko z widokiem na centrum Manhattanu, czasem naprawdę wołałabym znów mieszkać w Nowym Jorku, gdzie są bistra śniadaniowe, knajpki z pizzą, bary i ten skwar bijący od chodników, który wybiega człowiekowi na spotkanie, bo chociaż Paryż jest tak olśniewający, tak podniecający i tak szykowny, wiecznie tu tylko pada, poza tym mogą się trochę znudzić ci jurni Francuzi podszczypujący pupy dziewczynom w metrze. Ale skoro już mowa o mężczyznach, to właśnie trafiłam na najbardziej czarujący okaz tego gatunku. Nie ma on nic wspólnego ze światem mody ani fotografii, poza tym nie jest nawet Francuzem, bo — z ręką na sercu, kochana — po sześciu miesiącach dojrzałam chyba do zmiany narodowości pod względem romansowania, mam więc zamiar zaniechać wszelkich flirtów z południowcami. Mój najnowszy skarb jest Brytyjczykiem, chociaż nie ma w sobie nic z jegomościa w meloniku ani obdartusa z Carnaby Street (możesz w to nie wierzyć, ale istnieją też inne odmiany!) Nazywa się Garth Cooper. Chyba nie jest żonaty, chociaż nie wiem, jak mógł się tak długo uchować, bo ma około trzydziestu pięciu lat i niczego mu nie brakuje, wręcz przeciwnie, co odkrywam ostatnio, kiedy się razem wypuszczamy na miasto. O właśnie, nie dalej jak wczoraj wieczór zrobiliśmy taki wypad i ZGADNIJ, kto nam się napatoczył! No zgadnij! Wżyciu nie zgadłabyś— Warren Mayne! Wyobraź sobie, że podszedł i pocałował mnie, jakby nadal był moim narzeczonym. Niektórzy to mają tupet, co? Omal się nie spaliłam ze wstydu, nie śmiałam nawet spojrzeć na Gartha, ale jego to tylko rozbawiło i już po wszystkim powiedział, że pewno Warren przyjechał specjalnie do Paryża, żeby się ze mną zejść. Oczywiście zaprzeczyłam, ale w duchu zaczęłam się nad tym zastanawiać. Jeżeli Warren rzeczywiście przyjechał

dla mnie do Paryża, to chyba ciut przesadzili Cholernie by mi skomplikował życie, w ogóle odrzucam taką myśl, bo moje życie już jest wystarczająco skomplikowane. Czasem marzę o tym, żebyś tu była ze mną, bo wyprowadziłabyś mnie na czyste wody — nawiasem mówiąc, czy rok szkolny przypadkiem już się nie skończył? Jakie masz plany wakacyjne? Mogłabyś wyciągnąć zbywające Ci dolary ze swojego pęczniejącego konta bankowego i zafundować sobie podróż do Paryża. Kończę już, kochana, muszę pędzić, całuję, trzymaj się i w ogóle.

Gina.

Ponownie westchnęłam i sącząc dżin zadumałam się nad tajemnicą powabu erotycznego. Gina i ja jesteśmy dość podobne z wyglądu — a w każdym razie byłyśmy, dopóki moja siostrzyczka nie zaczęła nosić sztucznych rzęs i nie wykreowała się na modelkę z zapadniętymi policzkami — tyle że Gina ma w sobie bez wątpienia tajemniczość, której mnie zupełnie brakuje. Nie wierzę, że owa tajemniczość tkwi jedynie w sztucznych rzęsach, podejrzewam raczej, że w grę wchodzi tu jakieś niezwykle połączenie cech dziedzicznych naszych całkiem zwyczajnych rodziców. Cokolwiek jednak to było, raziała mnie ta jawna niesprawiedliwość. Ale w końcu nie jestem taka głupia, żeby oczekiwać od życia sprawiedliwości. Dawno już pogodziłam się z tą podstawową prawdą, toteż zawsze złościła mnie własna naiwność, kiedy po raz kolejny zazdrościłam Ginie szczęścia.

Czyżbym — myślałam z obrzydzeniem — chciała przypadkiem zostać modelką? A niech Gina ma sobie to wszystko: Paryż, mężczyzn i futra z norek! Mnie wystarczyły płyty z nagraniami Szekspira, moje koleżanki i muzeum Metropolitan w niedziele; lubiłam swoją pracę, miałam własne mieszkanie, a jeżeli nie rozpuszczę oszczędności i wkrótce dostanę podwyżkę, to może niebawem będzie mnie stać na małego czerwonego volkswagena...

Przez kilka minut wyobrażałam sobie, że wsiałam do własnego samochodu, a portier z uśmiechem przytrzymuje mi jego otwarte drzwi, ale zaraz ocknęłam się, znalazłam papier, pióro i zasiadłam do pisania. Zawsze łatwiej mi było odpowiadać na listy Giny, kiedy zdobyłam się na to, żeby odpisać na świeżo, pod wpływem pierwszego impulsu. Wypisywanie po kilku dniach, z zimną krwią, epistoł od doradczyni filozofki-przyjaciółki przekraczało moje siły.

Kochana Gino — zaczęłam, machając szybko piórem po papierze. — Co za mętlik w tym Twoim liście, chociaż i mnie się pewnie czasem zdarza taki chaos. Ale pozwól, że opowiem Ci wszystko po kolei.

1) Wiesz doskonale, że wolisz biegać po Paryżu w deszczu, niż dusić się w Nowym Jorku przy trzydziestostopniowym upale i wilgotności sięgającej dziewięćdziesięciu procent, nie licz więc na moje współczucie w tej materii.

2) Jeżeli metro stanowi takie zagrożenie dla co bardziej wrażliwych części Twojego ciała, to korzystaj z autobusów i od razu zajmuj miejsce siedzące.

3) Ten trzydziestopięcioletni Anglik jakoś nie budzi mojego zaufania. Dlaczego obija się po Paryżu i szasta pieniędzmi? Poza tym nie bardzo rozumiem Twoje określenie, że „chyba” jest nieżonaty. Zupełnie jakbyś myślała, że może jest żonaty. Jeżeli tak, pożegnaj się z nim czule, bo inaczej za pół roku będziesz musiała mi się wypłakiwać w mankiet, i to przez telefon, przez międzynarodową, kiedy facet nagle postanowi wrócić do żony.

4) Masz pecha z tym Warrenem. Jeżeli nie chcesz się z nim więcej spotykać, jest na to prosty sposób: zwyczajnie mu to powiedz.

5) Chętnie odwiedziłabym Paryż, ale właśnie przymierzam się do kupna tego małego czerwonego samochodziku, o którym Ci mówiłam, kiedy tu byłaś zeszłej zimy. Może za rok? Nie mam żadnych ambitnych planów wakacyjnych, najwyżej tydzień w Bostonie z Sue i jej mężem, a potem tydzień w Martha's Vineyard w domku letniskowym Nancy...

Przerwałam, żeby przeczytać, co dotąd napisałam. Dopięłam swój koktajl. Właśnie brałam pióro do ręki, żeby pisać dalej, kiedy zadzwonił telefon.

Sięgnęłam za siebie i złapałam słuchawkę, przewracając przy tym pustą szklanekę.

— Tak? — odezwałam się wytrącona z równowagi, podnosząc szklanekę i blok listowy, który zsunął mi się z kolan na podłogę. — Słucham?

— Czy to pani Claire Sullivan?

— Przy telefonie — odparłam cicho, stropiona nieznajomym męskim głosem i szumem międzymiastowej.

— Tu Londyn, Anglia. Czy przyjmie pani rozmowę z Ginią Sullivan na swój koszt?

Tak mnie to zaskoczyło, że zapomniałam się nawet rozzłościć na siostrę, która znów próbowała wpędzić mnie w koszty.

— Londyn? — spytałam osłupiała. — Londyn w Anglii?

— Tak, proszę pani. Czy mam... — urwał uprzejmie. Nie sposób było nie poznać brytyjskiej galanterii. Ani brytyjskiego akcentu.

— Tak — rzuciłam prędko. — Tak, przyjmę tę rozmowę. Dziękuję.

— Proszę mówić.

— Gina? — spytałam z niedowierzaniem. — Gina, co ty w ogóle robisz w...

Ale ona wcale mnie nie słuchała, tylko wyrzucała coś z siebie napiętym głosem, załamującym się ze strachu, dyszała do słuchawki wśród łkań i szlochów, toteż po chwili i mnie się udzieliło jej przerażenie.

— Och, Claire, Claire, proszę cię, przyjedź — łkała. — Błagam cię, przyjedź, Claire. Och, Claire, mam tak potworny, koszmarny kłopot, że nie wiem, co począć... Claire, musisz przyjechać, zaklinam cię... nie wiem, co robić...

— Gino, posłuchaj! Gdzie ty, na litość boską, jesteś? Co się stało? Co... Gino, jesteś tam? Gino...

Nic więcej jednak nie usłyszałam, jedynie długie, głucho milczenie, a potem przez tych pięć tysięcy kilometrów doleciał mnie cichy trzask odkładanej słuchawki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Buczenie przy uchu w następstwie przerwanej rozmowy przyjął z oszołomieniem graniczącym z niedowierzaniem. Wpatrywałam się w głuchy telefon i wsłuchiwałam w monotony szum jak sparaliżowana, wkrótce jednak oprzytomniałam. Zadzwoiłam do centrali i poprosiłam o połączenie z międzynarodową.

— Przed chwilą rozmawiałam z Londynem, ale połączenie zostało przerwane... — Nie mogłam zebrać myśli, zaczęłam się jąkać w odpowiedzi na pytania zadawane przez telefonistkę: — Nie, nie znam numeru w Londynie... tak, gdyby była pani uprzejma sprawdzić...

Odłożyłam słuchawkę, odczekałam, zrobiłam sobie jeszcze jeden koktajl na dzinie. Wreszcie, kiedy już sądziłam, że nie zniosę dalszego oczekiwania, telefon znów zadzwonił.

— Dzwoniono z prywatnego mieszkania, Hereford Mansions 16, London W8 — zakomunikowała mi telefonistka. — Numer: Kensington 2127. Telefon jest zarejestrowany na nazwisko pana Erica Jantzena. Przeliteruję pani: J-A-N-T-Z--E-N. Czy mam spróbować panią połączyć?

— Bardzo proszę.

Mój ołówek szeleścił po papierze, nanosząc informację podaną przez telefonistkę.

— Kogo mam prosić?

— Ginę Sullivan — powiedziała i przeliterowała nazwisko.

— Jedną chwileczkę.

Czekałam w napięciu. Najpierw usłyszałam, jak telefonistka wykręca numer, a potem jak dzwonek brzęczy hen w oddali.

— Usiłuję panią połączyć — zapewniła mnie telefonistka.

— Dziękuję.

Dzwonek nie przestawał dzwonić.

— Wciąż próbuję — powtórzyła telefonistka.

— Dziękuję. Nastąpiła długa przerwa.

— Bardzo mi przykro — oświadczyła panienka z centrali. — Nikt się nie zgłasza. Czy mam spróbować później?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. W końcu wykrztusiłam:

— Nie, dziękuję. Ale czy mogłaby pani sprawdzić jeszcze raz adres? Moja siostra nigdy nie wspominała o człowieku nazwiskiem Erie Jantzen. Chciałabym się upewnić, czy nie zaszła tu jakaś omyłka.

— Oddzwonię — odparła telefonistka bezosobowo jak automat i odłożyła słuchawkę.

Ja też odłożyłam i siedziałam, wpatrując się w szklankę. A jeżeli później też nikt się nie zgłosi? Co robić? Uznałam, że poczekam do północy, a potem, jeżeli nie zdołam się skontaktować z Giną albo jeżeli ona sama nie zadzwoni... Aż mi ścierpła skóra na głowie. Co wtedy? Nie ma sensu dzwonić na miejscową policję w sprawie czegoś, co wydarzyło się w Londynie. Jeśli jednak zadzwonię do policji londyńskiej, skontaktuję się ze Scotland Yardem... Usiłowałam wyobrazić sobie przebieg takiej rozmowy.

„Właśnie odebrałam telefon od swojej siostry z Londynu — powiem im. — Dzwoniła przerażona, niemal w hysterii. Ale połączenie zostało przerwane i teraz nie mogę się do siostry dodzwonić. Czy mógłby pan wysłać kogoś pod ten adres, do mieszkania Erica Jantzena, i sprawdzić, czy nic jej się nie stało?”

Czy wypada zwracać się do Scotland Yardu, jeżeli ktoś się niepokoi o swoich krewnych? Przećwiczyłam w myślach nieco bardziej dramatyczny wariant: „Obawiam się, że coś strasznego przydarzyło się mojej siostrze. Przerwano nam rozmowę w pół zdania, brzmiało to zupełnie tak, jak gdyby ktoś” ją uciszył...”

Nie było to jednak zgodne z prawdą. Gina nie wspominała bynajmniej o zagrożeniu, lecz o „kłopotach”. Jeżeli nawet przerwał jej ktoś, kto ją uciszył, a potem odłożył słuchawkę, to wcale nie dała mi tego do zrozumienia. Nie słyszałam żadnego wrzasku ani krzyku grozy, jedynie histerię, którą, zapewne mylnie, wzięłam za panikę wynikłą z przerażenia. Postanowiłam zmienić podejście do Scotland Yardu i wyobraziłam sobie następującą rozmowę:

„Odebrałam bardzo niepokojący telefon z mieszkania niejakiego Erica Jantzena. Dzwoniła moja siostra, miała histeryczny głos, najwyraźniej była potwornie przerażona... uważam, że należy koniecznie sprawdzić, co tam zaszło...”

Wtedy jednak pracownik Scotland Yardu przerwie mi pytaniem: „Co pani siostra porabia w Londynie? Co ją łączy z Erikiem Jantzenem?”

„Nie mam pojęcia, wiem tylko, że przyjaźniła się z jakimś Anglikiem o nazwisku Garth Cooper”.

„Powiada pani, że siostra jest zawodową modelką?” — zagadnie mnie oficer dyżurny.

„Tak, ale...”

„Czy nie wyklucza pani możliwości, że przyczyną hysterii jest kryzys spowodowany, dajmy na to, przebiegiem jej związku z którymś z tych panów albo z obydwoma?”

„Właściwie to nie wykluczam, ale...”

„Czy siostra powiedziała pani wprost, że się boi? Albo że coś jej grozi?”

„Nie, ale...”

„A jak się dokładnie wyraziła?”

Wzdrygnęłam się. Nie musiałam sobie nawet wyobrażać komentarza pracownika Scotland Yardu na temat przytoczonych słów. Nadal łamałam sobie głowę, czy mimo wszystko nie powinnam tam zadzwonić, kiedy telefon znów się odezwał. Dzwoniła pani z centrali, żeby potwierdzić nazwisko i adres pana Jantzena. Kiedy odłożyłam słuchawkę, natchnęła mnie genialna myśl. Podeszłam do biurka w drugim kącie pokoju, wyciągnęłam notes i znalazłam numer telefonu Giny W Paryżu. Wynajmowała tam mieszkanie do spółki z inną Amerykanką o imieniu Candy-Anna, której nigdy zresztą nie poznałam; wryła mi się w pamięć ekscentryczna hybryda jej imienia, ale nazwisko dawno zapomniałam. Znów więc rozmawiałam z centralą międzynarodową, prosząc o kolejne połączenie z Europą.

Tym razem bardziej mi się poszczęściło. Telefon odebrała dziewczyna o rozmarzonym głosie, sączącym się jak słodki syrop. Tchnęła melodyjne „halo” do słuchawki i powiedziała:

— Proszę mówić.

— Candy-Anna? — zapytałam.

— Taak... — dziewczyna zawiesiła głos, uprzytomniwszy sobie, że nie rozmawia z mężczyzną zapraszającym ją na randkę. — A kto mówi?

— Claire, siostra Giny, z Nowego Jorku. Właśnie...

— Och, cześć! Tyle o tobie słyszałam! Akurat wczoraj Gina opowiadała mi...

— Właśnie usiłuję ją odnaleźć — przerwałam jej niezbyt elegancko, ale nie zareagowała na moją obcesowość. — Nie wiesz przypadkiem, gdzie się zatrzymała w Londynie?

— Skąd w ogóle wiesz, że jest w Londynie? Bo dopiero wczoraj podjęła decyzję...

— Gdzie ona może być?

— Nie bardzo wiem... Wyjechała ze swoim przyjacielem, mówię ci, co za wspaniały, przewspaniały mężczyzna! Z pewnością i na tobie wywarłby wrażenie...

— Garth Cooper?

— To ty go znasz? Prawda, że to najbardziej...

— Nie, nie miałam przyjemności. Wiesz gdzie on mieszka w Londynie?

— O raju, nie wiem. A czy to ważne? Gina wraca w poniedziałek. Wyjechała tylko na weekend i mówiła, że...

— Czy wspominała ci o panu Ericu Jantzenie?

— Ericu... i jak dalej? Oj, kochana, nie pamiętam! Gdybyś wiedziała, ilu cudownych facetów po prostu wisi u klamki Giny... — Cierpkość stonowała na chwilę słodczy syropu, zaraz jednak znikła. — Bardzo mi przykro, ale naprawdę nie pamiętam. Chyba nic nie mówiła o żadnym Ericu, ale mogło mi wypaść z głowy. Bo ja łatwo zapominam. Nie wyobrażasz sobie, jaką mam dziurawą pamięć... A powiedz mi, co słyhać w Nowym Jorku? Która jest teraz u was godzina? Interesuje mnie każdy szczegół!

Nie za trzy dolary za minutę, pomyślałam ze zgryźliwym rozbawieniem, ale poinformowałam ją uprzejmie, że w Nowym Jorku jest popołudnie, ładna pogoda, że bardzo jej jestem wdzięczna za pomoc i mam nadzieję, że się kiedyś poznamy. Zakończywszy rozmowę najzgrabniej jak tylko umiałam, wstałam i podeszłam nerwowo do okna.

Zupełnie nie wiedziałam, co dalej robić. Spojrzałam na zegarek. W Anglii było wpół do szóstej. Za pół godziny telefonistka znów spróbuje mnie połączyć z numerem Jantzena. Do szóstej miałam czas, żeby się zastanowić, jakie podjąć kroki, jeżeli nie uda mi się skontaktować z Giną.

Usiłowałam rozważyć sytuację na chłodno. Co tam się mogło wydarzyć? W skrytości ducha podejrzewałam, że pewnie moja siostra wplątała się w jakąś kabałę uczuciową z Garthem Cooperem i Erikiem Jantzenem. Wiedziałam z doświadczenia, że ma niesamowity dar nieprawdopodobnego wprost wikłania sobie życia miłosnego. Zapewne pojechała z Cooperem do Londynu, po czym dowiedziała się od Erica Jantzena, kimkolwiek on jest, że Cooper ma żonę. Doznawszy wstrząsu, udramatyzowała sytuację w typowy dla siebie sposób, uznała, że facet złamał jej serce do końca życia, po czym wykonała telefon do mnie, żeby podzielić się ze mną swoją rozterką.

Ale dlaczego przerwała rozmowę w pół zdania?

Kiedy łamałam sobie nad tym głowę, punkt szósta znowu zadzwonił telefon.

— Numer w Londynie wciąż nie odpowiada — poinformowała mnie telefonistka. — Czy mam spróbować jeszcze raz o siódmej?

Błyskawicznie podjęłam decyzję.

— Nie — odparłam. — Czy mogłaby mnie pani połączyć ze Scotland Yardem?

Podejrzewałam, że wobec takiego obrotu sprawy nawet telefonistka przypominająca automat zacznie chyba wątpić w moje zdrowe zmysły.

— Ze Scotland Yardem w Londynie?

— Tak — odrzekłam. — Z policją.

— Rozmowa z przywołaniem?

— Nie, proszę mnie połączyć z kimkolwiek. Chciałabym coś zgłosić.

— Oddzwonię — powiedziała telefonistka tonem, jakim ludzie zwracają się do osób chorych psychicznie, i znów słyszałam tylko to monotonne buczenie po odłożeniu słuchawki z drugiej strony.

Po raz wtóry przećwiczyłam w myślach swoją relację, usiłując wyzbyć się rosnącej tremy i obaw. Kiedy po kilku minutach zadzwoniono do mnie, mimo wcześniejszych prób zaczęłam się jąkać, wściekła na siebie. Wstyd palił mi twarz.

Na szczęście funkcjonariusz po drugiej stronie, oficer śledczy Fowles, słuchał, uprzejmie komentował i zadawał właściwe pytania, toteż poskładał sobie jakoś moją bezładną relację. Kiedy spytałam w końcu z rozpaczą, czy policja zechce mi pomóc, powiedział krzepiącym, opanowanym tonem:

— Tak. Wyślemy kogoś do mieszkania pana Jantzena, żeby zasięgnął języka. Proszę się nie martwić, natychmiast zajmiemy się pani sprawą. Jeżeli istotnie zaszło tam coś niepokojącego, wszystko wyjaśnimy i dowiemy się, co się dzieje z pani siostrą.

— Czy zawiadomi mnie pan, gdy tylko będzie pan coś wiedział? Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że telefony są bardzo drogie, ale byłabym wdzięczna, gdyby pan...

— Ależ naturalnie, panno Sullivan. Podała mi pani swój numer telefonu, prawda? Sam osobiście do pani zadzwonię, gdy tylko dostanę raport i będę miał dla pani jakieś wiadomości.

Podziękowałam mu serdecznie, odłożyłam słuchawkę, po czym wyciągnęłam się na kanapie i zamknęłam oczy. Byłam wykończona. Po

chwili poszłam do kuchni, gdzie bez większego przekonania chciałam zrobić sobie coś na kolację, ale stwierdziłam, że zupełnie nie mam apetytu.

Wróciłam roztrzęsiona do pokoju, stanęłam przy oknie, zapatrzyłam się na budynek Pan Arnu i inne wieżowce. Wylądował na nim kolejny helikopter, a potem znów się poderwał. Nadeszła siódma.

Światła roziskrzyły zmierzch; nowojorski wieczór budził się do życia, a hen w dole migały czerwienią tylne światła samochodów, które sunęły ku restauracjom w centrum i pokusom Broadwayu. Niebawem wybiła ósma. A potem dziewiąta. Dręczona niecierpliwością dwa razy omal nie podniosłam słuchawki z widełek, ale zdołałam się powstrzymać; przecież inspektor ze Scotland Yardu obiecał oddzwonić. Nie było sensu go niepokoić, mógł nie mieć jeszcze żadnych informacji.

Dochodziło wpół do dwunastej i właśnie parzyłam sobie kolejną kawę, gdy poderwał mnie dzwonek telefonu. Z wrażenia wylałam wrzątek na podłogę.

— Halo? — rzuciłam nerwowo do słuchawki. — Tu Claire Sullivan.

Dzwonił oficer śledczy Fowles, detektyw ze Scotland Yardu. Nogi ugięły mi się w kolanach; musiałam usiąść.

— Niestety nie mamy konkretnych wiadomości o pani siostrze, jednak wszystko jest najwyraźniej w porządku, bo brak wiadomości to też dobra wiadomość. Pan Jantzen zaprosił pani siostrę na drinka, ale coś go zatrzymało, nie mógł przyjść o umówionej porze. Usiłował się z nią skontaktować, żeby odwołać spotkanie, nie zdołał jej jednak złapać. Nie wiedział nawet, że pani siostra była u niego w domu.

— Ale przecież... — Zbiło mnie to z tropu. — Jak się tam dostała pod jego nieobecność?

— Domyślał się, że mogła tam przyjść ze swoim znajomym, niejakim panem Cooperem. Najwyraźniej pan Cooper ma klucz do mieszkania pana Jantzena.

Poczułam, że gdzieś głęboko w zakamarkach mojego umysłu czai się irracjonalny strach.

— Czy wyjaśnił to pan z panem Cooperem? — zapytałam speszona.

— Jak dotąd nie udało się nam z nim skontaktować, ale na pani miejscu przestałbym się zamartwiać. Wygląda na to, że pani siostra przyjechała tu z Paryża z tym panem Cooperem...

— Tak — odparłam. — Wiem.

— Przypuszczam, że dziś wieczorem wypuścili się na miasto. Zapewne pani siostra świetnie się bawi, upaja się każdą minutą spędzoną w Londynie! — Jego głos brzmiał pocieszająco, krzepiąco; przebijało z niego dogłębne przeświadczenie, że nic złego się nie dzieje. — Przedstawię pani swoje domysły: pani siostra poszła z panem Cooperem do domu jego znajomego na drinka i o coś się posprzeczali. Może pan Cooper udawał, że chce ją zostawić. Wie pani, jak reagują młode dziewczyny... a pewnie pani siostra lubi trochę dramatyzować. Zadzwoiła, żeby się przed panią wyplakać... aż tu nagle zjawia się jej sympatia, żeby ją przeprosić, po czym oboje wychodzą rozradowani, jak gdyby nic się nie stało. Na pewno jutro siostra zadzwoni z przeprosinami, że napędziła pani takiego strachu.

— A jeżeli nie zadzwoni? — spytałam w desperacji.

— No, jeżeli nie zadzwoni... — urwał, żeby rozważyć tę jakże nikłą możliwość. — Wtedy proszę poczekać do poniedziałku, po czym sprawdzić, czy przypadkiem nie wróciła cała i zdrowa do Paryża. Jeżeli do tego czasu nie wróci ani się do pani nie odezwie, proszę się znów ze mną skontaktować.

— Rozumiem — wycedziłam. — Rozumiem, tak zrobię. I bardzo panu dziękuję za wszystkie starania.

— Nie ma za co, pani Sullivan. To naprawdę drobiazg. Pożegnaliśmy się, on bardzo życzliwie, wylewnie, ja przygaszona niepokojem i zażenowaniem.

Opadłam na kanapę i trwałam tak dłuższą chwilę, ale im usilniej powtarzałam sobie, że niepotrzebnie zamartwiam się jak idiotka, tym bardziej się martwiłam. Dręczyła mnie myśl, że mam czekać beczynn timer kolejne dwie doby aż do poniedziałku, nie mogąc kiwnąć palcem. Wreszcie w mękach wahań i nerwów zerwałam się, zajrzałam do torebki i sprawdziłam w książeczce czekowej stan swojego konta. Wykonałam proste obliczenie, dodałam sumę z rachunku bieżącego do sumy z lokaty długoterminowej i zamyśliłam się na chwilę. Znów mi się przypomniał wymarzony samochód, mały czerwony volkswagen, który czekał cierpliwie, aż nazbieram tyle pieniędzy, żeby go kupić. Przemknęły mi przez głowę obmyślane eskapady, luksusowe wycieczki latem za miasto nad morze bez konieczności długiej, przykrew jazdy metrem, sześciotygodniowa wyprawa na Zachód, którą zaplanowałam na przyszłe wakacje.

Myślałam dosyć długo.

— Co tam — powiedziałam w końcu na głos do siebie. — Może w ogóle sam pomysł jest zbyt ekstrawagancki. Bo przecież wszyscy twierdzą, że trzymanie samochodu na Manhattanie to spory kłopot, a pożytek żaden. Mogę się jeszcze trochę z tym wstrzymać. Zresztą zawsze chciałam pojechać do Europy.

Podjąwszy tę decyzję, poczułam się znacznie lepiej. Położyłam się do łóżka, przespałam kilka godzin, a nazajutrz z samego rana zadzwoniłam do Pan Amu, żeby się dowiedzieć o miejsce na najwcześniejszy lot z Nowego Jorku do Londynu.

O dalszym rozwoju wypadków przesądziła opatrność; zorientowałam się, że jest sam szczyt letniego sezonu turystycznego i wszystkie rejsy do Londynu mają już komplet pasażerów. Zostawiłam swoje nazwisko na kilku listach rezerwowych, wyłażąc dosłownie ze skóry ze zdenerwowania. Ale opamiętałam się i rozważyłam wszystko od nowa. Była niedziela rano. Nawet gdybym złapała samolot jeszcze tego dnia, i tak nie dotarłabym do Londynu przed powrotem Giny do Francji — zakładając oczywiście, że Gina jest cała i zdrowa. W tej sytuacji rozsądniej byłoby się starać o bilet do Paryża, a nie do Londynu. Znów usiadłam przy telefonie i tym razem szczęście mi dopisało. Ktoś odwołał rezerwację na samolot TWA w poniedziałek do Paryża. Kiedy już dokonałam rezerwacji i utwierdziłam się w decyzji, że lecę do Europy, zdołałam się wreszcie trochę odprężyć, chociaż zbyt dużo miałam do zrobienia, żebym mogła sobie pozwolić na dłuższy odpoczynek. Wyskoczyłam na Czterdziestą Drugą Ulicę, żeby zrealizować czek na bilet do Paryża, a po drodze znów myślałam o Ginie, o jej czarującym Angliku Cooperze i o słowach Candy-Anny wypowiedzianych starannie zachowanym południowym akcentem: „Co to za wspaniały, prze-wspaniały mężczyzna...”

Znów poczułam się podminowana. Pędziłam jak na skrzydłach do siedziby linii lotniczych przy Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Po półgodzinie wróciłam do domu z biletem tkwiącym bezpiecznie w torebce. Chciałam przygotować się do podróży w przemyślany sposób, ale okazało się, że jestem za bardzo roztrzęsiona, żeby trzymać się ustalonych reguł. Sprawdziłam paszport i świadectwo szczepienia przeciw ospie; jak na niepoprawną optymistkę przystało, zawsze dbałam o ważność obu tych dokumentów. Czekiło mnie teraz niewdzięczne pakowanie. W końcu zamknęłam walizki i zadzwoniłam do dwóch koleżanek, żeby je

zawiadomić, iż wybieram się pod wpływem impulsu w podróż do Europy. Obie były nad wyraz zaskoczone. Przemknęło mi przez głowę, że może naprawdę jestem pomyłona, ale wyparłam tę myśl, po czym wysłałam na paryski adres Giny telegram z zawiadomieniem o swoim przyjeździe.

Może — pomyślałam z wrodzonym sobie optymizmem, czepiając się nadziei, że wszystko jest w porządku — może Gina spotka mnie na lotnisku?

Intuicja jednak podpowiadała mi uparcie, że kiedy mój samolot usiądzie na płycie lotniska Orły, nikt po mnie nie wyjdzie. Znów zaczęłam się martwić i zamartwiałam się przez cały niedzielny wieczór, aż w końcu nadszedł poniedziałek i musiałam pognać o dziewiątej rano do banku, żeby wykupić czeki podróżne, zanim złapię taksówkę na lotnisko Kennedy'ego, by zdążyć na poranny samolot. Na szczęście wszystko poszło jak z płatka: nie było opóźnienia ani żadnych innych przykrych niespodzianek w ostatniej chwili. Przed upływem czterdziestu ośmiu godzin od telefonu Giny z Londynu leciałam do Europy, żeby ją odszukać.

Lot dłużył mi się niemiłosiernie. Mijały godziny, a ja wciąż miałam wrażenie, że samolot wisi w błękitnej próżni. Różnica czasu między Europą a Ameryką objawiła się w fantastycznym wschodzie słońca i wczesnym brzasku. Do Paryża dotarliśmy późnym wieczorem, chociaż mój zegarek przekonywał mnie, że w Nowym Jorku jest jeszcze popołudnie. Pomyślałam o długich alejach rozplywających się w upalnej mgiełce, o dusznych chodnikach, o szumie miliona klimatyzatorów, lecz zaraz potem wszystko to zostało za mną po drugiej stronie świata, a samolot rozpoczął swój długi ślizg w dół na płytę lotniska i francuską ziemię.

Ocknęłam się z odrętwienia po długim locie, odłożyłam książkę, zapomniałam o zdenerwowaniu. Zobaczyłam pod sobą światła, światła Europy roziskrzające ciemności letniej nocy, i ogarnęło mnie takie podniecenie, że na chwilę całkiem zapomniałam o Ginie. Samolot opuszczał się coraz niżej. Dojrzałam światła lotniska, a kiedy zniżyliśmy się jeszcze bardziej na ich spotkanie, przypomniałam sobie, że powinnam zapiąć pas. Po kwadransie samolot wylądował, wysiadłam i znalazłam się w nowym, jakże odmiennym kraju.

Moje podniecenie stopniowo wzrosło, po czym nieco opadło. Byłam sama, obca tutaj, onieśmielona. Znałam trochę francuski, toteż nie czułam się jak tabaka w rogu, ale szybkie rozmowy wokół mnie, przypominające

terkot karabinu maszynowego, odbiegały bardzo od prostych zwrotów wyuczonych w szkole. Zagubiona i bezradna przeszłam odprawę celną i paszportową, po czym dwujęzyczne tablice wskazały mi drogę do autobusu jadącego na terminal. Pokręciłam się jeszcze chwilę w płonnej nadziei, że może wytropię gdzieś Gine, lecz nie dostrzegłam żadnej znajomej twarzy; byłam obca wśród obcych sobie ludzi, lotnisko wydawało mi nie chłodne i bezosobowe.

Postałam trochę w kolejce, żeby zrealizować czeki podróżne, kupiłam bilet i wsiadłam do autobusu. Rozpoczął się drugi etap mojej podróży. Autobus mknął przez przedmieścia Paryża po brukowanych ulicach, mijając uliczne kafejki i obskurne domy. Nagle cała ta brzydota znikła, a moim oczom ukazały się szerokie bulwary, oświetlone aleje i rozjarzone budowle. Jechaliśmy przez centrum miasta i ogarnęło mnie takie podniecenie, że zapomniałam o samotności i tylko powtarzałam sobie w duchu: to jest Paryż, a ja, Claire Sullivan, widzę to wszystko na własne oczy.

Przyjechałam na terminal, odebrałam swój bagaż, wzięłam z postoju taksówkę.

— Numéro vingt-deux, rue St Thomasine, s'il vous plaît.

Taksówkarz skinął głową, przybrawszy typową dla paryżan, jak mniemałam, zblazowaną minę. Wyprysnęliśmy niczym pocisk armatni, podskakując na kocich łbach, by po chwili zahamować z piskiem opon na skrzyżowaniu. Gdy znów wystrzeliliśmy naprzód, zdążyłam już przywyknąć do tego konwulsyjnego środka transportu i zaczęłam się dla odmiany denerwować myślą, co będzie, jeżeli mój telegram nie doszedł do Giny.

Doszedł jednak. Zapłaciłam za kurs i wysiadłam z taksówki. Bez kłopotów dotarłam z bagażem do właściwej kamienicy, po czym zamknęłam się w niewielkiej, lecz nowoczesnej windzie. Gina mieszkała na trzecim piętrze. Kiedy wyszłam na korytarz, z początku nie mogłam znaleźć światła, musiałam więc zapalić zapałkę, ale w końcu trafiłam pod właściwe drzwi, gdzie na tabliczce przy nazwisku Candy-Anny widniało nazwisko Giny.

Odczuwałam potworne zmęczenie, połączone jednak z ulgą. Zadzwoiłam, poczekałam, po chwili drzwi się otworzyły. Przedemną stała smukła jak łania dziewczyna o miodowych włosach i przejrzystych niebieskich oczach.

— Och, cześć! — zawołała Candy-Anna z niewymuszoną gościnnością.
— Witaj w Europie! Jak to miło cię poznać! Mam tylko nadzieję, że nie będziesz okropnie zawiedziona. Gina postanowiła najwyraźniej przedłużyć swój pobyt w Londynie, bo nie wróciła wczoraj wieczór, a ja nie mam zielonego pojęcia, gdzie teraz może być...

ROZDZIAŁ TRZECI

— Kim jest ten Garth Cooper? — spytałam. — Poznałaś go?

Od mojego przyjazdu minęło pół godziny. Popijałyśmy szwajcarską kawę w dużym salonie. Wokół panował artystyczny nieład. Candy-Anna wyrażała usprawiedliwione zainteresowanie moją nagłą decyzją przyjazdu do Europy i troską o Ginę, ale ja po prostu nie mam zwyczaju zwierzać się nieznanym, toteż ocenzurowałam i pominęłam spore fragmenty całej sprawy.

— Gina namawiała mnie na urlop w Europie, no i w końcu się skusiłam — powiedziałam. — W sobotę wieczór zadzwoniła do mnie z Londynu. Miała, mówiąc oględnie, bardzo dziwny głos. A kiedy oddzwoniłam, już nie mogłam jej złapać. Właśnie wtedy zadzwoniłam do ciebie, żeby się dowiedzieć, dlaczego jest w Londynie i z kim tam pojechała.

— Pojechała z Garthem — odparła Candy-Anna. — Tylko, broń Boże, nie myśl sobie, że to był wspólny wypad na szalony, ekscentryczny weekend! — Jej przejrzyste oczy przybrały teraz wyraz niewinności. — Garth wracał do Londynu po załatwieniu interesów w Paryżu, no więc Gina postanowiła wyskoczyć z nim na weekend, żeby zobaczyć Anglię. Widocznie tak jej się tam spodobało, że zdecydowała się zostać jeszcze trochę. Dlaczego uważasz, że miała dziwny głos? Chyba nie sądzisz, że coś jej się mogło stać?

— Po prostu nie była sobą. — Dopiliśmy kawę, po czym zapytałam Candy-Annę o Gartha Coopera. — Mówiłaś, zdaje się, przez telefon, że go poznałaś — dodałam po chwili zastanowienia. — Co to za człowiek?

Mogłam przewidzieć, że współlokatorka mojej siostry nie będzie umiała udzielić odpowiedzi na tak zadane pytanie.

— Garth? To po prostu wspomniały, przewspomniały człowiek! Obie jesteśmy zakochane w nim na zabój...

— No dobrze — przerwałam jej, usiłując nie zdradzać zniecierpliwienia. — Ale co on robi? Po co przyjeżdżał do Paryża? Czy mieszka w Londynie?

— Jak rany, nie mam pojęcia! Zdaje się, że tak. Ale w Paryżu też ma chyba mieszkanie. Pamiętam, jak mówił, że zawsze kręci się tam i z powrotem między tymi dwoma miastami... Jest taki urzekający! — Westchnęła. — Pomyśl tylko, żeby mieszkać i pracować w Londynie i w Paryżu...

— No dobrze — powtórzyłam, wbijając paznokcie w dłoń. — Ale czym on się zajmuje?

Candy-Anna zmarszczyła na chwilę czoło, dokładając zapewne wszelkich starań, żeby uruchomić dawno nie używaną maszynę mózgu.

— Jak rany Julek — odezwała się w końcu z niejakim zaskoczeniem. — Sama się temu dziwię, ale po prostu nie mam pojęcia.

— Uważasz, że jest bogaty?

— O, jeszcze jak! Zawsze jeździ taksówkami, nigdy nie korzysta z metra. Chodził z Giną po wytwornych restauracjach i brał ją do takich różnych szykownych miejsc, jak na przykład opera czy teatr. Miała z nim rajskie życie! Bardzo się cieszyłam jej szczęściem.

Miałam co do tego pewne wątpliwości, ale zachowałam je dla siebie.

— Od jak dawna Gina go zna?

— Och... chyba gdzieś od półtora miesiąca. Ale wcale nie siedział przez cały ten czas w Paryżu. Spędził tu zeszły tydzień, widywali się niemal co wieczór. A potem w piątek wieczorem polecili razem do Londynu.

- Pawno nie wiesz, kiedy Garth miał wrócić do Paryża.

— Naprawdę nie wiem! Nie mam pojęcia. Może teraz zabawi trochę w Londynie. Po prostu nie wiem.

Zastanawiałam się, co począć. Wyglądało na to, że powinnam jak najszybciej polecieć do Londynu, odszukać tego Coopera i zapytać go wprost, co się stało z Giną. No tak, ale... Westchnęłam. Co za głupota. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Gina zaangażowała się już na amen i nie miała zamiaru wracać do Paryża, skoro jej romans kwitł w Londynie. Wcale nie byłaby mi wdzięczna za wtrącanie się w jej sprawy, Chyba wyszłam na idiotkę. Wbrew radzie detektywa ze Scotland Yardu po rozmowie z Giną zwietrzyłam melodramat, u teraz równie opacznie interpretowałam jej przedłużającą się nieobecność. Właśnie wmawiałam sobie z goryczą, że roztropniej byłoby pozostać w Nowym Jorku, zamiast gnać na wariata przez Atlantyk, kiedy zadzwonił telefon.

Obie aż podskoczyłyśmy.

— To na pewno Gina! — zawołałam. — Wróciła! Candy-Anna poderwała słuchawkę.

— Halo?

Wychyliłam się na skraj kanapy, czując, że wszystkie członki mam obolałe, i zobaczyłam, jak dziewczynie rozszerzają się oczy ze zdumienia.

— A, to ty, Warren! Co słyszeć? Co? Nie, nie ma jej w domu. Jeszcze nie wróciła. Tak, zgadza się... Nie, nie odzywała się...

Przerwałam jej prędko:

— Czy to Warren Mayne, były narzeczony Giny? Przypomniał mi się list Giny, który dostałam tuż przed jej telefonem.

— Chwileczkę, kochany — rzuciła Candy-Anna do słuchawki i powiedziała do mnie: — Tak, to on. Znasz go?

— Czy mogłabym z nim porozmawiać?

— Jasne. — Miała zdziwioną minę. Po chwili znów odezwała się do słuchawki: — Kochany, nie zgadniesz, kto chce zamienić z tobą słowo! Ktoś z twojej przeszłości!

Zasiawszy zgodnie ze swoim zwyczajem ziarno tajemniczości i intrygi, wręczyła mi z uroczym uśmiechem słuchawkę, po czym sięgnęła po kolejnego papierosa.

— Warren? — powiedziałam szybko. — Mówi Claire Sullivan, pamiętasz...

— Claire!

Mój rozmówca był wyraźnie zdumiony. I wtedy stanął mi przed oczyma: bardzo młody, zgrabny mężczyzna z krótkimi blond włosami, o ujmująco brzydkiej poważnej twarzy i piwnych oczach, lśniących oddaniem jak ślepie dobrze ułożonego spaniela. W zeszłym roku Gina dała mu w Nowym Jorku niezły wycisk; podczas naszych wspólnych spotkań było mi go szczerze żal.

— Tak! — odparłam, uśmiechając się mimo tych całych nerwów. — Tak, to naprawdę ja! Co słyszeć, Warren? Dowiedziałam się od Giny, że jesteś w Paryżu.

— Wspomniała ci o mnie? — Mile go to połaskotało.

— Owszem, pracuję w amerykańskiej firmie, która ma tutaj swoją filię. To... — urwał, jak gdyby dopiero teraz uprzytomnił sobie, że powinnam być na Manhattanie, a nie w Europie.

— Niech mnie kule biją! — zawołał. — Gina nie zająknęła się słówkiem, że przyjeżdżasz tu na urlop! Nie wiedziałem, że jesteś w Paryżu!

— Gina też nie wie. To skomplikowana historia, sama się w niej gubię. Podobno moja siostra bawi w Londynie z facetem o nazwisku Garth Cooper.

Candy-Anna przytknęła palec do ust i potrząsnęła gwałtownie głową, lecz było już za późno.

Z drugiej strony rozległo się raptowne „och”, a potem Warren wykrzyknął:

— Co takiego? Z Cooperem? Gina pojechała do Londynu z Garthem Cooperem? A mnie powiedziała...

Skłętam się w duchu za to, że zabrakło mi przytomności umysłu, by coś takiego przewidzieć.

— Wcale nie byli razem — powiedziałam bezradnie, pogarszając tylko sprawę. — Po prostu lecieli tym samym samolotem.

— Na miłość boską, gdzie ona teraz jest? Dlaczego nie wraca? Boże, gdybym wiedział, że Cooper wybiera się z nią do Londynu...

— Wybacz, Warren, ale sama niewiele z tego rozumiem. Dopiero co przyjechałam i nie zdążyłam się jeszcze zorientować, co się z Giną dzieje. Może spotkamy się jutro, żeby to wszystko omówić? Mam mętlik w głowie.

— A ja nie. — Warren najwyraźniej szalał z oburzenia.

— Dla mnie wszystko jest jasne jak słońce. Ten cholerny Anglik błysnął forszą i zaprosił Ginę na wycieczkę z przewodnikiem po Londynie! Boże, jak go tylko spotkam...

— Odłóżmy to lepiej do jutra, Warren. Może uda mi się...

— Śniadanie? Wczesny obiad? — spytał prędko.

— Może obiad? — podsunęłam w nadziei, że do tego czasu Gina się odezwie.

— Doskonale. Wpadnę po ciebie o dwunastej — rzucił z wściekłością, po czym trzasnął słuchawką.

— No nie, nie mogę — powiedziałam bezsilnie. — Dlaczego musiałam się tak głupio zachować? Pogorszyłam tylko sytuację Giny.

Candy-Anna zaczęła mnie pocieszać.

— Gina i tak ma Warrena w nosie. Chętnie skorzysta z pretekstu, żeby się go pozbyć raz na zawsze.

W jej oczach zaigrał błysk wesołości. Domyślałam się, że i ją to ucieszy, chociaż z innego powodu.

— Muszę się położyć — powiedziałam ze znużeniem.

— Jestem skonana. Przepraszam, że tak cię napadłam, Candy-Anno, i że przysporzyłam ci tylu kłopotów...

Zapewniła mnie, że bardzo jej miło i że nie muszę przeproszać.

Wreszcie zasnęłam w łóżku Giny, w otoczeniu jej znajomych, rozrzuconych dokoła rzeczy. Candy-Anna oddychała spokojnie przez sen w drugim kącie, ja natomiast spałam jak zając pod miedzą, na wpół nasłuchując, czy znów nie zadzwoni telefon z dobrą lub złą wiadomością z Londynu. Żadne wiadomości jednak nie nadeszły, telefon nie zadzwonił. Kiedy otworzyłam oczy, była ósma, a słońce wlewało się przez uchylone deszczułki drewnianych żaluzji.

Warren zjawił się punkt dwunasta. Candy-Anna wyszła wcześniej na umówione zdjęcia („Nie uwierzyłabyś, kochana, harujemy jak woły robocze! Dziś muszę pozować z ciężarówką i ze słoniątkiem”). Byłam zatem sama, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Podeszłam, otworzyłam.

Warren nie zmienił się ani trochę od naszego ostatniego spotkania. Był chyba raczej w moim wieku niż Giny, ale zawsze sprawiał wrażenie co najmniej pięć lat młodszego ode mnie. Kiedy Gina przyjechała po śmierci naszych rodziców do Nowego Jorku, najpierw przez jakiś czas studiowała malarstwo na Manhattanie. Poznała Warrena, gdy przechodził w Greenwich Village etap młodzieńczego buntu. Na nieszczęście dla niego Gina wyrosła z tego wcześniej niż on, toteż osiągnąwszy w Nowym Jorku sukces jako modelka, przeniosła się najpierw do Hollywood, a potem do Paryża, gdzie rozegrało się mnóstwo burzliwych przepychanek z brylantowym pierścieniem zaręczynowym, który wędrował tam i z powrotem, aż w końcu znikł z pola widzenia. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że Warrenowi nie dopisało szczęście, bo stanowił doskonałą partię i wiele dziewczyn zabijałoby się o niego. Pochodził z dobrej rodziny, jego ojciec pracował w dyplomacji w Waszyngtonie. Nie był wprawdzie orłem pod względem intelektu, ale przecież moja siostra też nie. Moim zdaniem stanowiliby dobraną parę, lecz Gina nie podzielała mojego zdania. Ruszyła na nowe podboje i nowe tereny łowieckie w poszukiwaniu bardziej olśniewającego życia.

— Jak to miło znów cię zobaczyć — przywitał się Warren, wyciągając do mnie rękę i uśmiechając się tym swoim promiennym, naiwnym uśmiechem. — Przepraszam, że wczoraj tak się uniosłem, ale byłem wytracony z równowagi.

— Dobrze, że przyszedłeś — odparłam. — Mam nadzieję, że dowiem się od ciebie, co tu się dzieje.

— A ja miałem nadzieję, że dowiem się tego od ciebie — odpowiedział i spojrzał na zegarek. — Wiesz, niedaleko stąd jest taka mała knajpka.

Może wyskoczmy tam coś zjeść? Bo tu w lodówce pewno nie ma nic oprócz jogurtu. Modelki zwykle nic nie jedzą.

Z góry zakładałam, że wyjdziemy na miasto coś zjeść, toteż zdumiała mnie jego podszyta drwiną sugestia, iż mogłabym mu ugotować obiad. Zapewniłam go prędko, że chętnie poznam francuską kuchnię. Wyszliśmy na dwór, owionął mnie rześki chłód.

Wzięłam głęboki oddech. U wylotu ulicy zobaczyłam Sekwanę, a dalej, w górze rzeki, lśniący przepych wieży Eiffla. Niebo było klarowne, grzało słońce. Nowy Jork wydał mi się oddalony o milion lat świetlnych.

— Jak cudownie być w Paryżu! — zawołałam spontanicznie. — Nie rozumiem, dlaczego nie zdobyłam się wcześniej na przyjazd.

Warren uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Z początku wszystko człowieka podnieca, prawda?

— powiedział z wyrozumiałością ojca przemawiającego do dziecka. — Też się tak czułem zaraz po przyjeździe.

Udusiłabym go własnymi rękami.

Moje rozdrażnienie wzmogło się, kiedy dotarliśmy do małej restauracji i usiedliśmy na zewnątrz pod pasiastym parasolem. Zamówiliśmy befsztyki i wino, po czym rozparliśmy się wygodnie na krzesłach.

— Mamy czekania na wiele godzin — oświadczył Warren. — Na całym świecie nie ma tak ślamazarnej obsługi jak we Francji.

— Przecież to bez znaczenia — powiedziałam stanowczo, przywołując go do porządku, i po chwili zmieniłam temat: — No więc jeżeli chodzi o moją siostrę...

— No właśnie — podchwycił skwapliwie Warren. — Powiedz mi, co tu się dzieje? Skąd wiedziałaś, że Gina pojechała do Londynu z Cooperem? Co ci powiedziała? Czy mówiła, że wróci do Paryża, żeby cię spotkać? Dlaczego jeszcze jej nie ma? Gdzie ona się podziewa?

Wdałam się w żmudne wyjaśnienia. Opowiedziałam mu wszystko, po trosze dlatego, że dobrze go znałam, po trosze dlatego, że najwyraźniej martwił się o Ginę tak samo jak ja, a po trosze dlatego, że chciałam z kimś to omówić. Z początku słuchał bardzo uważnie, lecz po chwili wyczułam, że zżerająca go coraz bardziej zazdrość nie pozwala mu się skupić na moich słowach.

— Tak to wygląda — zakończyłam, nie bacząc na jego smętną minę i dociekliwy wzrok. — Nie mam pojęcia, gdzie ona jest ani co porabia, i bardzo się martwię, może zresztą niepotrzebnie. — Zawahałam się, po

czym zadałam mu pytanie, z którym zwróciłam się poprzedniego wieczoru do Candy-Anny: — Kim jest ten Garth Cooper?

Zjawił się kelner z naszym zamówieniem, przerywając nam rozmowę, ale nie musiałam powtarzać pytania dwa razy. Gdy tylko kelner odszedł, Warren rzucił gniewnie:

— Po pierwsze, to Anglik. Nigdy nie ufam Anglikom. To największy błąd pod słońcem uważać, że są podobni do nas tylko dlatego, że mówią tym samym językiem... wcale nie są do nas podobni.

Z całych sił powstrzymałam się od podjęcia sporu na ten temat.

— Chcesz powiedzieć, że nie ufasz Cooperowi?

— Nigdy nie ufam Anglikom — powtórzył z uporem. — Trudno się zorientować, co naprawdę myślą. Zawsze są tacy uprzejmi, tacy opanowani i tak cholernie ujmujący, a potem nagle człowiek widzi, że chcą go pchnąć nożem w plecy. Cooper starał się usilnie sprawić na mnie wrażenie, że wcale nie interesuje się Giną i że mi dobrze życzy... a potem co? Zabiera ją na weekend do Londynu! Jeżeli to nie jest, do licha, obłuda i dwulicowość, to już sam nie wiem...

— O ile zdążyłam się zorientować, po prostu lecieli razem, zupełnie przypadkowo...

— Daj spokój — przerwał mi Warren. — Chyba nie myślisz, że uścisnęli sobie ręce na lotnisku w Londynie i rozeszli się każde w swoją stronę? Jak sądzisz, po co Gina pojechała do Londynu?

— Bo to ciekawe miasto — odparłam poirytowana, że tak obsesyjnie dopatruje się winy tam, gdzie w grę może wchodzić zupełnie niewinna sytuacja. — Dlaczego nie miałyby go chcieć zwiedzić, czy to z Garthem Cooperem, czy bez niego?

— Gina dała się wziąć na lep tego przekłętego Coopera. Facet ma jakieś trzydzieści pięć lat, jest nadziany, powiodło mu się w interesach. Jest przy tym oblatany, zna świetnie Paryż, Londyn zresztą na pewno też. Kiedy taki facet staje w drzwiach, kobietom aż ślinka leci na sam widok, a inni mężczyźni pytają się nawzajem, co takiego, do diabła, jest w tym człowieku, czego im nie dostaje. Gina jak zwykle rzuciła się w to na oślep. Nawet nie zadała sobie pytania, czy Cooper jest żonaty, jaką ma przeszłość...

— Chcesz powiedzieć, że to playboy?

— W każdym razie ugania się za spódniczkami. Wie, że przyjechałem do Francji za Giną, ale wcale nie przeszkodziło mu to zapraszać jej na kolację, wyrzucać na nią forszę...

Zaczynałam już mieć dosyć tej forsy Coopera.

— Poczekaj, Warren — zmitygowałam go rzeczowo — Gina sama chciała się z nim spotykać, prawda? Wybacz, że ci przypomnę, ale nie jesteś już z nią zaręczony. Skoro chce chodzić z Cooperem, to masz pecha, jednak nie możesz sobie rościć większych praw do Giny niż on.

— Zadurzyła się w nim — rzekł Warren stanowczo.

— Ale tak naprawdę kocha mnie. — Milczałam. Nie miałam odwagi powiedzieć mu, że bardzo w to wątpię. — Gdybym tylko zdołał ją wyrwać z rąk tego człowieka... gdybym zdołał ją przekonać, żeby znów spojrzała na mnie łaskawym okiem...

— Dolał sobie wina; pił o wiele za dużo. — Jestem pewien, że wróciłyby do mnie — dokończył. — Dlatego tu jestem. Poprosiłem ojca, żeby uruchomił swoje znajomości i załatwił mi tu pracę na ten rok. Nie płacą zbyt dobrze, ale przynajmniej jestem w Paryżu, blisko Giny. Jeżeli Cooper będzie siedział w Anglii i zostawi mnie sam na sam z Giną, wiem, po prostu wiem, że wszystko znów się między nami ułoży.

Już miałam powiedzieć: „Nie będzie Cooper, to będzie inny”, ale ugryzłam się w język. Wiedziałam od dawna, że nie ma co dyskutować z kimś, kto jest zakochany.

— Czym się zajmuje Garth Cooper? — spytałam po chwili. — Wiesz, co on robi?

— Oczywiście. Handluje porcelaną i wyrobami ze szkła, zarówno antycznymi, jak i współczesnymi, byleby były drogie. Jego firma zajmuje się importem i eksportem wysokogatunkowej porcelany oraz szkła między Anglią a Francją.

— Domyślam się, że główna siedziba firmy znajduje się w Londynie?

— Tak, ale w Paryżu też ma filię. Wiem od Coopera, że to małe biuro połączone z mieszkaniem, w którym zatrzymuje się i pracuje. To nieduża firma, Cooper sam jest sobie panem.

— Ma jakichś wspólników? Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Sądziłem, że wiesz. Wymieniłaś to nazwisko, kiedy mówiłaś, skąd dzwoniła Gina. Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie wiesz, kto jest wspólnikiem Coopera?

— Chyba nie Erie Jantzen?

— Nie — odparł Warren. — Jego żona. Żona Erica Jantzena, Lilian.

Okazało się, że Warren nie poznał żadnego z państwa Jantzenów, wiedział o nich jedynie ze spotkania z Cooperem i Giną w ubiegłym tygodniu.

— Przyjechałem do Paryża miesiąc temu — powiedział. — Trochę czasu zabrało mi szukanie Giny, a kiedy już udało mi się ustalić jej adres, spotkałem ją przypadkiem w restauracji na Champs Elysees. We wtorek. Była tam z Cooperem, ale mimo wszystko do niej podszedłem. Cooper zachował się bardzo miło, w każdym razie takie odniosłem wrażenie. Zaprosił mnie na drinka, przysiadłem się więc i rozmawiałem z nimi jakieś dwadzieścia minut. Szczerze mówiąc, Gina niewiele się odzywała. To Cooper prowadził rozmowę. Przez cały czas dawał do zrozumienia, że jego związek z Giną jest raczej niezobowiązujący, ale kiedy później zadzwoniłem do Giny... — Aż się wzdrygnął. — Pokłóciliśmy się kilka razy przez telefon. Niebawem zrozumiałem, że Cooper wprowadził mnie w błąd, bo ona bardzo się zaangażowała. W czwartek spytałem ją, czy zobaczymy się podczas weekendu, i usłyszałem, że wybiera się na zwiedzanie Bretanii z Candy-Anną. No więc zadzwoniłem w poniedziałek wieczór, żeby się dowiedzieć, jak jej się udała wycieczka, a teraz dowiaduję się od ciebie, że pojechała do Londynu z Cooperem.

Nie odezwałam się słowem, myśląc o Ginie i zastanawiając się po raz setny, co robić. Skończyliśmy jeść, dopijaliśmy wino.

— Może powinnam pojechać do Londynu — powiedziałam niepewnie. — Tak się o nią martwię.

— Z powodu tego telefonu?

— Tak... tak, chyba głównie z powodu tego telefonu. Gdybym była przekonana, że po prostu spędza miło czas z Cooperem, nie chciałabym jej przeszkadzać, ale jakoś nie mogę uwierzyć w zupełnie niewinne znaczenie tego telefonu. Wciąż o nim myślę.

— Skoro wybierasz się do Londynu — powiedział Warren — pojedę z tobą. Jeżeli Gina wpadła w tarapaty, chciałbym jej pomóc.

— Hmm... — Zawahałam się, bo niezbyt mi się uśmiechało jego stałe towarzystwo, ale przyznałam w duchu, że miło byłoby nie musieć znów samej stawiać czoła kolejnemu obcemu krajowi. — Zastanowię się. Mogę zadzwonić do ciebie trochę później?

— Oczywiście. — Znalazł długopis i świstek papieru, zapisał mi numery swoich telefonów do biura i do domu. — Kończę pracę o szóstej

— dodał, po czym zerkając na zegarek rzucił: — A właśnie, muszę już wracać do biura. Trochę za długo zabawiłem przy obiedzie.

Ponieważ nie zaproponował, że za mnie zapłaci, podzieliliśmy rachunek na pół. Na pożegnanie uścisnęliśmy sobie ręce w patetycznym poczuciu solidarności.

— Zadzwoń do mnie, jak tylko podejmiesz decyzję w sprawie Londynu! — zawołał za mną, kiedy odchodziłam. — Gdyby zaszła taka potrzeba, wyruszę natychmiast!

Zupełnie nie mogłam się zdecydować. Nie wiedziałam, czy mam jechać do Londynu, a jeżeli już, to czy powinnam jechać z Warrenem. Bałam się, że po kilku godzinach facet zacznie mnie potwornie denerwować, chociaż oczywiście bywają takie sytuacje, w których lepsze jest jakiegokolwiek towarzystwo niż żadne, i to mogła być jedna z nich. Po powrocie do domu zaparzyłam sobie kawę i usiadłam przy oknie, żeby popatrzeć na paryskie popołudnie.

Po dłuższym namyśle doszłam do wniosku, że sprawa jest chyba mniej skomplikowana, niżby wskazywały na to okoliczności. Po prostu skoczę do Londynu. Jeżeli okaże się, że Gina tylko romansuje z Garthem Cooperem, w najgorszym wypadku wyjdę na idiotkę. Ale przynajmniej będę w pobliżu, gdyby trzeba było jej pomóc. Jeżeli natomiast zostanę w Paryżu... Wzruszyłam ramionami. W takim razie nie trzeba się było ruszać z Nowego Jorku. Najlepszym wyjściem będzie wyjazd do Londynu, a jeżeli Warren oferuje mi pomoc, powinnam z niej skorzystać. Może mi się przydać. Jeżeli będzie mi zbyt ciężko działał na nerwy, zawsze mogę od niego uciec.

Uśmiechnęłam się cierpko. Biedny Warren! Nawet go trochę lubiłam. Dopiliśmy kawę i pogrzebałam w torebce, żeby znaleźć skrawek papieru z numerem telefonu Warrena. Miałam go już przed sobą, kiedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Po dwóch minutach poszukiwań znalazłam w salonie książkę telefoniczną, usiadłam na podłodze, otworzyłam pod C i zaczęłam przerzucać kartki. Skoro Cooper ma biuro w Paryżu, które służy mu również za pied-a-terre, niewykluczone, że numer telefonu figuruje pod jego nazwiskiem, a także pod nazwą firmy.

I rzeczywiście tak było. Znalazłam nazwisko COOPER, GARTH i adres przy rue Piedmont. Sięgnęłam natychmiast po słuchawkę i zaczęłam wybierać numer. Logika podpowiadała mi, że powinna tam być sekretarka,

choćby automatyczna, dowiem się zatem, jak długo Cooper ma zamiar bawić poza Paryżem, a może poznam też adres jego biura w Londynie.

Wykręcając numer, zastanawiałam się ze strachem, czy sekretarka będzie znała angielski. Ktoś podniósł słuchawkę. Rozległ się swobodny męski głos:

— Allô?

Sięgnęłam pamięcią do szczątków swojej licealnej francuszczyzny, ale jak się często zdarza w takich sytuacjach, w głowie miałam pustkę.

— Monsieur Cooper, s'il vous plaît — wystękałam, po czym dodałam z wyraźnym, nawet dla mnie, amerykańskim akcentem: — Est-il là?

Nastąpiła krótka przerwa.

— Przy telefonie — odezwał się po chwili nieznamy doskonałą angielszczyzną bez cienia akcentu, właściwą jedynie Brytyjczykom. — To ja. Czy mógłbym spytać, kto mówi?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Byłam tak speszona i zaskoczona, że mnie całkiem zatkało. Zacisnęłam palce na słuchawce. W głowie miałam pustkę, odebrało mi mowę.

— Halo? — rzucił ostro Garth Cooper. — Halo? Czy pani tam jest?

Odpowiedziałam bardzo powoli:

— Tak, przepraszam. Nie wiedziałam, że pan jest w Paryżu. Proszę mi wybaczyć, ale trochę mnie to zbiło z tropu. — Uprzytomniłam sobie, że Cooper nie ma pojęcia, z kim rozmawia, dodałam więc: — Mówi siostra Giny, Claire Sullivan.

Teraz on z kolei umilkł ze zdumienia. Próbowałam go sobie wyobrazić, domyślić się, jaką ma minę, ale mi się nie udało.

— Właśnie przyjechałam z Nowego Jorku na urlop — wyjaśniłam. — I nie zastałam Giny. Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie ona może być?

Nastąpiła kolejna pauza.

— Gina nie spodziewała się, że pani przyjedzie, prawda? — spytał po dłuższej chwili. — Nic mi o tym nie wspominała.

— Nie, zdecydowałam się pod wpływem impulsu. — Raptem opuściła mnie wszelka siła, bałam się, że wybuchnę płaczem. Całą pociechę czerpałam dotąd z domysłu, że Gina jest z Garthem Cooperem, toteż zupełnie się rozkleiłam, kiedy dotarło do mnie, że on wrócił do Paryża, a ona najprawdopodobniej została w Londynie. — Panie Cooper, jeżeli pan wie, gdzie ona jest... — Przerwałam, bo zabrakło mi słów.

— Ostatnio widziałem ją w Londynie — powiedział.

— Poleciliśmy tam razem w piątek wieczór, a w sobotę przedstawiłem jej kogoś, kogo chciała poznać, kogoś, kto ma znajomości w kręgach artystycznych. Zapewne pani wie, że Gina chciała się dostać do filmu.

— Czyli ostatnio widział ją pan...

— ...w sobotę na obiedzie. Od niedzieli wieczór jestem w Paryżu, ale jutro rano wracam do Londynu. Jeżeli pani sobie życzy, mógłbym o nią popytać.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Dosłownie poraziła mnie świadomość, że sprawdzają się moje najgorsze obawy, toteż w głowie miałam jeden wielki zamęt.

— Może powinniśmy omówić szczegóły — zaproponował po chwili Garth Cooper. — Czy ma pani jakieś plany na wieczór?

— Nie — odparłam w odrętwieniu.

— Czy zechciałaby pani zjeść ze mną kolację?

— Dobrze... jeżeli nie jest pan zbyt zajęty...

— Ależ skąd — odparł z ożywieniem. — Zatrzymała się pani u Giny?

— Tak.

— Czy odpowiada pani, żebym przyszedł po panią o wpół do dziewiątej?

— Tak... owszem. Bardzo panu dziękuję.

— Nie ma za co, panno Sullivan — odparł z galanterią.

— Zatem do zobaczenia.

Miałam sporo czasu, ale nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Powinnam przeznaczyć to popołudnie na zwiedzanie Paryża, powinnam zobaczyć Luwr, Notre Dame albo chociażby bazylikę Sacré-Coeur górującą nad Montmartre'em, ale jakoś nie chciało mi się teraz bawić w turystkę. Byłam za bardzo zdenerwowana. Rozważyłam nawet taką ewentualność, żeby odwołać spotkanie z Garthem Cooperem i natychmiast pojechać do Londynu, kiedy jednak zadzwoniłam do linii lotniczych, dowiedziałam się, że nie ma wolnych miejsc na nocne rejsy przez kanał La Manche. Bez namysłu zarezerwowałam bilet na poranny lot Air France, a potem łamałam sobie głowę, czy nie powinnam się znów skontaktować ze swoim inspektorem ze Scotland Yardu. W końcu zdecydowałam się na telefon do Fowlesa, ale właściwie tylko po to, żeby mieć czyste sumienie, bo nie liczyłam na żadne rewelacje z jego strony. Szczęście mi nie sprzyjało: nie zastałam go w biurze. Zostawiłam swoje nazwisko i numer telefonu, zastanawiając się, czy nie warto by porozmawiać z kimś innym, ale uznałam, że skoro nazajutrz mam być w Londynie, mogę sobie oszczędzić składania przez telefon wyjaśnień nieznanemu człowiekowi. Kiedy rozstrzygnęłam tę kwestię, zaczęłam dumać nad tym, czy nie nazbyt pochopnie uwierzyłam Garthowi Cooperowi. Przecież mógł mnie okłamać i maczał palce w zniknięciu Giny. Przyrzekłam sobie w duchu, że wieczorem będę ostrożniej szła.

Nie mogąc wytrzymać w czterech ścianach, wybrałam się na spacer nad Sekwanę, ale zaczęło padać, musiałam więc wrócić na rue St Thomasine. Tymczasem wróciła z pracy Candy-Anna, a o wpół do siódmej wybiegła na randkę. Kiedy ponownie zostałam sama, wykąpałam się, przebrałam bez pośpiechu i kwadrans po ósmej siedziałam w oknie, wyglądając niespokojnie na ulicę.

Zacząłam się zastanawiać, jak Cooper może wyglądać. Jak w ogóle wyglądają Anglicy? Pokutują wśród nas różne stereotypy narodowościowe: Hiszpanów, Włochów i Francuzów jako szczupłych, podniecających brunetów, a Szwedów, Duńczyków i Norwegów jako wysokich, dobrodusznym blondynów. Niemcy mają jasne włosy i dobry humor oraz chroniczną skłonność do nadwagi. Słowianie — jasne włosy i wieczny smutek w duszy, no i to swoje umiłowanie melodramatu. Ale Anglicy? Czy Cooper będzie brunetem czy blondynem? Będzie zażywny czy chudy? Powściągliwy czy pełen Wigoru? A może, pomyślałam, odwołując się do znanego sobie wizerunku, będzie przypominał typowego mieszkańca Nowej Anglii, moich rodzinnych stron? Logika jednak odpowiedziała mi, że to raczej mało prawdopodobne. To będzie Europejczyk, nie Amerykanin. Będzie myślał, zachowywał się i mówił jak Europejczyk.

Jako niedoświadczona dziewczyna nie mogłam wiedzieć, że Anglicy nie poczuwają się do pokrewieństwa z mieszkańcami Europy, podobnie jak nie poczuwają się do pokrewieństwa z Amerykanami.

Pod dom zajechała taksówka i serce zaczęło mi walić jak młotem, ale kiedy wysiadło z niej dwóch niewątpliwych Francuzów, napięcie ustąpiło. Omiotłam wzrokiem ulicę. Szła jakaś kobieta, dwoje dzieci... za nimi niski mężczyzna o wyglądzie mieszkańca Europy Środkowej. Z przeciwka, od strony rzeki, zbliżało się jeszcze dwóch mężczyzn o trudnej do odgadnięcia narodowości. Kiedy zastanawiałam się, czy któryś z nich może być Garthem Cooperem, wreszcie nadszedł.

Po dziś dzień nie wiem, dlaczego rozpoznałam go bezbłędnie na pierwszy rzut oka, bo wcale nie sprawiał wrażenia cudzoziemca na francuskiej ziemi, ale nie miałam cienia wątpliwości. Może zdradzał go swobodny chód; Francuzi prawie zawsze albo się spieszą, albo krocą statecznie. Ubrany też był swobodnie, co nie znaczy, że niedbale. Miał na sobie świetnie skrojony garnitur i starannie dobrane dodatki, lecz otaczała go aura pewnej nonszalancji, jak gdyby wiedział, że nie musi szczególnie dbać o prezencję. Szedł bez nakrycia głowy, bez parasola, jakby zupełnie nieświadom padającego kapuśniaczku. Sprawiał wrażenie człowieka, który przywykł na co dzień do mżawki i zdziwiłby się, gdyby trochę nie popadało. Ręce trzymał w kieszeniach; już pod domem uniósł machinalnie prawą rękę, żeby przygładzić sobie włosy, rozejrzał się, przeszedł przez jezdnię pod moje okno i znikł wewnątrz budynku.

Poczułam treść, a potem obleciał mnie strach. Nigdy nie wypadam dobrze przy pierwszym spotkaniu. Zerwałam się niezdarnie, obciągnęłam sukienkę na biodrach, poprawiłam kołnierzyk i spojrzałam w lustro, żeby sprawdzić, jak wyglądam. Stwierdziłam, że wołałabym być pięć tysięcy kilometrów stąd, kiedy rozległ się dzwonek.

Przeszłam wolniutko przez pokój i otworzyłam drzwi. Uśmiechnął się uprzejmie, czarująco, pogodnie.

— Panna Sullivan?

— Pan Cooper? — przywitałam go bardzo oficjalnie i uchyliłam nieco szerzej drzwi. — Proszę wejść.

— Dziękuję.

Przekroczył niespiesznie próg. Jego włosy, które z daleka wzięłam za ciemne, okazały się teraz jasnobrązowe; znów wykonał ten swój gest wygładzania fryzury, jak gdyby sądził, że wiecznie jest wzburzona. Był wysoki, lecz nie przesadnie, i, chociaż nie miał postury osiłka, była od niego jakaś siła. Czuło się, że ten mężczyzna sprawdza się w najróżniejszych sytuacjach. Miał prosty nos, wesołe usta i szeroko rozstawione, nieprzeniknione jasne oczy.

— Może napije się pan czegoś? — spytałam zdeprymowana.

— Nie, dziękuję — odparł. — One trzymają tu pod kluczem butelkę okropnej whisky, ale ponieważ zawsze wyjmują ją z taką niesłychaną dumą, nie mam serca im powiedzieć, że to się w ogóle nie nadaje do picia. Najlepiej chodźmy od razu na kolację. Przede wszystkim proszę mi wybaczyć, że zaproponowałam wpół do dziewiątej, a nie wpół do ósmej. Zapomniałem, że Amerykanie jadają wcześniej.

— Kiedy wejdiesz między wrony... — bąknęłam niezbyt taktownie, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

— ...musisz krakać jak i one? — dopowiedział. — Albo na wzór pani siostry, traktować to miasto jak staroświecki zakątek Manhattanu...

Nie miałam pewności, czy mówi to z rozbawieniem.

— Po prostu się bronię — odparłam — bo bardzo obco się tu czuję.

— Przygnębiające, co? — podchwycił, czym mnie zdumiał. — Francuzi zawsze patrzą z góry na wszystkich, którzy nie urodzili się we Francji, ale proszę się tym nie przejmować. Jest jeden naród, którego nienawidzą jeszcze bardziej niż Amerykanów: Anglicy. Do tej pory nie pogodzili się z Waterloo. — Podeszedł do drzwi i przytrzymał je z uśmiechem. — Tym milej będzie mi pójść dla odmiany na kolację z cudzoziemką.

Wiedziałam, że niemal przez cały poprzedni tydzień jadał w mieście z Giną, toteż zastanowiło mnie, dlaczego perspektywa wieczoru ze mną ma być dla niego odmianą, ale nie podjęłam tego tematu. Otworzyłam torebkę, sprawdziłam, czy mam klucze, i rozejrzałam się automatycznie, czy wszystko zostawiam w należyтым porządku. Cooper czekał przy drzwiach. Światło z głębi klatki schodowej rzucało dziwny cień na jego twarz. Gdy go mijałam, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że przypatruje mi się z niewzruszoną, beznamietną miną, która niczego nie zdradzała.

Zaczęła mnie piec twarz. Kiedy szliśmy korytarzem do windy, zapadło długie niezręczne milczenie. Gdy zastanawiałam się nerwowo, jak by je przerwać, Cooper powiedział lekko:

— Właśnie tak wyglądałaby Gina, gdyby się nie morzyła głodem i nie przesadzała z makijażem!

Wiedziałam, że to miał być komplement, ale odebrałam go jako dowód nielojalności i niesprawiedliwości wobec mojej siostry.

— Gina jest bardzo atrakcyjna — rzuciłam bez namysłu.

— Wcale nie twierdzę, że nie jest — odparł Cooper i otworzył drzwi windy, gdy zatrzymała się na naszym piętrze.

Nie mogłam dopuścić, żeby na tym stanęło, toteż kiedy weszliśmy do kabiny i Cooper zamknął za nami drzwi, dodałam:

— Chciałabym być taka szczupła i taka zadbana jak ona. Nacisnął guzik parteru, winda ruszyła w dół.

— Na pani miejscu wcale bym się nie martwił — powiedział. — Naprawdę nie ma pani powodu.

Chyba za bardzo wzięłam to sobie do serca, bo znów zaczęła mnie piec twarz. Odwróciłam się, żeby ukryć zakłopotanie. Na szczęście zanim wynikła konieczność odezwania się, zjechaliśmy na dół i wyszliśmy na mokrą ulicę. Zatrzymał taksówkę, a kiedy gramoliłam się do środka, usłyszałam, jak rzuca doskonałą francuszczyznę do kierowcy:

— Le Cicéro, s'il vous plaît.

— Była pani kiedyś przedtem w Paryżu? — spytał niezobowiązująco, kiedy taksówka ruszyła.

— Nie — odparłam. — To mój pierwszy pobyt w Europie. A pan był w Ameryce?

— Owszem, w Nowym Jorku — rzekł. — Ale mówi się, że Nowy Jork to nie Ameryka, tak jak Londyn nijak się ma do Anglii.

— I podobało się tam panu?

— O, tak — odparł szczerze. — Nawet bardzo. Wprawdzie wiem, że w dobrym tonie jest urągać na to miasto, ale mnie się Nowy Jork bardzo podobał. Szczególnie zapadł mi w pamięć gmach Pan Arnu.

— Ojej, to bardzo blisko mnie! — Powiedziałam mu, że widzę go z okna swojego mieszkania.

— Ma pani takie wielkie, nowoczesne mieszkanie z wszelkimi wygodami? — spróbował zgadnąć.

— No, może niezupełnie nowoczesne — sprostowałam — bo liczy sobie co najmniej dziesięć lat. Ale komuś, kto żył przedtem w malutkiej celi, wydaje się ogromne i wspaniałe. Wygody wymagają sporej wyobraźni, jednak widok jest ładny i dobrze mi się mieszka, więc nie narzekam.

Roześmiał się.

— Coś jak moje mieszkanie tu, w Paryżu!

— Ale ma pan większe w Londynie?

— Trochę większe. Choć ja właściwie nie przepadam za mieszkaniami w mieście. Najbardziej lubię swój domek na wsi, w Holmbury St Mary w hrabstwie Surrey.

— Więc na angielskiej wsi naprawdę zdarzają się takie nazwy jak Holmbury St Mary?

Ubawiło go to.

— To jeszcze nic! Niektóre wsie angielskie noszą znacznie bardziej egzotyczne nazwy. Mam taką swoją ulubioną na zachodzie Anglii, która nazywa się... nie uwierzy pani... Compton Pauncefoot... Ejże, nasz taksówkarz jedzie najkrótszą, ale na pewno nie najciekawszą trasą! Spróbujmy to naprawić. — Wychylił się do przodu i zaczął mówić po francusku. Wyłowiłam takie nazwy jak Champs Elysées, Place de la Concorde i La Madeleine. Kierowca skinął ze zrozumieniem głową i skrzył w boczną uliczkę. — Ponieważ to pani pierwszy wieczór w Paryżu — zwrócił się do mnie Cooper — powinna pani bodaj rzucić okiem na kilka najświetniejszych miejsc.

W tej samej chwili taksówka wjechała w Avenue Victor Hugo i na końcu szerokiego bulwaru moim oczom ukazał się rzęsiście oświetlony przepych L'Étoile i Łuku Triumfalnego. Samochody śmigały w zawrotnym tempie obok nas, przed nami i za nami. Wydawało mi się, że wszyscy gnają na złamanie karku.

— Czy w Paryżu zawsze jest taki ruch? — spytałam z niedowierzaniem, wspominając żółwie tempo obowiązujące w alejach Nowego Jorku, poprzecinanych gęsto przejściami dla pieszych i skrzyżowaniami.

— Zawsze — padła cierpka odpowiedź.

Dotarliśmy do Łuku Triumfalnego, objechaliśmy go i wypadliśmy na Pola Elizejskie. Światła jarzyły się wśród drzew, chodnikiem sunęły tłumy ludzi, a w oddali, przy końcu tego na pozór bezkresnego bulwaru, migotały dalsze światła, zapowiedź jeszcze większego blasku.

Westchnęłam.

— Ładnie tu, prawda? — zagadnął mężczyzna przy moim boku. — Nigdy mi się to nie nudzi.

— Ładnie? — odparłam z przyganą, bo wprost napawałam się tym widokiem i wciąż nie miałam dosyć. — Co za eufemizm!

— W moich stronach eufemizmy są w cenie — powiedział. — Miło słyszeć kogoś, kto nie boi się wyrażać swojego entuzjazmu.

Minęliśmy mniejszą wersję placu L'Étoile i pomknęliśmy dalej Polami Elizejskimi. Teraz po obu stronach ciągnęły się kamienice, restauracje i kawiarnie ze stolikami na chodnikach. Wokół kłębiły się tabuny ludzi.

— Paryż ożywa nocą. Kiedy będziemy tędy wracali, nadal wszędzie będą tłumy.

— Czy Londyn też tak wygląda?

— Nie. Londyńczycy bawią się dyskretnie w prywatnych klubach albo tłoczą w zadymionych małych pubach, rywalizując ze sobą, kto wypije więcej piwa przed zamknięciem.

— To Anglicy naprawdę są tacy dziwni?

— Musimy jakoś podtrzymywać złudzenie, że tak bardzo różnimy się od wszystkich innych nacji.

Dojechaliśmy do Place de la Concorde; nasz taksówkarz zręcznie lawirował między innymi samochodami, które śmigały na ukos i w poprzek przed nami. Skierowaliśmy się na północ w kierunku La Madeleine, a potem na wschód rue St Honoré i dalej, rue de Rivoli, która biegła wzdłuż Luwru.

— Chciałabym zwiedzić Luwr — powiedziałam z rozmarzeniem, pamiętając, że nazajutrz rano wybieram się do Londynu. I zaraz pomyślałam: muszę tu wrócić. Gdy tylko przekonam się, co się dzieje z Giną, zaraz tu wrócę.

— Zatem interesuje się pani sztuką?

— Tak po amatorsku.

— A muzyką?

— Też po amatorsku.

— To znaczy, że w jakiejś dziedzinie musi pani być nie lada profesjonalistką.

Roześmiałam się.

— Wykładałam literaturę angielską. Chyba można powiedzieć, że jestem w tym profesjonalistką.

— No, no. Bardzo byłbym ciekaw, co tak naprawdę Amerykanie sądzą o Szekspirze?

— Chyba większość Amerykanów wie tylko tyle, że urodził się w Stratford-on-Avon, a nie w Stratford w stanie Connecticut.

— Pani mnie zadziwia. W sierpniu w Stratford-on-Avon człowiek gotów by przysiąc, że znajduje się w Stratford w stanie Connecticut. Na High Street słychać przeważnie akcent amerykański, dlatego zakładałem, że Szekspir musi być w Ameryce bohaterem narodowym.

Uśmiechnęłam się.

— Na ogół ci, których stać na wakacje w Stratford-on-Avon, odebrali staranne wykształcenie.

— A pani lubi Szekspira?

— O tak, bardzo.

Myślałam, że może przy tej okazji on także zdradzi się ze swoimi gustami, ale nie. Wychylił się tylko do przodu, żeby znów rzucić jakieś polecenie kierowcy, a kiedy się pochylał, błysk latarni ulicznej oświetlił mu twarz, uwydatniając piękną linię nosa i szczęki.

Serce zamarło mi na sekundę, po czym jak gdyby nigdy nic wróciło do swojego normalnego rytmu.

Cooper znowu odwrócił się do mnie z tym swoim ujmującym, niewymuszonym uśmiechem.

— Prawie jesteśmy na miejscu. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe tego małego objazdu przed kolacją.

— Przeciwnie, sprawił mi pan dużą przyjemność — powiedziałam. Aż mi zaschło w ustach. Zacisnęłam pięści ze zdenerwowania, musiałam więc rozluźnić palec po palcu. — Dziękuję. — W mojej oszołomionej głowie odezwał się bezdźwięczny ostrzegawczy podszept: „O, nie. Tylko nie to”.

Odkąd zaczęłam w ogóle zwracać uwagę na chłopców, zawsze durzyłam się nieszczęśliwie w mężczyznach, którzy byli nie tylko zupełnie dla mnie

nieodpowiedni, lecz również zupełnie mną nie zainteresowani. Wydawało mi się, że dawno z tego wyrosłam, ale teraz nie byłam już tego taka pewna. Być może ta moja niefortunna skłonność trwała jedynie w uśpieniu i oto najwyraźniej budziła się, powracała, żeby mi zniszczyć życie.

Przyląpałam się na tym, że znów zaciskam ręce. Patrzyłam niewidzącym wzrokiem przez okno, kiedy taksówka stanęła. Wsiadłam i znalazłam się na wąskiej uliczce odchodzącej od szerokiego bulwaru. Weszliśmy do bardzo wytwornej, bardzo intymnej małej restauracji. Kelnerzy przemykali obok jak czarno-białe ćmy, a po puszystym dywanie kroczył majestatycznie maître d'hôtel, żeby nas przywitać.

— Bonsoir, monsieur Cooper, bonsoir, mademoiselle...

— Ukłonił się szarmancko, wykonał elegancki gest ręką i wezwał swojego pomocnika, żeby nas zaprowadził do zacisznej łoży.

Wszystkie moje obawy sprzed chwili pierzchły; poczułam się niezwykle uhonorowana w tym ekskluzywnym otoczeniu. Pozwoliłam, żeby kelner odsunął mi krzesło i pomógł usiąść. Zrobił to tak ostrożnie, jak gdyby moja solidna przecież figura dorównywała delikatnością najbardziej kruchoj porcelanie. Wręczył mi kartę dań; wpatrywałam się z osłupieniem we francuskie nazwy; nie miałam pojęcia, co zamówić.

— Może zechciałaby pani spróbować na przystawkę francuskich ślimaków?

— Chyba nie starczy mi odwagi — odparłam w nagłym przypływie tchórzostwa. — To mój pierwszy wieczór w Paryżu. Może jest coś typowo francuskiego, ale nieco mniej egzotycznego?

— Wodę Vichy?

— O, bardzo proszę.

Przez dłuższą chwilę omawialiśmy menu i wreszcie podjęliśmy decyzję. Kelner przyjął zamówienie, a Garth wybrał wino. Kiedy pozostało nam już tylko czekać, usiedliśmy wygodniej na krzesłach i odprężyliśmy się. W każdym razie on się odprężył. Ja byłam zbyt spięta, za bardzo chciałam przejść do rozmowy o Ginie, ale nie wiedziałam, jak zacząć. W końcu on odezwał się pierwszy.

— Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało zbyt nachalnie

— powiedział od niechcena — lecz nadal nie bardzo rozumiem, dlaczego zdecydowała się pani tak nagle na przyjazd do Paryża, nie zawiadomiwszy wcześniej Giny. Nie sprawia pani wrażenia takiej

trzpiotki jak Candy-Anna, tym bardziej więc ten krok mnie zdumiewa, bo zupełnie do pani nie pasuje. Dlaczego zdecydowała się pani na przyjazd?

Wzięłam do ręki śnieżnobiałą serwetkę i wygładziłam ją starannie na kolanach, zanim odpowiedziałam:

— To pańska współpracowniczka nic panu nie powiedziała?

— Moja współpracowniczka? — spytał ze zdziwieniem. — Lilian Jantzen? Co ona ma wspólnego z pani decyzją przyjazdu do Paryża?

— W sobotę Gina zadzwoniła do mnie z mieszkania Jan-tzenów. Bardzo mnie namawiała na przyjazd. — Postanowiłam, że nie wyjawię mu całej prawdy. — Tak się zachwycała Europą, tak sugestywnie opowiadała o swoich wrażeniach, że rozpałała moją wyobraźnię. Może się to panu wyda śmieszne, ale zdecydowałam się w jednej chwili. Wiedziałam, że Gina ma w poniedziałek wrócić do Paryża, no więc uznałam, że sprawię jej niespodziankę przylatując wieczorem. Wysłałam jednak telegram z zawiadomieniem o swoim przyjeździe, żeby jej tak zniemacka nie napadać. Dopiero tutaj dowiedziałam się, że jeszcze nie wróciła z Anglii, a Candy-Anna nie ma pojęcia, gdzie ona jest. Dlatego po południu zadzwoniłam do pana. Uznałam, że skoro był pan z nią w Londynie, może pan będzie wiedział, jak się z nią skontaktować.

— Niestety, wiem niewiele więcej od pani. — Jego oczy, spokojne, ale dociekliwe, napotkały mój wzrok. Nie sposób z nich było wyczytać jego myśli ani odgadnąć, czy rzeczywiście mówi szczerze. — Jak już wspomniałem pani przez telefon — ciągnął — Gina bardzo chciała się dostać do filmu. Podobnie chyba jak wiele młodych modelek, które osiągnęły sukces w swoim zawodzie. Tak się składa, że mąż mojej współpracowniczki, Erie Jantzen, malarz o ustalonej renomie w Londynie, obraca się w kręgach artystycznych. Uznałem, że mógłby pomóc Ginie w zawarciu przydatnych znajomości. Omówiłem to z nim wcześniej i powiedział, że chętnie ją pozna. Kiedy więc oboje znaleźliśmy się w sobotę w Londynie, przedstawiłem ich sobie. O ile mi wiadomo, zaprosił ją do siebie na wieczór na drinka, co wyjaśniałoby jej obecność w jego mieszkaniu, nawet jeżeli nie wyjaśnia niczego innego. Nie mam pojęcia, dlaczego dzwoniła do Ameryki z mieszkania bądź co bądź nieznanego człowieka. Coś mi tu nie gra. I co mówiła?

Podano wodę Vichy, co dało mi czas na zastanowienie.

— Usiłowała mnie przekonać, żebym wybrała się na urlop do Europy — odparłam ostrożnie, kiedy kelner już się oddalił. — Jednak teraz wydaje

mi się, że ten jej telefon był chyba takim wybrykiem pod wpływem impulsu, typowym dla niej. Nie wiem, czy pan mnie rozumie. Może to trochę dziwnie brzmi, ale zdążył pan chyba poznać Ginę... — Popijałam swoją wodę Vichy z ogromną ulgą, że mam pretekst, żeby nie patrzeć mu w oczy. — To do niej podobne, żeby zadzwonić z Londynu z mieszkania nieznanego mężczyzny do Nowego Jorku na koszt abonenta tylko po to, żeby powiedzieć: „Musisz koniecznie przyjechać! Zobaczysz, jak tu jest wspaniale!” Ona właśnie taka jest.

Uśmiechnął się. Sama nie wiem, dlaczego ten uśmiech wprowadził mnie w zakłopotanie, bo był serdeczny, szczery i naturalny. Nie wyczuwałam w nim cienia złości, a mimo to nie opuszczało mnie uczucie zakłopotania.

— Właściwie nie znam Giny tak dobrze — odezwał się po chwili. — Wprawdzie poznałem ją około półtora miesiąca temu, ale rzadko ją widywałem. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch tygodni, kiedy przyjechałem znów do Paryża, spędziliśmy razem kilka wieczorów. Miała kłopoty z naprzykrzającym się byłym narzeczonym...

— Wiem — przerwałam mu. — Pisała mi, że znów spotkała Warrena w Paryżu.

— Pani go zna? Moim zdaniem to dość sympatyczny chłopak, może tylko niezbyt rozgarnięty. Gdyby miał choć trochę oleju w głowie, zrozumiałby, że z pewnością nie zjedna sobie przychylności Giny, jeżeli będzie się za nią uganiał jak oszalały terier. Natknął się tu na Ginę przypadkiem, kiedy byliśmy razem. Przysiadł się do nas na drinka i chociaż spotkanie zaczęło się bardzo obiecująco, doszło do zupełnie zbędnej sceny, zanim trafiło do niego, że powinien odejść.

— Musiała to być dla pana bardzo kłopotliwa sytuacja.

— Prawdę powiedziawszy, było mi żal ich obojga. Jego... bo tak gruntownie niszczył swój obraz, który chciał stworzyć, a jej, bo trudno nie żałować kogoś, komu naprzykrza się osoba, z którą zerwało się zaręczyny. Pani siostra była znacznie bardziej zakłopotana niż ja. Mnie to szczególnie nie dotknęło. Nie znałem Giny na tyle dobrze, żeby cała ta scena wywołała we mnie większe emocje.

— Ze słów Candy-Anny zrozumiałam, że łączy pana z Giną wielki romans! — rzuciłam swobodnie.

— Candy-Anna czyta za dużo romansideł — odparł równie swobodnie. — Nawet nie było tyle czasu, żeby mogło dojść do czegokolwiek.

To mnie upewniło, że mija się nieco z prawdą.

— Zapewne Candy-Anna za bardzo się przejęła faktem, że wyjechał pan razem z Giną do Londynu — powiedziałam,

— Wygląda mi na osobę, która potrafi uczepić się takiej myśli i przesadnie ją rozdmuchać.

Popijając wodę mineralną, skwitował mój domysł z nonszalancją i opanowaniem, które mnie przychodziły z takim trudem:

— Zapewne.

Zarumieniłam się,, właściwie nie wiadomo dlaczego. Czułam tylko mgliście, że swoim zwięzłym komentarzem uciał ten wątek naszej rozmowy. Ceremonialnie otarłam sobie serwetką kąciki ust, zastanawiając się gorączkowo, jak by tu zmienić temat.

— Czy państwo Jantzenowie nie wspominali panu, że Gina dzwoniła z ich mieszkania? — spytałam wreszcie, przypomniawszy sobie, że mój znajomy ze Scotland Yardu kontaktował się z nimi, kiedy podjął kroki w tej sprawie.

— Nic panu nie powiedzieli?

— Nie widziałem żadnego z nich od sobotniego obiadu z Giną — odparł. — Potem do końca weekendu byłem zajęty sprawami osobistymi, a w niedzielę wieczorem wróciłem do Paryża.

— I od tamtej pory nie rozmawiał pan z nimi... ze swoją współpracowniczką... przez telefon?

— Owszem — potwierdził. — Rozmawiałem z Lilian dziś rano, ale przez telefon ograniczamy się wyłącznie do rozmów dotyczących spraw służbowych. Bo to za dużo kosztuje. — Uśmiechnął się. — My, Europejczycy, wcale nie dzielimy tej waszej amerykańskiej pasji do rozmów międzynarodowych!

— Ja też nie oddaję jej się na co dzień — ucięłam oschle na wspomnienie uprzykrzonych rachunków telefonicznych, nadchodzących w anonimowych szarych kopertach.

— No tak — zmitygował się. — Zapomniałem. Pani ma inne, znacznie ciekawsze pasje. Kiedy się pani zainteresowała Szekspirem?

Zorientowałam się, że Garth Cooper potrafi z wielką wprawą kierować rozmowę na interesujący go temat. Podczas długiej wystawnej kolacji rozgadałam się znacznie bardziej, niż mi się to zwykle zdarza z nieznanymi; mocne wino uderzyło mi do głowy, a język rozwiązał się tak dalece, że powiedziałam mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Opowiada-

łam o Nowej Anglii i o Nowym Jorku, o nowym życiu i nowym świecie, o swoich rodzicach, swojej pracy i zainteresowaniach. Rozmawialiśmy o teatrze, filmie, o słowie pisanym i słowie mówionym; ku swojemu zdumieniu wygłaszałam śmiało elokwentne opinie, choć zwykle w takiej sytuacji uciekałabym się do uników lub milczenia. Kiedy siedzieliśmy już przy kawie i likierze Grand Marnier, zrozumiałam, że ten mężczyzna wie już o mnie mnóstwo, a ja o nim nic.

— W jakim college'u studiowałaś? — spytałam. Zdawałam sobie oczywiście sprawę z różnic między angielskim a amerykańskim systemem oświaty, zakładałam jednak, że mój towarzysz odebrał wyższe wykształcenie. — To znaczy na jakiej uczelni?

— Nie studiowałam na żadnej uczelni — odparł wcale nie stropiony. — Mój ojciec zbankrutował, musiałem więc wcześniej podjąć pracę. Jak David Copperfield.

— Och — westchnęłam stropiona, nie wiedząc, co powiedzieć. — Ale do szkoły średniej chodziłeś? Masz maturę?

— Na szczęście mam, bo ojciec wstrzymał się wspaniałomyślnie ze swoim bankructwem do czasu, kiedy skończyłem siedemnaście lat. Chociaż nic by się nie stało, gdybym musiał zrezygnować ze szkoły wcześniej. Chodziłem do jednej z tych szkół, po której przed wychowankami otwierają się niby to wszystkie drzwi, nawet jeżeli nie mają dyplomu uniwersyteckiego. Mówię „niby to”, bo obecnie wszystko się zmienia i dzisiaj oczekuje się od absolwentów odrobiny wiedzy niezależnie od tego, czy uczęszczają do tej czy innej szkoły. To istna rewolucja! Mój ojciec byłby wstrząśnięty.

— To on nie żyje?

- Tak. Chyba to i lepiej. Jego świat przeminął wraz z drugą wojną światową. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych zaszły zbyt wielkie zmiany, żeby mój ojciec mógł je zaakceptować — mówił to zwyczajnie, z pewną melancholią, lecz bez użalania się. — Niedługo potem umarła moja matka. Mam siostrę w Nowej Zelandii i trzy ciotki stare panny, w Norfolk, ale poza nimi nie mam żadnej rodziny, podobnie jak ty... Właściwie nigdy nie rozstrzygnąłem, czy tak jest lepiej czy gorzej. Na pewno brak rodziny to także brak ograniczeń, ale również...

— ...większa samotność — podchwyciłam. Zachodziłam w głowę, jak doszedł do pieniędzy, skoro nic nie odziedziczył po ojcu. — Kiedy poznałeś swoją współniczkę? Długo się znacie?

— Dość długo. Poznałem Lilian dziesięć lat temu, kiedy pracowałem w dziale szkła i porcelany w jednym z londyńskich domów towarowych. Byłem wtedy ekspedientem, a ona jedną z moich najlepszych klientek. Pewnego dnia po około półrocznej znajomości, zagadnęła mnie, czy nie wolałbym pracować w jej firmie zamiast w sklepie. Interesowała ją możliwość importu francuskiej porcelany i szkła oraz sprzedaży ich w Londynie. Miała rozległe znajomości w tej branży, od dawna w niej pracowała, chciała stworzyć rynek dla pewnego typu szkła, którego nie importowano od wybuchu wojny... Jednym słowem, miała kapitał, smykałkę i dobre rozeznanie. Sprzedawałem więc tylko chodliwy towar. Zanim się obejrzelśmy, staliśmy się współwłaścicielami małej, lecz kwitnącej firmy zajmującej się eksportem i importem między Anglią a Francją.

— To wspaniale — powiedziałam. Wprost nie mogłam uwierzyć, że kiedyś był zwykłym ekspedientem. Nie potrafiłam go sobie wyobrazić jako sprzedawcy. — Ale czy... czy lubiłeś swoją pracę?

— Lubiłem zajmować się porcelaną i szkłem. Zwłaszcza szkłem. Szkło bywa takie piękne, takie wytworne. Zawsze uważałem, że moja rola polega na tym, żeby uprzytamniać ludziom, których na to stać, iż nie mogliby wydać pieniędzy na nic bardziej szlachetnego. Wiesz coś o szkłe?

— Nic a nic.

Rozgadał się o nim, przerywając tylko po to, żeby zamawiać kolejne kawy i likiery. Czas, mglisty i nieistotny, płynął leniwie.

— Lilian zna się na tym oczywiście znacznie lepiej ode mnie — zakończył swoją opowieść, z której biła fachowość i entuzjazm znawcy przedmiotu. — Wszystkiego nauczyłem się od niej. — Ta uwaga zabrzmiała jakoś fałszywie; machnął przy tym ręką ze zniecierpliwieniem, jak gdyby chciał odtrącić ewentualną dwuznaczność, i dodał: — To naprawdę wyjątkowa kobieta.

— Na to wygląda — odparłam. — A jej mąż? Nie ma żadnego udziału w firmie?

— Ależ skąd! Lilian nigdy by się na to nie zgodziła! Zresztą Erie jest artystą pochłoniętym własną twórczością. Za nic w świecie nie chciałby się grzebać w papierkach.

— Rozumiem.

— Z początku, kiedy rozkręcałem interes z Lilian, różnie bywało. Erie był chyba odrobinę podejrzliwy, chociaż nie miał powodów do obaw. Z

romantycznego punktu widzenia nie interesują mnie kobiety o dziesięć lat starsze ode mnie, Lilian zaś nie interesuje romantyczny punkt widzenia. Całą swoją miłość oddaje szkłu i porcelanie.

Zastanowiło mnie, dlaczego mi to mówi; zupełnie jakby nieświadomie przybrał postawę obronną w sprawie, która niegdyś bardzo go trapiła. Nagle, pomyślawszy znów o swojej siostrze, powiedziałam:

— Czy twoim zdaniem ktoś z Jantzenów może wiedzieć, gdzie jest Gina? Bardzo się o nią martwię.

Zrobił zdziwioną minę.

— Tak? Ale dlaczego? Na pewno weekend w Londynie tak jej się spodobał, że postanowiła tam zabawić jeszcze kilka dni. Jest przecież modelką, nie jest ograniczona czasem. A skoro Erie zaoferował się przedstawić ją swoim znajomym z kręgów filmowych, nic dziwnego, że została, żeby ich poznać.

Pokiwałam głową. Ponieważ zataiłam przed nim historię Giny przez telefon, nie mogłam oczekiwać, że zrozumie mój niepokój.

— Dzwoniłaś do jej agencji? Może się z nimi kontaktowała.

— Candy-Anna dziś z nimi rozmawiała, ale nic nie wiedzą. Bardzo się denerwowali, bo nie stawiała się dziś do pracy. A mieli dla niej jakieś wyjątkowe zlecenie.

— Hm... — Zamilkł na chwilę. — Spytam jutro Jantzenów, czy nie wiedzą, co się z nią stało.

Omam się nie wygadałam, że wybieram się do Londynu, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Głupotą byłoby zbyt mu ufać. Poza jego słowem nie miałam żadnych dowodów na to, że nie widział Giny od sobotniego popołudnia, a w dodatku zdążyłam nabrać podejrzeń, że umniejsza znaczenie łączącego ich związku. Nagle ogarnęło mnie znużenie, przygnębienie; płomień tętniący w żyłach wygasł, wieczór zastygł w próżni. Garth przesunął rękę po stole, przykrył moją dłoń i rzekł cicho:

— Nie martw się. Na pewno Ginie nic się nie stało. Poczulałam, jak łzy napływają mi do oczu. Wiedziałam, że przemawia przez niego życzliwość.

— Napijesz się jeszcze kawy?

— Nie, dziękuję — odparłam, usiłując przewyciężyć swój niepokój. — Dziękuję. Naprawdę na nic już nie mam ochoty. Kolacja była wspaniała, spędziłam cudowny wieczór.

— Miałabyś ochotę pójść gdzieś jeszcze na kielicha?

— Nie, naprawdę dziękuję. Już ani kropli więcej. Poczułam znów przygnębienie. Raptem przestraszyłam się bezsensownie, że zaraz wybuchnę płaczem i wbrew sobie podzielę się z Garthem swoim strapieniem. Cooper zerknął na zegarek.

— Jeszcze jest wcześnie — rzucił swobodnie. — Do północy daleko. Co byś powiedziała na przejażdżkę Montmar-tre'em i spacer do Sacré-Coeur, żeby zobaczyć światła Paryża? A może wolałabyś przejść się po Polach Elizejskich? Ale jeśli jesteś za bardzo zmęczona i wolisz wrócić do siebie...

Już miałam na końcu języka: „Owszem, musimy się pożegnać...”, coś mnie jednak powstrzymało. Spojrzałam mu w oczy i nagle przygnębienie mi przeszło, minął lęk przed utratą panowania nad sobą. To wszystko przestało się liczyć. Nic nie liczyło się poza tym, że jestem z nim i że jesteśmy w Paryżu. Chciałam zapamiętać ten wieczór do końca życia i nie psuć sobie przyszłych wspomnień jego zbyt szybkim zakończeniem.

Zawołałam więc spontanicznie:

— Chętnie posiedziałabym w ulicznej kawiarence na Polach Elizejskich, żeby popatrzeć, jak wokół wiruje świat!

Garth roześmiał się i powiedział:

— Czemu nie? To świetny pomysł!

Zostawił beztrząsco banknoty na rachunku, nie czekając na resztę, po czym wyszliśmy odprowadzani ukłonami kelnerów i pożegnaniem matre d hotel. Wieczór był ciepły, niebo lśniło odbiciem miliona światła, kocie łby kasały moje pantofle na szpilkach.

Następne trzy godziny mącą mi się nieco w pamięci, nie dlatego, że byłam zbyt zmęczona, ale dlatego, że minęły tak szybko, toteż później zdołałam odtworzyć jedynie poszczególne chwile. Pamiętam dym z papierosa Gartha, który wiał się do góry, kiedy siedzieliśmy w kafejce na Polach Elizejskich, płomyk zapalniczki oświetlającej jego jasne oczy, cienie jego rąk złożonych na stole. Pamiętam zgiełk ruchu ulicznego kilka kroków od nas, gwar przechodniów na szerokim chodniku, nieprzerwany napór obcego języka, który rozbrzmiewał wokół mnie, ale nie mogę sobie przypomnieć naszych głosów ani naszych słów. Potem pojechaliśmy taksówką do jakiegoś lokalu na Montmartrze, potańczyliśmy trochę, jeszcze trochę wypiliśmy, lecz nie pamiętam, że byłam zmęczona, nie pamiętam nawet wyraźnie, gdzie byliśmy. Wreszcie nad ranem znaleźli-

śmy się na schodach Sacré-Coeur, skąd rozciągał się widok na Paryż latem w poświęcie księżyca, ścielący się nam u stóp.

— Och! — wyrwało mi się. Ten okrzyk wyrażał wszystko, co wtedy czułam: radość, że wieczór przerósł moje oczekiwania, smutek, że dobiega końca i prawie na pewno się nie powtórzy, skrupuły, że kompletnie zapomniałam o Ginie, która przedtem tak długo zaprzętała moje myśli. Kiedy westchnęłam, zapatrzona na miasto, Garth, tuż przy moim boku, spytał od niechcienia:

— Jak długo zamierzasz zabawić w Paryżu?

Czar prysł. Nie wiem, czy Garth zadał mi to pytanie dlatego, że chciał się jeszcze ze mną spotkać, czy dlatego, że chciał poznać moje zamiary. Odsunęłam się trochę od niego.

— Sama nie wiem — odparłam. — Nie mam jeszcze skryzalizowanych planów.

— Co się stało?

— Nic! — odparłam trochę zdziwiona. — Dlaczego pytasz?

— Wygląda na to, że coś cię wytrąciło z równowagi.

— Nie. Po prostu rozmarzyłam się. Mogłoby być w życiu więcej takich cudownych wieczorów jak ten.

— Nie widzę powodu, żeby nie było. Nic na to nie odpowiedziałam.

— Niestety nie mogę odwołać jutrzejszego wyjazdu do Londynu, chociaż bardzo chętnie bym to zrobił. Będę tam jakieś pięć dni, może tydzień. Skoro i tak zamierzałaś wybrać się do Anglii...

— Jeszcze nie wiem, co zamierzam — ucięłam trochę zbyt gwałtownie i cofnęłam się pod białe mury Sacré-Coeur. — Rano się zastanowię.

— A nie mogłabyś teraz? — Usłyszałam za plecami jego ciche kroki. — Chciałbym się znów z tobą spotkać. To jakiś absurd, żebyśmy mieli spędzić przyszły tydzień w różnych miastach.

— Dlaczego? — odparłam zaczepnie, siląc się na swobodny ton, który zabrzmiał bardzo hardo i nienaturalnie.

— Na pewno oboje byśmy to jakoś przeżyli. Spodziewałam się szybkiej, zręcznej riposty, ale Garth milczał. Zaskoczona tą nieoczekiwaną reakcją, odwróciłam się do niego. Twarz miał nieruchomą, jasne oczy nieprzeniknione tak jak przedtem.

— Przepraszam — dodałam złośliwie, sądząc, że jeszcze bardziej go tym zdenerwuję. Ale on niczego nie dał po sobie poznać. — Nie powinnam tak mówić. Wybacz mi.

Uśmiechnął się.

— Zasłużyłem sobie na to — odrzekł pogodnie. — Niby dlaczego miałbym ci dyktować, jak masz spędzić urlop? To ja powinienem cię przeprosić.

— Nie, ja...

— E, niech diabli porwą przeprosiny i wszystko inne!

— zawołał w nagłym, nietypowym dla niego wybuchu zniecierpliwienia i po chwili poczułam jego ręce na swojej talii, a jego wargi, chłodne i twarde, na swoich ustach. — Za to też przepraszam — dodał, kiedy mnie po sekundzie puścił.

— Jeżeli oczywiście uważasz, że to wymaga przeprosin. Woląłem już za jednym zamachem załatwić wszystkie przeprosiny... Nie jest ci zimno?

— Troszeczkę — powiedziałam chwytając się pierwszego lepszego pretekstu, który usprawiedliwiłby moją nagłą bladość i drzenie całego ciała. — Ale nie bardzo.

— Wracajmy na plac, poszukamy taksówki. Dwadzieścia minut później taksówka zajęła pod dom mojej siostry. Garth poprosił kierowcę, żeby zaczekał. Odprowadził mnie do drzwi wejściowych, a kiedy zaczęłam mu dziękować za wieczór, sięgnął po portfel i wyjął wizytówkę.

— Ja też spędziłem niezapomniany wieczór. Zostawiam ci swój adres i numer telefonu. Gdybyś się namyśliła na wyjazd do Londynu, zadzwoń do mnie zaraz po przyjeździe, żebym mógł się z tobą spotkać. A jeżeli zostaniesz w Paryżu, zadzwonię do ciebie, jak tylko wrócę z Londynu.

Wizytówka była chłodna i gładka w dotyku. Patrzyłam w oszołomieniu na adres i numer telefonu. Znow chciałam mu podziękować, ale słowa uwięzły mi w gardle.

— No to dobranoc, Claire.

— Dobranoc, Garth.

Jeszcze raz pocałował mnie lekko i już go nie było. Weszłam do środka, zamknęłam drzwi i oparłam się o nie. Słyszałam, jak winda wjeżdża na moje piętro, jak drzwi otwierają się i zamykają, weszłam machinalnie na podest, a potem stałam bez ruchu w ciemnym mieszkaniu, myśląc o tym wszystkim, czego sobie nie powiedzieliśmy. Dopiero po dłuższej chwili zapaliłam światło.

Niemal od razu zobaczyłam liścik od Candy-Anny, zatknięty za tarczę telefonu. Napisała drukowanymi literami:

WARREN MAYNE PROSI O WIADOMOŚĆ, JAK TYLKO PRZYJDZIESZ. SPRAWA PILNA.

Krzyknęłam cicho z wrażenia. Pogrzebałam w torebce, znalazłam skrawek papieru z numerem telefonu Warrena i zaczęłam go wykręcać niepewną, drżącą ręką.

— Na miły Bóg, Claire — przywitał mnie Warren z wymówką w głosie. — Dochodzi trzecia nad ranem! Co ci strzeliło do głowy, żeby dzwonić do mnie o tej porze? Nie jestem nocnym markiem.

Zrobiło mi się głupio, że zachowałam się tak bezmyślnie. Straciłam rachubę czasu, nie spojrzałam nawet na zegarek.

— Strasznie mi przykro — odparłam ze skruchą. — Ale właśnie wróciłam i zastałam liścik od Candy-Anny, żeby natychmiast do ciebie zadzwonić, bo masz pilną wiadomość...

— Na litość boską, czy ta idiotka nie może nawet dobrze przekazać wiadomości? Dzwoniłem tylko, żeby się dowiedzieć, czy zdecydowałaś się lecieć jutro do Anglii. Jeżeli w ogóle pamiętasz — przygadał mi — obiecałaś, że zadzwonisz do mnie po południu do biura, żeby mi dać odpowiedź.

— Ojej, na śmierć o tym zapomniałam! — zawołałam stropiona.

— No tak — skwitował Warren elegancko. — Czy mam przez to rozumieć, że postanowiłaś nie jechać?

— Nie... niezupełnie — powiedziałam z zakłopotaniem. — Postanowiłam jechać. Mam już rezerwację na poranny lot Air France... bardzo mi przykro, Warren, powinnam cię była zawiadomić...

Westchnął.

— Z samego rana zadzwonię do Air France. Może znajdzie się wolne miejsce. Jaki jest numer twojego rejsu? Zresztą nieważne, i tak już się nie dostanę na poranny samolot. Poza tym nie mógłbym tak nagle urwać się z biura. Spróbuję zarezerwować sobie bilet na wieczór. W którym hotelu chcesz się zatrzymać?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałam bez entuzjazmu, bo uprzytomniłam sobie, że towarzystwo Warrena w Londynie to ostatnia rzecz, o jakiej teraz marzę, ale nie wiedziałam, jak go odwieść od zamiaru wyjazdu.

— Najlepszy byłby Regent Pałace albo Strand Pałace. Oba są bardzo dobre, usytuowane w samym centrum, niedrogie i nastawione na Amerykanów, poczujesz się więc jak u siebie w domu. — Zanim

zdążyłam mu powiedzieć, że wolałabym typowo angielski hotel, dodał: — Najpierw sprawdzę w Regent Palace, a jeżeli tam cię nie znajdę, spróbuję w Strand Palace. Jeżeli i tam cię nie będzie, spotkajmy się w czwartek rano o dziewiątej w recepcji Regent Palace.

— Dobrze — odparłam potulnie, za bardzo zmęczona, żeby z nim dyskutować.

— A tak nawiasem, gdzieś ty się podziewała przez cały wieczór? Wydzwaniałem bez przerwy, aż wreszcie o północy złapałem Candy-Annę. Zacząłem już podejrzewać, że też znikłaś. Martwiłem się o ciebie.

Muszę przyznać, że wzruszyła mnie ta jego szczerza troska.

— Po prostu zwiedzałam Paryż — wyjaśniłam.

— Chyba nie sama! — wykrzyknął ze zgrozą.

— Oczywiście, że nie — odparłam oschle. — Przepraszam, Warren, że nie zadzwoniłam zgodnie z umową...

— Słuchaj no... — przerwał mi, lecz dobre maniere nie pozwoliły mu dokończyć. Czułam, jak jego ciekawość rozsadza łączący nas drut telefoniczny, ale zabrakło mu śmiałości, żeby zapytać wprost, z kim wypuściłam się na miasto.

— Tak? — spytałam od niechcena.

— E, nic. No to do zobaczenia jutro wieczorem, zgoda? — Tak. Bardzo ci dziękuję, Warren.

— Nie ma za co — odparł jak dżentelmen. — Na razie, Claire.

— Cześć.

Z westchnieniem ulgi odłożyłam słuchawkę i rzuciłam się na łóżko. Zanim zapadłam w sen, przemknęła mi jeszcze przez głowę myśl, jak Warren zareagowałby na wiadomość, że spędziłam wieczór z Garthem Cooperem.

Odlot miałam o dziesiątej, ale zobaczyłam go, gdy tylko weszłam do hali odlotów. Stał przy oknie i czytał Le Figaro. Poranne słońce podkreślało jego wyraziste rysy, twarz miał spokojną, skupioną. Kiedy rozważałam, dlaczego nie przyszło mi do głowy, że może lecieć tym samym samolotem, podniósł wzrok znad gazety, jakby wyczuł, że ktoś go obserwuje, i nasze oczy się spotkały. Uniósł brwi w wyraźnym zaskoczeniu, a gdy zarumieniłam się zmieszana, posłał mi ten swój niewymuszony, czarujący uśmiech, odrzucił gazetę, jak gdyby stracił dla niej wszelkie zainteresowanie, i podszedł do mnie swobodnym krokiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— A więc w końcu zdecydowałaś się pojechać do Londynu! — Resztki zdumienia na jego twarzy przekształciły się w wyraz zadowolenia. — Miałem taką nadzieję. Kiedy podjęłaś decyzję?

— Och... niedawno — odpowiedziałam mgliście i poczułam, że znów się rumienię z powodu tego uniku.

— Miałaś kłopoty z rezerwacją?

— Nie.

Na szczęście wezwano nas do wyjścia, toteż odwrócił ode mnie wzrok. Przeszliśmy odprawę i już po pięciu minutach siedzieliśmy w samolocie, czekając na chwilę, kiedy maszyna ruszy.

— Jesteś dość nieprzewidywalną osobą, prawda? — zagadnął życzliwie Garth. — Sądziłem, że masz zamiar pozostać w Paryżu.

Uśmiechnęłam się speszona.

— Po namyśle zmieniłam zdanie.

— Tak? A może od początku zamierzałaś lecieć do Londynu?

— Nie wiem, dlaczego tak myślisz.

— Mniejsza o to. Ważne, że tu jesteś. Lubisz latać?

— Powiedzmy, że czasem mniej z tego powodu cierpię niż inni.

— Lot zapowiada się nieźle. Pogoda jest idealna — oświadczył. Usiłowałam przybrać entuzjastyczną minę, ale chyba niezbyt mi to wyszło. Roześmiał się. — Sama się przekonasz!

Okazało się, że ma rację. Lot przebiegał bez zarzutu. Nawet nie przyszło mi do głowy zdenerwować się myślą o tysiącach metrów pustki dzielących mnie od ziemi. Poderwaliśmy się gładko i ruszyliśmy na zachód, zostawiając za sobą Paryż. Słońce z oślepiającą jaskrawością oświetlało ziemię hen w dole.

Nad Garthem stanęła stewardesa.

— Życzy pan sobie coś do picia, monsieur?

— Tak — odparł i zwrócił się do mnie: — Chciałbym uczcić twoją pierwszą wizytę w Anglii. Co powiesz na szampana?

— Och! — zawołałam zaskoczona pomysłem picia szampana przed południem i pomyślałam przelotnie, że wprawiloby to w najwyższe osłupienie moich rodziców. — Bardzo chętnie — odpowiedziałam z poczuciem winy. — Z największą rozkoszą.

Garth zwrócił się do stewardesy.

— Proszę o dwa szampany.

Samolot sunął naprzód. Zdobyłam się na to, żeby wyjrzeć przez okno, zobaczyłam brzeg morza i błysk fal rozbijających się o strzępiaste skały francuskiego wybrzeża. Wydałam okrzyk zachwytu, kiedy podano szampana.

— Wypij do dna — powiedział Garth. — Jesteśmy prawie na miejscu.

— Przecież nie mijaliśmy jeszcze Kanału?

— To nam zajmie pięć minut.

Zajęło chyba jeszcze mniej. Gdy tylko zostawiliśmy w tyle francuski brzeg, zobaczyłam przybliżające się wybrzeże Anglii.

— Gdzie są te słynne białe skały w Dover?

— Jeżeli się nie mylę, znajdujemy się na północ od Dover.

Przelecieliśmy nad kanałem La Manche. Pod nami płynęła teraz rzeka, ogromna wstęga wody. Każde mijane miasteczko otaczały kwadraciki pól, które wkrótce ustąpiły miejsca gęsto zabudowanym terenom. Pomyślałam, że pewnie zbliżamy się do Londynu.

— Widzisz tę wijącą się rzekę? — zapytał Garth. Skinęłam głową i wykrztusiłam:

— Czyżby to była...

— Tak, to Tamiza. Prawdopodobnie będziemy lecieli nad centrum Londynu.

Wtedy nastąpiła najlepsza część naszej podróży. Samolot skierował się na zachód równoległe do biegu rzeki i zobaczyłam Tower Bridge, kopułę katedry Świętego Pawła, wieże tysiąca kościołów, gmach Parlamentu, Opactwo Westminsterskie...

— Zupełnie jak na zdjęciach — powiedziałam w oszołomieniu, jakbym zawsze podejrzewała skrycie, że aparat fotograficzny kłamie.

Tamizę przecinało mnóstwo mostów, jedno proste i masywne, inne kunsztownie gotyckie i wymyślne. Przyglądałam się im zafascynowana. Zanim się spostrzegłam, nasz samolot obniżył lot i już płynął nad zachodnimi przedmieściami Londynu w stronę lotniska. Kiedy dziesięć minut później dotknął kołami ziemi, uprzytomniłam sobie, że pierwszy raz w życiu po wylądowaniu żałuję, iż podróż dobiegła końca.

— To było cudowne! — wyznałam szczerze Garthowi, kiedy rozpieliśmy pasy. — Gdyby wszystkie loty miały tak wyglądać, to piszę się na nie częściej. I bardzo dziękuję za szampana.

Musieliśmy jak zwykle odstać swoje w oczekiwaniu na cło i odprawę paszportową, tyle że Garth, jako obywatel brytyjski, przeszedł przez to wszystko znacznie szybciej niż ja.

— Gdzie tu jest autobus do terminalu? — spytałam zagubiona w kotłownianinie na lotnisku, rozglądając się za znakami informacyjnymi.

— Daj spokój — powiedział Garth. — Ja nigdy nie korzystam z autobusu. Weźmiemy taksówkę. A właśnie, gdzie masz zamiar się zatrzymać?

— Warren Mayne doradził mi Regent Pałace. Albo Strand Pałace. Znasz te hotele?

— Tak — odparł bez większego entuzjazmu. — Oba są usytuowane w samym centrum. Regent Pałace znajduje się tuż przy Piccadilly Circus.

— To mi odpowiada.

Znaleźliśmy taksówkę i znów ruszyliśmy na wschód. Jechaliśmy szeroką nowoczesną arterią, podziwiałam bujną zieleń okolic lotniska, ale zielone tereny wkrótce się skończyły i zaczęły się przedmieścia. W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, rosła liczba nowoczesnych wieżowców. Między nimi biegła górą szeroka szosa, która przypominała mi Autostradę Pułaskiego na obrzeżach Nowego Jorku.

— Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie Londyn — powiedziałam z niedowierzaniem. — Wszystko tu takie nowoczesne.

— A co, spodziewałaś się zobaczyć same dorożki? Roześmiałam się, rozejrzałam po ulicy.

— Tyle tu małych samochodów — stwierdziłam.

— I wszystkie jadą złą stroną. Prawie nie widać dużych samochodów.

— Bo nie ma na nie miejsca.

Zbliżaliśmy się do centrum Londynu. Jechaliśmy Cromwell Road, szeroką ulicą pełną drzew i okazałych kamienic.

— Czy to stare kamienice?

— Nie, względnie nowe. Chyba żadna nie ma więcej niż sto lat.

Londyn migał za oknami taksówki. Garth sypał angielskimi nazwami, wprawdzie dobrze mi znanymi, lecz jakże obco brzmiącymi.

— To jest Kensington... Knightsbridge... Ten park po lewej to Hyde Park... a to Hyde Park Corner... Piccadilly... z prawej Green Park...

— Ale tu dużo parków—powiedziałam ze zdziwieniem.

— I domy takie eleganckie.

Dotarliśmy do Piccadilly Circus i zaraz potem pod hotel Regent Pałace. Garth pomógł kierowcy wyjąć mój bagaż.

— Co powiesz na kolację dziś wieczorem? Wpadłbym po ciebie wpół do siódmej, moglibyśmy najpierw skoczyć na drinka... Do tego czasu porozmawiam z Jantzenami na temat Giny. Odpowiada ci to?

— Tak... dziękuję... — Byłam oszołomiona, obezwładniona obcością nowego kraju.

— Gdybyś chciała się ze mną skontaktować, masz mój telefon do pracy. A zatem do wieczora. — Dotknął lekko mojego ramienia, ale mnie nie pocałował. — Au revoir.

— Do zobaczenia... I jeszcze raz dziękuję.

Wsiadł do taksówki. Słyszałam, jak rzuca prędko kierowcy: — Half Moon Street sześćdziesiąt dwa — po czym odwrócił się do mnie i uniósł rękę w pożegnalnym geście, kiedy samochód ruszał.

Patrzyłam, jak taksówka skręca w Piccadilly Circus, a potem, wciąż jeszcze oszołomiona, skierowałam się powoli do hotelu.

Na szczęście znalazł się dla mnie wolny pokój na piątym piętrze. Kiedy się rozpakowałam i poprawiłam makijaż, usiadłam na łóżku, żeby zadzwonić do mieszkania Giny w Paryżu. Nurtowała mnie uporczywa myśl, że po moim wyjeździe mogła tam wrócić, ale podejrzenia okazały się bezpodstawne, bo telefon nie odpowiadał. Candy-Anna prawdopodobnie wyszła do pracy, a nikogo innego nie było. Upewniwszy się, że Giny wciąż nie ma, zastanowiłam się, czy nie powinnam zadzwonić do Scotland Yardu. Przypomniałam sobie, że dzwoniłam tam z Paryża i prosiłam znajomego inspektora o telefon, może więc próbował mnie łąpać wczoraj wieczór, kiedy spędzałam miło czas z Garthem. Zawahałam się. Może lepiej poczekać, aż Garth porozmawia z Jantzenami? Jak dotąd, miałam dla Scotland Yardu niewiele nowych informacji — poza tym, że Gina wcale nie była z Garthem, kiedy dzwoniła do mnie w sobotę. Ale na czym opierałam tę pewność? Wyłącznie na słowie Gartha. Jeżeli znów zadzwonię do Scotland Yardu, zaczną go przesłuchiwać, śledzić jego kroki...

Uznałam, że lepiej poczekać. Poczekać, dopóki Garth nie porozmawia z Jantzenami. Postawienie na nogi policji przysporzyłoby mu kłopotów, a może też oddaliło ode mnie. Zresztą wierzyłam mu. Byłam przeświadczona, że mówi prawdę.

Czy aby jednak na pewno?

Podeszłam nerwowo do okna i wyjrzałam na Soho. Wciąż krążyłam myślami wokół Gartha, kiedy zadzwonił telefon.

— Czy to pani Claire Sullivan? — spytała telefonistka hotelowa. — Proszę czekać. Łączę Paryż.

Przez dłuższą chwilę serce łomotało mi z ulgą, po czym w słuchawce rozległ się głos... lecz nie Giny, tak jak się spodziewałam, tylko Warrena Mayne'a.

— Claire? Cześć, pomyślałem sobie, że zadzwonię, żeby się dowiedzieć, czy dojechałaś bez kłopotów i czy znalazłaś pokój. Jaka miałaś podróż?

— Dziękuję, dobrą. — Miło z jego strony, że zadzwonił. Usiłowałam zdobyć się na wesoły ton. — Nawet bardzo dobrą.

— To świetnie. Wiesz, udało mi się zarezerwować miejsce na samolot o szóstej wieczorem. Powinienem dotrzeć do ciebie około wpół do dziewiątej.

— Ale ja...

— Pytałem w recepcji twojego hotelu, zarezerwują dla mnie pokój. Zadzwonię zaraz po przyjeździe.

— Tak, ale...

— Posłuchaj, mam dla ciebie niespodziankę. Rano zadzwoniłem do paryskiego biura Gartha Coopera, żeby się dowiedzieć, kiedy wraca do Paryża, i tam mi powiedziano, że właśnie wyjechał do Londynu! Czyli wczoraj był w Paryżu, przedwczoraj chyba też.

— Owszem.

— To znaczy, że już wiesz?

— Spotkałam go dziś rano w samolocie.

— Coś podobnego!

— Tak, lecieliśmy razem. Garth...

— Ale jak go poznałaś?

— Nie rozumiem.

— Jak go rozpoznałaś? Skąd wiedziałaś, że to on?

— A... tak się składa, że poznałam go wczoraj wieczór. Zadzwoniłam, żeby zasięgnąć języka na temat Giny, i spotkaliśmy się w jej mieszkaniu.

— Doprawdy? — Warren nie mógł w to uwierzyć.

— Dlaczego mi o tym, na miłość boską, nie powiedziałaś?

— Kiedy ostatnio z tobą rozmawiałam, dochodziła trzecia nad ranem, a ty nie byłeś w nastroju do pogaduszek. Zresztą niczego się właściwie nie dowiedziałam. Garth twierdzi, że nie widział Giny od obiadu w sobotę.

Warren już miał chyba zakląć siarczyście, ale na szczęście zrezygnował.

— Być może tak rzeczywiście było — rzuciłam obojętnym tonem. — Spotykam się z nim dziś na kolacji, spróbuję wyciągnąć od niego więcej szczegółów.

— Umówiłaś się na kolację? — zapytał Warren jeszcze bardziej zdziwiony. — Z nim? Dziś wieczór?

— Tak, dlatego mnie nie będzie, kiedy przyjedziesz. Jeśli się czegoś dowiem, zadzwonię do ciebie do pokoju zaraz po powrocie.

— Ale... — Warrena dosłownie zatkało. Po chwili opamiętał się. — Uważasz, że mądrze robisz? — zapytał. — Do licha, nie chcę, żebyś i ty znikła! Nie mogłabyś się umówić na drinka o dziewiątej? Poszedłbym wtedy z tobą i dopilnował, żeby nic ci się nie stało...

Zaczęłam wierzyć, że Warren urodził się w niewłaściwym stuleciu. Powinien być rycerzem, który ratuje damy z opresji.

— Nie przejmuj się tak — powiedziałam uprzejmie.

— Dam sobie radę. Poza tym naprawdę nie wierzę, że pan Cooper trudni się handlem białymi niewolnicami. Pogadamy wieczorem... życzę udanej podróży. Dzięki za telefon.

Pozbyłam się go nawet dosyć grzecznie, ale wyczułam, że jego wiara w moje zrównoważenie otrzymała śmiertelny cios. Zastanowiłam się, po czym doszłam do wniosku, że moja wiara w siebie też się chwieje. Czyżbym chwilowo straciła zdrowy rozsądek i popełniła haniebną błąd, ufając Garthowi? Przebiegł mi po krzyżu mały dreszcz. Pogrzebałam w torebce, wyciągnęłam wizytówkę Gartha, podniosłam słuchawkę i poprosiłam telefonistkę o połączenie z jego biurem.

Słyszałam, jak po drugiej stronie dzwoni telefon. Potem odezwał się kobiecy głos:

— Dzień dobry, tu spółka Cooper-Jantzen. Czym mogę służyć?

— Dzień dobry — odparłam. — Czy mogłabym się dowiedzieć, czym zajmuje się państwa firma? Prowadzę ankietę dla ośrodka badania rynku.

— Zajmujemy się importem oraz eksportem szkła i porcelany między Anglią a Francją.

— Rozumiem. Dziękuję.

— Czy chciałaby pani rozmawiać z panią Jantzen?

— Nie, dziękuję. A czy jest pan Cooper?

— Nie, niestety pana Coopera nie ma teraz w kraju.

— A... rozumiem. Dziękuję. Do widzenia. — Powoli odłożyłam słuchawkę. Garth oznajmił mi wczoraj wieczorem, że pilna sprawa w Londynie nie pozwala mu pozostać w Paryżu, ale widocznie sprawa nie była aż tak pilna, żeby musiał dzwonić do biura. Plułam sobie w brodę, że nie spytałam sekretarki, kiedy spodziewa się go z powrotem. Przyszło mi jednak do głowy, że mógł chcieć wrócić nie zawiadamiając współpracownicy. Może nie był aż tak uczciwy, za jakiego go brałam.

Przez chwilę poczułam niepokój, ale zaraz go odsunęłam, zdecydowana nie dać się ponieść wyobraźni, po czym chwyciwszy torebkę zbiegłam żwawo po schodach i wypadłam z hotelu, żeby zwiedzić Piccadilly.

Nie uszłam jednak daleko, bo wysiłek i zmęczenie ostatnich dni najwyraźniej wybrały właśnie to popołudnie, żeby dać o sobie znać, toteż wróciłam do hotelu i wylegiwałam się przez resztę popołudnia. O piątej wstałam, wykapałam się i przebrałam; wpół do siódmej kończyłam się właśnie szykować do wyjścia, kiedy zabrzączał telefon. Dzwonił Garth z recepcji. Serce zaczęło mi bić odrobinę żywiej. Sekundę później z zaschniętym gardłem i trzęsącymi się rękami zesłam na dół.

— Ślicznie wyglądasz! — zawołał na mój widok. — Nie widać po tobie zmęczenia. Nikt by nie przypuszczał, że spędziłaś dzisiejszy ranek pijąc szampana tysiąc metrów nad kanałem La Manche. Robiłaś coś dzisiaj?

— Nie, odpoczywałam po tym szampanie nad Kanałem. A ty? Byłeś w biurze?

— Dopiero o piątej zawiadomiłem Lilian, że jestem. Muszę przyznać, że chciałem trochę odpocząć, podobnie jak ty, dlatego pojechałem wprost do domu. A skoro mowa o Lilian, uznałem, że może zechcesz poznać oboje Jantzenów, więc zaprosiłem ich na drinka przed kolacją do swojego klubu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

— Ależ skąd. Chętnie ich poznam. Pytałeś już panią Jantzen o Ginę?

— Tak. — Otworzył przede mną drzwi i wyszliśmy na ulicę. Po chwili dodał: — Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dzwoniłaś do Scotland Yardu w sprawie telefonu Giny?

Wstrzymałam oddech. Poczułam, że policzki zaczynają mi płonąć. Co za idiotka ze mnie! Że też o tym nie pomyślałam!

— Dowiedziałem się od Lilian, że był u nich policjant z Yardu. Wypytywał o telefon Giny do ciebie. Zakładam, że to ty spowodowałaś wszczęcie postępowania.

— Owszem — potwierdziłam z ociąganiem. Tak mnie to stropiło, że unikałam jego wzroku. — Ja.

Garth uniósł rękę i po chwili podjechała do nas taksówka. Rzucił kierowcy nazwę klubu.

— Dlaczego pomyślałaś, że sprawa wymaga interwencji Scotland Yardu? — spytał, kiedy wpadliśmy w młyn na Piccadilly Circus i posuwaliśmy się wolno w korku wokół Erosa.

— Po co się z nimi kontaktowałaś?

— Bo się martwiłam — odparłam po chwili.

— Domyślam się — powiedział Garth z leciutką ironią.

— Skoro zdecydowałaś się na telefon z Nowego Jorku do Scotland Yardu...

Nie potrafiłam znaleźć na to odpowiedzi.

— Co dokładnie Gina powiedziała ci przez telefon? — spytał. — Chyba rozmowa musiała mieć trochę inny przebieg, niż mi przedstawiłaś.

— Chodzi o to, że przerwano połączenie — odparłam pospiesznie. — A kiedy zdołałam ustalić numer i zadzwoniłam do niej sama, telefon nie odpowiadał. Wpadłam w popłoch.

Spojrzał na mnie dziwnie, jak gdyby podejrzewał, że nadal zatajam część prawdy, lecz nic nie powiedział.

— Co ci mówili Jantzenowie? — wyjąkałam. — Podali jakiś powód, który tłumaczyłby całą sytuację?

— Właściwie to nie. Lilian wpuściła Ginę do domu, ale musiała biec na spotkanie ze znajomymi, zostawiła ją więc samą na jakiś czas. Erie, z którym Gina miała porozmawiać na temat znajomości w kręgach filmowców, spóźnił się, a kiedy w końcu wrócił, nie zastał już Giny. Doszedł do wniosku, że nie chciało jej się na niego czekać i zbagatelizował całą sprawę, dopóki nie zaczęła go indagować policja. Przedtem usiłował złapać Ginę w hotelu, żeby ją przeprosić za swoje uchybienie, ale powiedziano mu, że wieczorem się wyprowadziła.

— Przed wizytą u Jantzenów czy po? — spytałam.

— Chyba nie próbował tego ustalić. Dzwonił do hotelu przed przybyciem policji... nie miał pojęcia, że coś jest nie w porządku. Wtedy nie wiedział nawet, że Lilian wpuściła Ginę do mieszkania. Kiedy policja

oświadczyła mu, że Gina musiała być u nich w domu, założył nie wiadomo czemu, że to ja wpuściłem Ginę. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego uważał, że będę jej towarzyszył. Wcale nie byłem zainteresowany rozmową o jego kontaktach filmowych.

— Ale masz klucz do mieszkania Jantzenów?

— Tak. Kiedyś się u nich zatrzymałem i dorobiłem sobie klucz. Teraz też czasem z niego korzystam, kiedy przyjmuję tam klientów. Zawsze tak robimy, bo ich mieszkanie jest znacznie większe od mojego. Zresztą Lilian ma również klucz do mojego domku w Surrey, bo zdarza nam się zapraszać klientów na weekend na wsi.

Znów pomyślałam o swojej siostrze.

— W jakim hotelu mieszkała Gina?

— W Westbury, tuż przy Bond Street.

— Gdybyśmy więc zdołali ustalić, że wyprowadziła się stamtąd po telefonie do mnie, to przynajmniej wiedzielibyśmy, że była cała i zdrowa już po wizycie u Jantzenów.

— Jestem przekonany, że jest cała i zdrowa — odparł Garth. — Szczerze mówiąc, podejrzewam, że ugania się teraz po prostu za którymś z tych filmowców, o których Erie wspomniał jej przy sobotnim obiedzie. Kiedy zawiódł ją w sobotę wieczór, pewno machnęła na niego ręką i uznała, że nie ma co dłużej czekać. To mi bardzo pasuje do Giny, żeby wybiec pod wpływem impulsu, z przeświadczeniem, że na własną rękę podbije świat filmu.

— A ja sądziłam — powiedziałam — że nie znasz aż tak dobrze Giny.

Uśmiechnął się leciutko.

— Nie ufasz mi, prawda? — Wyrzwał przez okno. — To jest Pall Mall — rzucił z roztargnieniem. — Tam na końcu znajduje się St James's Palace. A dalej St James's Street, która prowadzi z powrotem na Piccadilly.

Patrzyłam tępo przez okno.

— Sądzisz, że coś jej się stało w mieszkaniu Jantzenów? — spytał Garth dość nieoczekiwanie.

Skinęłam głową, nie patrząc w jego stronę.

— Wydała ci się wystraszona?

— Tak.

— Krzyczała? Nie mogła złapać tchu? Wołała o pomoc?

— Nie... nie, po prostu odłożyła słuchawkę w trakcie rozmowy, bez uprzedzenia, jakby jej ktoś przerwał.

— Dziwne... Wydaje mi się jednak, że gdyby na przykład włamywacz wszedł do mieszkania, krzyknęłaby na jego widok. Skoro sama odłożyła słuchawkę, wersja z włamywaczem raczej odpada.

— Tak — zgodziłam się niepewnie. — Chyba tak.

— W gruncie rzeczy nie tak znów wiele mogło jej się zdarzyć. Czemu niby Jantzenowie mieliby jej źle życzyć? Prawie jej nie znali. Nie miała powodu bać się ich.

— To prawda...

— Najprawdopodobniej policja zdażyła już ustalić, o której Gina wyprowadziła się z hotelu Westbury. Jeżeli chcesz, możemy jeszcze dziś do nich zadzwonić, żeby dowiedzieć się czegoś więcej i zameldować, że nadal się nie znalazła.

— A jeżeli wyprowadziła się po tym telefonie, a nie przed...?

— To przekonamy się przynajmniej, że nic jej się nie stało u Jantzenów.

— Zawahał się. — Jesteś pewna — spytał — absolutnie pewna, że Gina nie wypła wtedy za dużo? Bardzo niechętnie cię o to pytam, ale to jedyne oczywiste wytłumaczenie, jakie mi się nasuwa.

— Nie. Jestem pewna, że nie — odpowiedziałam bez namysłu. — Zresztą gdyby tylko o to chodziło, byłaby już z powrotem w Paryżu.

— Masz rację.

Skręciliśmy z Piccadilly w gąszcz małych uliczek.

— To Mayfair — rzucił Garth, kiedy mijaliśmy rzędy eleganckich domów przetykanych gdzieniegdzie ekskluzywnymi sklepami. — Dojeżdżamy do mojego klubu.

Taksówka skręciła w prawo i podjechała pod okazałą kamienicę z marmurowymi kolumnami po obu stronach drzwi frontowych.

— Jesteśmy na miejscu.

Wyszedł pierwszy, pomógł mi wysiąść i dopiero potem uregulował należność za kurs. Kiedy taksówka odjeżdżała, weszliśmy do środka. Minęliśmy kilka korytarzy, wspaniałe schody z balustradą z kutego żelaza, i w końcu znaleźliśmy się w małym przytulnym barze wychodzącym na patio.

— Jeszcze ich nie ma — rzekł Garth, rozejrzawszy się po sali. — Usiądziemy na zewnątrz, czy będzie ci za chłodno?

— Nie, wolę na zewnątrz.

Zaprowadził mnie do stolika ocienionego kolorowym parasolem. Gdy tylko usiedliśmy, zjawił się kelner.

— Dla mnie tom collins — poprosiłam z pewnym wahaniem.

Kelner uśmiechnął się wyniośle.

— Raczej zamów dzin z tonikiem — podsunął Garth, a kiedy kiwnęłam głową, rzucił kelnerowi: — Dla mnie wytrawne martini.

Kiedy kelner zniknął w głębi baru, minęła go para ludzi zmierzających na patio. Garth dojrzał ich zaraz po mnie i podniósł rękę na powitanie.

— Nie mogliśmy cię znaleźć! — zawołała kobieta. — Co się tak chowasz pod tym idiotycznym parasolem?

— Nie czytałaś w gazecie, że mamy dziś najgorętszy lipcowy dzień od trzydziestu lat?

Wybuchnęli śmiechem, a kiedy podeszli bliżej, stwierdziłam z niejakim zaskoczeniem, że wyglądają zupełnie inaczej, niż ich sobie wyobrażałam. Chyba spodziewałam się wytwornej, olśniewającej pary, żony imponującej przedsiębiorczością i męża imponującego ekstrawagancją. Tymczasem nic mi w nich nie zaimponowało. Lilian Jantzen była zażywną blondynką, ubraną skromnie i niezbyt gustownie: miała na sobie granatowy lniany kostium z klasycznymi, lecz nie najlepiej dobranymi białymi dodatkami. Przypominała kurę domową, która przyjąwszy nieoczekiwaną propozycję wyjścia, wrzuca na siebie z roztargnieniem pierwszy lepszy ciuch z szafy, planując jednocześnie zakupy na następny dzień. Skutek był znośny, ale nie wywoływał wrażenia. Erie Jantzen też był zażywnym blondynem i miał jowialny uśmiech, który od razu skojarzył mi się z typowym amerykańskim sprzedawcą. Pomyślałam z rozbawieniem, że Garth, który przynajmniej wyglądał, jakby miał artystyczną duszę, był sprzedawcą, Jantzen natomiast sprawiał wrażenie sprzedawcy, chociaż w rzeczywistości był artystą.

Garth dokonał prezentacji. Po wymianie uśmiechów i uścisków rąk usiedliśmy. Wrócił kelner z naszymi trunkami i przyjął zamówienie od Jantzenów; zauważyłam, że zamawia Lilian Jantzen, a nie Erie. W dodatku zamówiła wszystko bez porozumienia z mężem.

— Miło tu — rzuciła zdawkowo, rozglądając się po patio. — Chyba ładniej niż przedtem. — Zaczęła ściągać rękawiczki. — Witam w Anglii, panno Sullivan! Bardzo mi przykro, że ma pani zmartwienie z siostrą.

— Obojgu nam przykro — dodał jej mąż. Zabrzmiało to tak, jakby ją poprawiał. — Obojgu. Nie wiemy doprawdy, co się mogło stać. Sądziliśmy...

— Kontaktowała się pani znów ze Scotland Yardem? — spytała Lilian, wpadając mężowi w słowo. — Mają jakieś nowe informacje?

— Nie — odparłam. — Muszę jeszcze poczekać.

— Z pewnością nie mogło się stać nic poważnego — usiłowała mnie pocieszyć. — Odniosłam wrażenie, że pani siostra jest bardzo zaradną osobą, która dokładnie wie, czego chce.

— Być może — odparłam pełna wątpliwości, czy ten opis pasuje do Giny. — Tak pani uważa?

— Bez dwóch zdań! — Była pewna siebie, opanowana. Uśmiechała się do mnie życzliwie, a jej oczy, mgliste przedtem i rozkojarzone, jakby zaprzętały ją znacznie ważniejsze myśli, teraz przybrały bardziej sympatyczny, bardziej łagodny odcień błękitu. Przemknęło mi przez głowę, że przed dwudziestu laty musiała być piękną kobietą. — Gina to bystra, inteligentna, ambitna dziewczyna. W przeciwnym razie nie odniosłaby sukcesu jako modelka. Osobiście uważam, że poleciała do Rzymu na spotkanie z producentem filmowym, Dinem di Lasci, znajomym Erica. W sobotę przy obiedzie Erie wspomniał jej o nim. Pewno od razu postanowiła, że musi jak najprędzej skoczyć do Rzymu.

— W takim razie po co w ogóle przyszła do państwa w sobotę wieczór? — spytałam z wahaniem. — Skoro nie musiała...

— Erie miał z nią omówić jakieś szczegóły, ale niestety coś go zatrzymało, a ona pewno straciła cierpliwość i wyszła. Zdażyłaby chyba jeszcze na wieczorny samolot do Rzymu.

Garth, obracając machinalnie w palcach kieliszek, powiedział:

— Ale jak wytłumaczyć ten telefon przez ocean, Lilian? Po co Gina miałaby dzwonić do Stanów?

Erie Jantzen wzruszył ramionami.

— Młoda dziewczyna, pełna emocji... Nic w tym dziwnego. — Dopiero teraz zauważyłam, że mówi z nieznacznym obcym akcentem, którego nie potrafiłam rozpoznać. — Pewnie chciała zaprosić siostrę do Europy, żeby też się trochę rozerwała.

— Mój drogi Ericu — wtrącił Garth — Claire nie dzwoniłaby do Scotland Yardu, gdyby Gina tryskała radością życia.

Jantzen udał, że zbiło go to z tropu. Ściągnął brwi w namyśle, który zasnuł jego okrągłą twarz.

— A może do domu chciał wtargnąć włamywacz... dziewczyna wystraszyła się...

— Włamywacz? — przerwał mu Garth. — Chyba chciałeś powiedzieć: porywacz? Przecież nic nie znikło po tym telefonie poza Giną.

— Garth, potrafisz tylko krytykować — przygadała mu Lilian. Ale jej głos nie zdradzał napięcia. Spojrzała na niego ciepło i łagodnie błękitnymi oczami, uśmiechnęła się ciepło i łagodnie, ale on wcale na nią nie patrzył. Wciąż bawił się swoim kieliszkiem i obserwował, jak trunek unosi skrawek plasterka cytryny do brzegu.

— Zapali pani, panno Sullivan? — zwrócił się Jantzen do mnie.

— Dziękuję, nie palę.

— Lilian?

— Nie, dziękuję, kochanie. — Posłała mu równie ciepły uśmiech, ale powiedziała to bardziej chłodno, jak gdyby chciała go skarcić. Znów spojrzała na Gartha: — Masz jakieś konstruktywne pomysły zamiast tej destruktywnej krytyki?

— Nie mam żadnego pomysłu, w który gotów byłbym uwierzyć.

Przyjął papierosa od Erica Jantzena i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę.

— A widzisz! — zawołał Jantzen i roześmiał się dobroduszenie, jak gdyby Garth powiedział jakiś dowcip. — W takich chwilach czepiają się nas bzdurne pomysły... na przykład przybysze z kosmosu. Albo duchy. Albo...

— Proszę cię, kochanie — napomniała go Lilian z takim opanowaniem, że dopiero kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, jak bardzo jest zdenerwowana. — To nie pora na żarty.

Jantzen skurczył się jak przekłuty balon.

W tej samej chwili kelner zjawił się z ich zamówieniem. Wznieśliśmy pospiesznie toast, po czym sączyliśmy w milczeniu swoje trunki.

— Czy Gina nie wspominała ci o swoich planach? — zagadnął Gartha Erie Jantzen, jak gdyby pragnął dowieść, że potrafi zabrać poważnie głos w tej sprawie. — Nie zwierzała ci się?

Nie wywarło to wrażenia na Lilian. Odwróciła się do mnie i już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, kiedy Garth zapytał:

— Niby dlaczego Gina miałaby mi się zwierzać?

— Bo sądziłem, że ty i ona... — Erie urwał, powiódł promiennym wzrokiem po wszystkich, a potem skulił się w sobie, kiedy zrozumiał, że trudno mu będzie dokończyć podjętą kwestię. — Bo zdawało mi się, że Gina... ma o tobie wysokie mniemanie — zaryzykował na próbę. — Przecież spotykałeś się z nią w Paryżu. Sądziłem, że...

— Kochanie — przerwała mu Lilian — nie musisz tak fantazjować, żeby nam przypominać, że jesteś artystą.

— Stłumiła ziewnięcie. — Przecież to jasne jak słońce, że Gina szaleje na punkcie swojej kariery, a nie Gartha.

Milczenie Jantzena było bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa zaprzeczenia.

— Zgadza się z tobą, Lilian — odezwał się Garth.

— Co nie znaczy, że nie wspominam miło tych kilku spotkań. Gina jest bystra, sympatyczna i na swój sposób potrafi człowieka rozerwać. — Spotkaliśmy się wzrokiem ponad stołem; puścił do mnie oko tak szybko, że potem zachodziłam niemal w głowę, czy mi się to nie przyśniło. — Ale ja wolę inne rozrywki.

Przyciszone głośniki, których używano tu do rozmaitych ogłoszeń, zamruczały we wszystkich przyległych salach.

Cała nasza czwórka drgnęła nieznacznie na dźwięk nazwiska Gartha.

— Telefon do pana Gartha Coopera... Pan Garth Cooper jest proszony do telefonu.

Lilian zrzuciła z twarzy maskę rozkojarzenia niczym zbędną część garderoby i zareagowała z najwyższą czujnością.

— Sądzisz, że to sprawa służbowa? Przecież nikt nie wie, że wróciłeś!

— Dzwoniłem dziś z domu do Briggsa i Douglasa w sprawie umowy z Remy — odparł Garth. — Wybaczcie, muszę was na chwilę przeprosić.

Wstał i znikł w środku klubu. Wtedy przypomniałam sobie, że wcześniej twierdził, iż przespał całe popołudnie i nawet do Lilian zadzwonił dopiero o piątej.

Jantzenowie popatrzyli na siebie. Po chwili Erie Jantzen rzucił domysł:

— Może to Therese? — Pewnie tak.

Zapadło milczenie. Po jakichś pięciu sekundach, które uleciały wraz z kłębam dymu wypuszczanymi miarowo przez Erica, odezwałam się z wahaniem:

— Kto to jest Therese?

— Therese? — powtórzyła Lilian, odrobinę zaskoczona. — Nie powiedział ci? Jest... była... jego narzeczoną. I była mu kulą u nogi! Odetchnęłam z ulgą, kiedy wreszcie miesiąc temu zerwał zaręczyny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na chwilę zapomniałam, gdzie jestem, zapomniałam o patio z kolorowymi parasolami, zapomniałam o Jantzenach, którzy mimo atmosfery przyjemnego odprężenia najwyraźniej wciąż się ze sobą droczyli. Znów byłam w Paryżu i rozmawiałam z Garthem na temat Warrena i Giny. Garth mówił: „Trudno nie żałować kogoś, komu naprzykrza się osoba, z którą zerwało się zaręczyny”. Zakreśliło mi się w głowie od natłoku różnych możliwości: powiedzmy, że Gina poznała Therese, a ta zrobiła jej scenę albo zaczęła jej grozić, i wtedy moja siostra mogła się zdenerwować i uciec. Nie czekając, aż te domysły skryształizują mi się w głowie, spytałam bez zastanowienia:

— Skoro już nie są narzeczonymi, to dlaczego ta Therese do niego dzwoni? Nadal się przyjaźnią?

— Moja droga — odezwała się Lilian tonem pełnym aluzyjności. — Słowo „przyjaźń” absolutnie nie oddaje kuriozalnego stosunku Therese wobec Gartha. Ta kobieta do tej pory nie pogodziła się z faktem zerwania zaręczyn i postępuje doprawdy idiotycznie. Chyba w ogóle nie ma ambicji. Najwyraźniej uważa, że swoimi burzliwymi, namiętnymi scenami i szaloną zazdrością wymusi zmianę decyzji Gartha, który zgodzi się ją poprowadzić do ołtarza. — Wykonała niedwuznaczny gest jawnego obrzydzenia. — I po co to wszystko? Ale czego można się spodziewać po Francuzce? Francuzi nie znają umiaru ani powściągliwości. Wszystko jest dla nich La Grandę Passion.

— Czy ona mieszka w Paryżu?

— Nie, w Londynie. Pracuje w ambasadzie francuskiej. Muszę przyznać, że bardzo się na niej zawiodłam. Nawet od Francuzki można chyba wymagać odrobiny rozsądku, kiedy romans się skończy! Na litość boską, przecież takie rzeczy się zdarzają!

Erie Jantzen odezwał się do swojej whisky z lodem:

— Ona go kochała.

— Mój drogi, absolutnie nie uważam, żeby miłość dawała komukolwiek prawo do tak dalece niekulturalnych zachowań! — powiedziała Lilian z najwyższą odrazą, jak gdyby miłość była błahą przypadłością, którą uleczyć dwie aspiryny i dziesięciominutowa drzemka. — Bardzo się na Therese zawiodłam. Miałam ją za dojrzałą, atrakcyjną kobietę, elegancką i idealną

dla Gartha, chociaż od początku podejrzewałam, że okaże się zbyt zaborcza, by znosić te jego bez troskie flirciki, którym się czasem oddaje...

Raptem owionął mnie chłód. Zrobiło mi się zimno, poczułam się opuszczona.

— Jeżeli ktoś jest zaręczony — skomentował Jantzen — to powinien flirtować z narzeczoną, a nie z innymi kobietami.

— Mój kochany, mówisz, jakby Garth był jakimś Casanovą! Wiesz równie dobrze jak ja, że czaruje wszystkie kobiety... na pewno panna Sullivan mnie w tym poprze... ale rzadko flirtuje z rozmysłem. To kobiety dopatrują się flirtu w jego rewerencjach! A ponieważ Thérèse jest chorobliwie zazdrosna, w każdym, nawet najdrobniejszym przejawie jego szacunku dla pań musiała doszukiwać się dowodu lub zapowiedzi potajemnego romansu.

— Moim zdaniem Therese wcale nie była bardziej zazdrosna, niż inna byłaby na jej miejscu.

— Nie masz racji — ucięła Lilian. — Zachowywała się zupełnie bezsensownie. Dobrze się stało, że zerwali zaręczyny. Po ślubie Garth na pewno by się przekonał, że nie może z nią żyć.

Erie Jantzen znów zamilkł wymownie. Pragnąc za wszelką cenę przerwać milczenie, spytałam prędko:

— Czy Gina poznała Therese?

To pytanie zaskoczyło ich oboje; rzucili mi surowe spojrzenia, po czym popatrzyli po sobie.

— Nic nam nie wspominała — odparła Lilian z powątpiewaniem. — Nie sędzę. Nie, to niemożliwe. Gdyby Therese zobaczyła Ginę z Garthem, urządziłaby wielką scenę i Garth by nam o tym powiedział. A nic nie mówił.

— Bo przyszło mi do głowy, że jeżeli taka scena rozegrała się u państwa w domu, na przykład jeżeli Therese zastała tam Ginę z Garthem...

— Ale dlaczego Therese miałaby przychodzić do naszego mieszkania? — spytał Erie Jantzen, marszcząc brwi. — Nie miała żadnego powodu.

— Mogła na przykład śledzić Gartha — podsunęła Lilian. — Garth mógł się zjawić, kiedy zostawiłam Ginę samą w mieszkaniu.

— Przecież twierdził, że go tam nie było!

— Może jednak doszło do sceny i dlatego wolał się nie przyznawać. — Lilian zapatrzyła się z zadumą w swoje sherry. — Może scena była tak przykra, że musiał wyprowadzić Thérèse. Wtedy Gina, roztrzęsiona,

zadzwoiła do pani. I odłóżyła słuchawkę po nadejściu Gartha. — Patrzyła teraz na mnie, nie zwracając uwagi na męża. — Czy taka wersja do pani przemawia?

— Bardziej niż wszystkie dotychczasowe domysły—odparłam z wahaniem.—Ale dlaczego Garth nam o niczym nie wspomniał? I dlaczego Gina nie zadzwoniła do mnie później, żeby wyjaśnić, co się stało? No i gdzie jest teraz?

Lilian wzruszyła ramionami.

— Może się mylimy. — Zerknęła na oszklone drzwi prowadzące do baru. — O, już idzie... Garth, czy podczas weekendu Gina spotkała Therese?

Garth stanął jak wryty, zupełnie jakby przytrzymała go niewidzialna ręka. Przybrał kamienną minę, nie zdradzającą żadnych uczuć.

— Czy my musimy rozmawiać o Therese? — Po raz pierwszy usłyszałam gniew w jego głosie. — Czy to naprawdę konieczne?

— Nie, mój drogi — odpowiedziała Lilian dokładnie takim samym tonem, jakim zwracała się do męża. — Niekonieczne. Zachowałam się jak osoba grubiańska i wścibska. Czy to dzwonił Douglas w sprawie umowy z Rémy? Co mówił?

— Nie, to nie był Douglas. Dzwonił ktoś z moich znajomych w prywatnej sprawie. — Garth usiadł przy stole, dopił szybko martini, po czym spojrział na zegarek. — Claire, musimy już iść. Jest później, niż sądziłem.

— Och, Garth! — wykrzyknęła Lilian, na poły z wymówką, na poły z irytacją. — Po jednym kieliszku? Nie miałam nawet okazji dowiedzieć się niczego o pannie Sullivan!

— Uśmiechnęła się do mnie zachęcająco. — Na pewno się jeszcze pani napije, prawda?

— Tak się składa... — szukałam jakiegoś wykrętu, aż wreszcie zdecydowałam się powiedzieć prawdę — ...że sporo już dzisiaj wypiałam, a to nie leży w moim zwyczaju. Chyba więc poprzestanę na tym jednym kieliszku. Ale proszę się nie krępować...

— Może kiedy indziej, Lilian — powiedział Garth.

— Moglibyśmy zjeść razem kolację przed wyjazdem Claire z Londynu. A na razie musicie nam niestety wybaczyć.

Lilian westchnęła z rezygnacją i rozłóżyła pulchne zadbane ręce w geście rozczarowania.

— Jak sobie życzysz.

Dopiliśmy trunki i wróciliśmy przez bar do głównego holu.

— Bardzo mi było miło panią poznać, panno Sullivan

— powiedział serdecznie Erie Jantzen przy pożegnaniu.

— Szkoda, że to spotkanie było takie krótkie. Musimy się jeszcze zobaczyć przed pani wyjazdem.

— Bardzo chętnie. Dziękuję — odpowiedziałam.

— Jak długo zamierza pani tu zostać? — spytała Lilian.

— Jeszcze nie wiem. Chyba kilka dni.

— Oby jak najszybciej coś się wyjaśniło w sprawie pani siostry. — Kiedy ścisła mi rękę, potrząsnęła nią ze współczuciem. — Garth, dasz nam znać, jak coś będzie wiadomo? Bardzo się tym przejęłam, zwłaszcza że Gina najwyraźniej znikła po wizycie u nas. Ale jestem pewna, że to nic poważnego. Może Erie ma rację, że poleciała do Rzymu na spotkanie z Dinem di Lasci?

Mówiła to jednak z wielkim powątpiewaniem, jak gdyby Erie tak rzadko miewał rację, że nie można było polegać na jego domysłach.

Odźwierny wezwał dwie taksówki; Garth i ja wsiedliśmy do pierwszej, a kiedy obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że Jantzenowie wsiadają do drugiej. Erie Jantzen pomachał nam na odjeźdźnym.

— To bardzo sympatyczny człowiek — odezwałam się, unosząc automatycznie rękę w geście pozdrowienia. — Ale Lilian chyba mu ciosa kołki na głowie, co?

— Oni tak zawsze, odkąd ich znam — rzekł Garth. — Pewno oboje już do tego przywykli. — Odwrócił się do mnie, poraziła mnie nagle jego bliskość. — Przepraszam cię za ten pośpiech — dodał. — Po prostu... — urwał. Nastąpiła cisza.

— Tak? — spytałam nerwowo. Jego oczy lśniły gniewem.

— Po prostu chciałem zostać z tobą sam na sam — wyjaśnił prędko. — Chciałem, żebyś usłyszała o Therese ode mnie, a nie od Jantzenów.

— Lilian na pewno nie chciała być niedyskretna. Tylko zastanawiała się, czy... — odezwałam się po chwili.

— Czy Gina spotkała Therese? Nie chciałem jej tego mówić. Ale tobie teraz powiem. Owszem, doszło do spotkania. Spotkały się w zeszły weekend, kiedy Gina przyjechała do Londynu. Rozegrała się wtedy najbardziej ohydna, niesmaczna scena, jaką można sobie wyobrazić.

— Jak wiesz, Gina i ja przyjechaliśmy tu z Paryża w zeszły piątek wieczorem—zaczął, kiedy taksówka wjechała na Berkeley Square. — Lilian знаła godzinę naszego przylotu i pewnie napomknęła o tym w rozmowie Ericowi. Erie z sobie tylko znanego powodu poinformował o tym Therese, która zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, kiedy wracam do Londynu. Wyjechała po mnie samochodem na lotnisko i zastała mnie z Giną. Przyjęła oczywiście najgorszą wersję. Uczepiła się myśli, że w moim życiu jest inna kobieta. To jej dawało konkretny powód do zerwania naszych zaręczyn. Nie mogła się pogodzić z tym, że to ona ponosi winę, nie ja. Ściślej rzecz biorąc, nie mogła chyba uwierzyć, że winę ponosimy oboje... bo po prostu do siebie nie pasujemy. Chciała utwierdzić się w przekonaniu, że znalazłem sobie kogoś innego, żeby obarczyć winą mnie, a oczyścić siebie. Sama rozumiesz, po prostu chciała widzieć źródło zła w Ginie. Oszczędzę ci ponurych szczegółów sceny na lotnisku. Dość powiedzieć, że chcąc jak najszybciej to zakończyć, wsadziłem Ginę do taksówki, żeby pojechała do hotelu, a sam drugą ruszyłem do siebie. Szczerze mówiąc, obawiałem się, że Therese pojedzie za mną, żeby ciągnąć kłótnię, ale nie posunęła się tak daleko. Zadzwoniła natomiast do mnie później. Powiedziałem jej prawdę, że między Giną a mną nic nie ma, zresztą nawet gdyby było, to już na pewno nie jest jej sprawa, i odłożyłem słuchawkę, nie czekając na komentarz.

Przecieliśmy New Bond Street i pędziliśmy na wschód w kierunku obwodnicy Mayfair.

— I widziałeś się później w sobotę z Thérèse? — spytałam w końcu ostrożnie. — Razem z Giną?

— Nie — odparł. — Gina już nie spotkała Therese, która nawiasem mówiąc od tamtej pory się do mnie nie odezwała. Może wreszcie nabrała rozumu. — Wyjął papierośnicę, ale po chwili schował ją znów do kieszeni. Przecieliśmy Regent Street i zapuściliśmy się w głąb Soho. — W sobotę — podjął — zanim zabrałem Ginę na obiad z Jantzenami, przeprosiłem ją za tę scenę. Przyjęła to wyrozumiale, toteż oboje uznaliśmy całą sprawę za niebyłą. Potem zjedliśmy obiad z Jantzenami i nasze drogi się rozeszły.

— Rozumiem.

Po namyśle dodał cierpko:

— Teraz już wiesz, dlaczego żal mi było Giny, kiedy jej były narzeczony tak niestosownie zabiegał o jej względy.

— Tak, tak. Oczywiście.

— Therese i ja byliśmy zaręczeni przez trzy miesiące, ale prędko się przekonałem, że popełniliśmy błąd. Nie pasowaliśmy do siebie. Wszystko zaczęło się strasznie gmatwać...

Nie wiedziałam, co powiedzieć, i w końcu nie powiedziałam nic. Kiedy milczenie się przedłużało, Garth odezwał się pierwszy:

— Czy Lilian wspomniała o tym, co się stało?

— Z Therese? Tak, powiedziała, że Therese zachowywała się dość niemądrze i że była trochę zazdrosna...

— Czyli ci powiedziała. — Był teraz nie tyle zły, co poirytowany. Patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie. — No tak. Therese nabiła sobie głowę, że coś mnie łączy z Lilian. Trudno o większy bezsens, bo łączy nas tylko służbowa przyjaźń, i tak było od początku. Ale Therese dopatrywała się w tym czegoś więcej. Tak się złożyło, że zaraz po zaręczynach musiałem wyjechać razem z Lilian do Paryża na wystawę i na konferencję. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że Therese może być zazdrosna o Lilian, ona jednak poleciała za nami do Paryża i wykryła, że oboje zatrzymaliśmy się w moim mieszkaniu. Pewnie to było głupie z naszej strony, bo takie sytuacje stwarzają okazję do błędnych interpretacji, ale tyle razy wcześniej tak robiliśmy, że nie przyszło nam do głowy, by coś tu zmieniać. Rozkładałem w gabinecie łóżko polowe, a Lilian spała na wersalce w salonie; było to oszczędne i wygodne, zwłaszcza w dawnych czasach, kiedy liczyliśmy każdy grosz. Ale Therese natychmiast uznała, że może to znaczyć tylko jedno. Tłumaczyłem jej, że Lilian poświęca życie karierze i że po prostu nie interesuje się niczym poza pracą, jednak Therese chyba nigdy mi do końca nie uwierzyła. Od tamtej pory wszystko zaczęło się pomału między nami psuć, aż wreszcie uznałem, że nie ma innego wyjścia, jak się wycofać. Niestety okazało się, że Therese tak się przejęła swoją rolą zazdrosnej narzeczonej, iż nie może znieść myśli o zerwaniu. Wtedy zaczęły się kłopoty...

W innych okolicznościach takie oględne stwierdzenie przyjąłabym z rozbawieniem, ale teraz zbyt mocno dręczyło mnie poczucie winy; zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu, że mnie źle zrozumiał i że Jantzenowie nie wspominali nic o podejrzeniach Therese wobec Lilian. Zanim powzięłam decyzję, dojechaliliśmy do restauracji i szansa wyjaśnienia sprawy umknęła.

Restauracja była duża i wykwintna, a przy tym, mimo liczby gości, bardzo spokojna. Kiedy już złożyliśmy zamówienie, powiedziałam spontanicznie:

— To bardzo miło z twojej strony, że zaprosiłeś mnie na kolację, zwłaszcza że masz tyle kłopotów.

Zrobił zdziwioną minę.

— Takie sprawiam wrażenie?

— No, z tą Therese...

— Być może Therese to kłopot Jantzenów, ale na pewno nie mój. — Uśmiechnął się. — Z nas dwojga to ty wciąż się zamartwiasz. Chociaż muszę przyznać, że zaczynam podzielać twój niepokój o Ginę.

— Dziwię się, że tak lekko do tego podchodzisz. — Nie mogłam się powstrzymać od tej uwagi. — Sądziłabym...

— Posłuchaj — wpadł mi w słowo — nie wiem, co Gina wypisywała ci w listach, ale jeżeli o mnie chodzi, stanowiła cudowne wytchnienie od melodramatów Therese, ot taki miły przerywnik, żeby rozproszyć gorycz tamtego związku. Nigdy nie interesowałem się Giną poważnie. I zdziwiłbym się, gdyby ona interesowała się poważnie mną.

— Dlaczego tak gorliwie mnie o tym przekonujesz?

— Bo wyczuwam sceptycyzm na kilometr. — Nasze oczy spotkały się na ułamek sekundy nad stołem, chwila napięcia minęła, Garth roześmiał się beztrąsko, wziął serwetkę i strzepnął ją. — Poza tym — dodał z rozbawieniem — pragnę ci dowieść, że nie jestem zwykłym flirciarzem, któremu nie można ufać.

Stałam w pąsach.

— Czyżbyś sądził, że w ten sposób o tobie myślę?

— Nie mów tak, jakbyś miała nieczyste sumienie! — Odwrócił się, dał znak kelnerowi. A potem spytał: — Napijesz się wina do befsztyku?

— Nie, dziękuję.

— Nie? Na pewno? Może chociaż kieliszek?

Byłam nieugięta. Kolacja nie przebiegała już w takim lekkim nastroju jak poprzedniego wieczoru, a potem nie siedzieliśmy tak długo przy kawie.

— Może pojedziemy do Scotland Yardu? — zaproponował nagle Garth. — Widzę, że za bardzo martwisz się Giną, żeby się dobrze bawić. Odwiedzimy twojego znajomego... jak on się nazywa...? I zgłosimy, że

jeszcze się nie znalazła. Przy okazji dowiemy się, czy wyprowadziła się w sobotę z hotelu.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością.

— A miałbyś ochotę? Przepraszam, że nie jestem dziś zbyt interesującą partnerką, ale...

— Daj spokój! Za nic nie przepraszaj. Dopiero teraz widzę, jaki byłem dla ciebie niewyrozumiały. Podskoczmy taksówką do Yardu i jak najprędzej to wyjaśnimy. Jesteś gotowa?

Byłam. Wyszliśmy z restauracji i znów znaleźliśmy się na dworze. Był długi, jasny letni wieczór, chociaż trochę się już ściemniało. Po chwili siedzieliśmy w taksówce mknącej wzdłuż rzeki w kierunku Big Bena, Westminsteru i Scotland Yardu.

Po tej wizycie poczułam się lepiej, chociaż inspektor Fowles niewiele nam pomógł, bo jedynie podsumował wszystkie dane na temat zaginięcia Giny i obiecał, że podejmie dalsze kroki. Dowiedzieliśmy się również, że Gina wyprowadziła się z hotelu już po telefonie do Nowego Jorku oraz że wyprowadziła się sama, bez żadnego towarzystwa, najwyraźniej z własnej nieprzymuszonej woli.

— Czyli wyszła z mieszkania Jantzenów cała i zdrowa. — Odetchnęłam z ulgą. — Ale dlaczego wykonała taki telefon? I dlaczego odłożyła słuchawkę, jak gdyby jej przerwano?

Na te pytania nie było jednak odpowiedzi, wyłącznie domysły i domniemania. Podziękowawszy Fowlesowi, wyszliśmy z gmachu policji i wróciliśmy taksówką, mijając Whitehall, do mojego hotelu.

— Nie rozumiem — odezwałam się do Gartha. — Po prostu nie rozumiem. Czyżby istotnie pojechała do Rzymu, tak jak zgadywali Jantzenowie, na spotkanie z tym włoskim producentem filmowym? W takim razie dlaczego nie zadzwoniła do mnie, żeby powiedzieć, że już wszystko w porządku? Bo jakoś nie mogę uwierzyć, żeby spłynęło to po niej jak po gęsi.

— No cóż, sprawa jest teraz w rękach policji — stwierdził Garth. — Jeżeli oni jej nie odszukają, to nikt inny tego nie zrobi. Ale na pewno ją znajdą.

Spytał, czy nie miałabym ochoty na kawę przed powrotem do hotelu. Zgodziłam się, po trosze dlatego, że bałam się chwili, kiedy zostanę sama, bez niego, a po trosze dlatego, że chciałam mu jakoś powetować swoje zdenerwowanie przy kolacji. Wstąpiliśmy do Hiltona przy Park Lane i

wypiliśmy kawę w przestronnym holu na drugim piętrze. Kawę podano po amerykańsku, była pyszna. Od razu lepiej się poczułam.

— Jestem ci ogromnie wdzięczna, że pojechałeś ze mną na policję — podziękowałam Garthowi. — Tak się bałam tej wizyty, ale wszystko poszło gładko. Bardzo się odprężyłam.

Uśmiechnął się, zbywając swoją pomoc, machnięciem ręki. Zaczęliśmy rozmawiać o czym innym, czas szybko płynął, minęła północ. W końcu domyślił się, że jestem zmęczona; wyszliśmy z Hiltona, złapaliśmy taksówkę, objechaliśmy Hyde Park Corner i dotarliśmy na Piccadilly. Powieki zaczynały mi ciążyć, ze zmęczenia rozboląła mnie głowa.

Czułam się jednak szczęśliwa.

Garth uśmiechnął się do mnie w ciemnościach.

— Pewnego dnia — powiedział — kiedy ta nieszczęsna Gina przestanie się zjawiać i zniknąć jak kot dziwak z Alicji w Krainie Czarów, znów urządzimy sobie taki wieczór jak wczoraj w Paryżu.

Zamknęłam oczy i wszystko zawirowało, zamazało się, rozpląnęło w ciemnościach. Czułam, jak marynarka napina się Garthowi na plecach, kiedy objął mnie mocno; policzkiem musnął mój policzek, usta miał twarde, jego pocałunek sprawił mi ból. Owładnięta emocjami, które mnie dosłownie rozsadzały, próbowałam się uwolnić, ale on już rozluźnił uścisk i odsunął się sam.

Milczeliśmy, porażeni odkryciem wzajemnej bliskości. Bo to nie był kolejny przypadkowy pocałunek w świetle księżyca na schodach Sacré-Coeur. Nie było już mowy o przypadku. Poczułam się związana, zaangażowana, tamy pękły. Mimo to jednak coś nas wciąż dzieliło, dwoje ludzi zatopionych we własnych myślach. Nadal nie dawały mi spokoju pytania: Czy on jest wobec mnie uczciwy? Czy mówi prawdę? Instykt, nie skrepowany logiką, wciąż podpowiadał mi z uporem, że nie.

Spojrzałam na niego. Twarz miał zasnutą cieniem, zamkniętą, oddaloną.

— O czym myślisz? — spytałam nagle i pod wpływem impulsu wyciągnęłam rękę, jak gdyby dotknięcie jego ręki mogło rozwiać moje podejrzenia. Jego palce, silne i długie, splotły się z moimi. Uśmiechnął się słabo, ale jego oczy nie zmieniły wyrazu, nadal były nieprzeniknione.

— Wiesz — powiedział — myślałem o tym, jakie to dziwne, że znamy się niecałe dwa dni, a czuję się, jakbym cię znał całe wieki.

Taksówka zatrzymała się pod hotelem. Wysiadł, żeby mnie odprowadzić do recepcji.

— Jutro się odezwę — pożegnał mnie. — Niestety nie będę miał czasu na obiad w środku dnia, ale może zobaczymy się później.

Pocałowaliśmy się i każde poszło w swoją stronę; kiedy obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że on również się za mną ogląda. Nagle uleciały mi z głowy wszelkie wątpliwości, wszelkie troski. Pamiętałam tylko, że wkrótce znów się z nim spotkam.

O ósmej poderwał mnie ostry dzwonek telefonu przy łóżku. Na wpół obudzona wyłuskałam słuchawkę z widełek i przyciągnęłam do siebie na poduszkę.

— Claire? — upewnił się Warren Mayne, niesłuchanie rześki i ożywiony. — Cześć, to ja. Co nowego? Usiłowałem cię złapać wczoraj wieczorem, ale bez powodzenia.

Zdobyłam się na straszliwy wysiłek.

— Może porozmawiamy przy śniadaniu? Trudno mi jakoś teraz zebrać myśli.

— Przy śniadaniu? Dobrze. Będę na dole o dziewiątej. Kiedy spotkaliśmy się godzinę później, nadal był rześki i ożywiony. Tak tryskał energią, że od samego patrzenia na niego poczułam się zmęczona.

— No więc jak ci poszło? — rzucił, a kiedy zasiedliśmy do śniadania i zaczęłam czytać kartę, zasypał mnie pytaniami: — Wyciągnęłaś coś jeszcze od Coopera? Masz jakieś wieści?

Przy soku pomarańczowym, płatkach śniadaniowych na mleku oraz grzance z dżemem opowiedziałam mu o Jantzenach i o swojej wizycie w Scotland Yardzie z Garthem, gdzie dowiedziałam się, że Gina opuściła mieszkanie Jantzenów w sobotę cała i zdrowa. Napomknęłam również o sugestii Jantzenów, że mogła polecieć do Rzymu na spotkanie z włoskim producentem filmowym.

— To można łatwo sprawdzić — powiedział natychmiast Warren. — Jak on się nazywa?

— Dino di Lasci.

— No to zadzwońmy do niego i spytajmy, czy widział się z Giną.

Jego energia udzieliła się chyba i mnie; kiedy opuszczaliśmy restaurację, czułam się w pełni rozbudzona i podobnie jak on gotowa tropić wszelkie możliwe ślady. Następną godzinę spędziliśmy w jego pokoju. Warren zamówił połączenie z Włochami. Kiedy jednak dodzwonił się do sekretarki pana di Lasci, ta oświadczyła, że nigdy nie słyszała o Ginie Sullivan, amerykańskiej modelce z Paryża.

— Czy mogłaby to pani sprawdzić u swojego szefa? Najwyraźniej udzieliła wymijającej odpowiedzi, bo Warren oświadczył:

— To poważna sprawa. Dzwonię z CIA. Mamy powody uważać, że pani Sullivan została zamordowana.

Speszyło mnie to jawne kłamstwo, lecz Warrenowi nawet nie drgnęła powieka.

— Zaraz spyta szefa — mruknął z zadowoleniem do mnie. — Wiedziałem, że to zadziała.

Na próżno się jednak gimnastykował. Di Lasci podszedł do telefonu i powiedział, że ani nie rozmawiał z Giną, ani jej nie widział, toteż nie może nam pomóc.

Warren zadzwonił na lotnisko w Londynie i sprawdził listy pasażerów do Rzymu w sobotę wieczór, ale Giny na nich nie było.

— Trzeba było od tego zacząć, zamiast trwonić pieniądze na telefon do Rzymu — rzekł z wyrzutem do siebie.

— Dobrze jednak, że się upewniliśmy. No to do kogo dzwoniemy teraz? Z kim powinniśmy porozmawiać? Chętnie pogadałbym z Jantzenami, ale pewno nie dowiem się od nich więcej niż ty.

— Pewno nie.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem nagle rzucił:

— Wiesz, z kim chciałbym porozmawiać? Z Therese, była narzeczoną Coopera. Czuję przez skórę, że całe to dziwne zachowanie Giny wiąże się właśnie z nią. Jeżeli Therese przysłała do domu Jantzenów i urządziła scenę...

Posprzeczaliśmy się na ten temat. Nie paliłam się do szukania kontaktu z Therese, chociaż musiałam przyznać, że podejrzenia Warrena mają uzasadnienie.

— Nie zaszkodzi z nią porozmawiać — nalegał Warren.

— Spotkanie ze mną powinno ją tylko ucieszyć, bo przekona się, że chcę wyrwać Ginę z rąk Coopera, podobnie jak ona. Wcale nie musisz w nim uczestniczyć, jeżeli nie masz ochoty, ale...

— Oczywiście, że pójdę z tobą — zapewniłam go pospiesznie. — Tylko gdzie ona mieszka? Nie znam nawet jej nazwiska.

— Zadzwoń do Erica Jantzena. Twierdziłaś, że był bardzo serdeczny. Zadzwoń do niego i spytaj o nazwisko Therese. Adres znajdziemy w książce telefonicznej.

— A jaki mam podać pretekst?

— Powiedz mu prawdę. Że chcesz porozmawiać z Thérèse, aby się upewnić, czy nie widziała Giny od czasu jej zniknięcia.

Stremowana i stropiona wykręciłam numer Jantzenów. Zastałam Erica w domu. Zareagował bardzo życzliwie, przyjął bez zastrzeżeń moje wyjaśnienie. Nazwisko Therese brzmiało Mariót. W swej uczynności Erie podał mi również jej adres i numer telefonu.

— Wspaniale — ucieszył się Warren, kiedy odłożyłam słuchawkę. — No to jedziemy.

— Bez uprzedzenia?

— Mogłaby nas spławić jakąś wymówką. Weźmy taksówkę i jedźmy tam zaraz, żeby porozmawiać z nią osobiście.

Podążyłam za nim z ociąganiem.

Dochodziła jedenasta. Dzień był szary, zamglony, ale nie padało i było dosyć ciepło. Piccadilly Circus w porannym świetle nie prezentował się najlepiej, zwłaszcza w porównaniu z imponującą feerią świateł iskrzących się tam poprzedniego wieczoru, a tłum turystów mieszał się z gromadami włóczęgów, którzy oblegali schody wokół Erosa. Znaleźliśmy taksówkę i Warren, traktując posługującego się cockneyem kierowcę, jak gdyby mówił w obcym języku, pokazał mu świstek papieru, na którym zapisał adres Therese.

Znów ruszyliśmy na zachód. Taksówka z trudem przebijała się przez olbrzymi ruch, ale w ciągu dwudziestu minut dotarliśmy do Knightsbridge. Przy wejściu do stacji metra South Kensington taksówka wjechała w Old Brompton Road, a następnie skręciła w lewo na piękny plac obrzeżony z dwóch stron wielkimi białymi kamienicami.

— Trzydzieści siedem! — krzyknął taksówkarz przez szklaną przegrodę i zahamował gwałtownie.

Wysiedliśmy; Warren płacił powoli, jak gdyby każdego szylinga i pensa wyciąganego z kieszeni przeliczał mozolnie na dolary i centy.

— No chodź — przynaglił mnie, kiedy taksówka odjechała. — Sprawdźmy, czy Therese jest w domu. — Wspiał się na schodki prowadzące do drzwi wejściowych, rzucił wzrokiem na trzy dzwonki z jednej strony. U góry widniało nazwisko Therese wypisane drukowanymi literami. Nacisnął guzik i sekundę przytrzymał. Nikt nie odpowiadał.

— Trzeba było najpierw zadzwonić — mruknęłam. Warren nie odpowiedział. Szarpnął kilka razy klamkę, ale na próżno. Właśnie miałam

zapropnować, żebyśmy sobie poszli i nie próbowali się włamywać do budynku, kiedy za naszymi plecami rozległ się czyjś głos:

— Może w czymś pomóc, złociutcy? Odwróciliśmy się ze skruchą. Przed nami stała bardzo gruba niewiasta z bardzo sztucznymi zębami, które szczyrzyła do nas w serdecznym uśmiechu.

— Do kogo to? Bo jak do tej Francuzki, to nie ma co łomotać. Nie widziałam jej przez cały tydzień.

Tak nas to zdumiało, że z początku nie zapytaliśmy nawet, z kim mamy przyjemność. Nie wyglądała na osobę, która mieszkałaby w takiej kamienicy, ale najwyraźniej dobrze znała jej lokatorów.

— Ach tak? — odpowiedział wymijająco Warren, po czym dodał niezbyt taktownie: — A pani jest może pokojówką?

— Pokojówką! — Obrzuciła go takim wzrokiem, jakby był przeżytkiem z ubiegłego stulecia. — Dobrze sobie! Nie, złociutki. Przychodzę tu trzy razy na tydzień, żeby obrządzać panią Cheese z mieszkania B, a w co drugą sobotę gotuję jej obiad. — Wskazała na trzy dzwonki. — Pani Cheese mieszka pod tą Francuzką.

Zrozumiałam, że to bariera językowa zamąciła nam w głowach. Warren słusznie domyślił się profesji tej kobiety, tyle że określił ją niewłaściwym mianem; mieliśmy przed sobą typową posługaczkę londyńską, a nie pomoc domową w stylu amerykańskim.

— Zależy nam na spotkaniu z panną Mariót — wyjaśniłam jej z uśmiechem. — Nie wie pani, jak długo zabawi poza domem?

— Trudno mi powiedzieć, złociutka. A pani z Ameryki? Od razu zwąchałam. Na Ameryce to ja się znam. Człowiek ogląda telewizję, to i widzi na filmach. Te wasze drapacze chmur, wielkie limuzyny i mężczyźni pod bronią... Mój stary to mówi, że u nas też tak niedługo będzie.

Warren miał najwyraźniej wątpliwości, czy najpierw sprostować jej naiwne wyobrażenie o życiu w Ameryce, czy pociągnąć ją za język w sprawie Thérèse. Gdy nadal się wahał, zapytałam:

— Kiedy ostatnio widziała pani pannę Mariot? To znaczy, bardzo dawno czy...

— E nie, w ostatnią sobotę. — Kobieta oparła się korpulentnym ciałem o balustradę i postanowiła sobie pofolgować. — Jak raz wypadła mi sobota u pani Cheese, no więc gotowałam obiad, wesolutka jak szczygiełek, podśpiewywałam sobie pod nosem, a słońce pięknie grzało... jaki to człowiek wtedy odmieniony!... no to otwierałam na roścież okno i

wysadziłam głowę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem... — urwała znacząco. Czując, że czeka na naszą reakcję, oboje skinęliśmy głowami. — Nagle patrzę, Bożeż ty mój, a ona się drze i wykrzykuje jakieś straszne rzeczy...

— Panna Mariot? — upewnił się Warren.

— No przecież, że ona! A któż by inny? Moja pani? Pani Cheese tak sobie nie poczyňa. A ta tak sobie poczyňała, że aż uszy wędły. No więc pomstowała, ciskała się i ciągiem krzyczała: „Oboje was zniszczę!” — i to tak zmijowato — „ciebie i Lily za jednym zamachem”. E, coś tu chyba cyganię. To nie było Lily, tylko tak jakoś podobnie.

— Lilian?

— O tak, akuratnie! Znacie ją? Lilian. No więc kiedy panna jak jej tam, no ta Francuzka, tak pomstowała na Lilian, jej narzeczony, bardzo galanty dżentelmen, pan Cooper, próbował ją zmitygować...

— To pan Cooper z nią był?

— No przecież, że on! Dobrze go znam. Biedny gość, zawsze mi się serce krajało, że tak się dał omotać tej obco-krajówce. Czasem spotykałam go na schodach, a dwa razy to mnie podwiózł do metra swoim autem. Bardzo galanty dżentelmen z tego pana Coopera... Co to ja mówiłam? Ano właśnie. No więc oddycham sobie, że się tak wyrażę, świeżym powietrzem, nad głową latają mi te wszystkie wyzwiska, a pan Cooper jej przygaduje: „Skończ te idiotyzmy, Terezz”, tak go formalnie wnerwiła, na co tamta wykrzyzczała coś jeszcze i trzasnęła drzwiami. Usłyszałam jej kroki, jak dudniły po schodach, pod drzwiami mojej pani Cheese, a potem huknęły drzwi wejściowe i już jej nie było. Od tamtej pory jej nie widziałam. Moja pani Cheese też jej nie widziała. Nie dalej jak wczoraj utyskiwała, że też ta panna jak jej tam nie odwołała dostawy francuskiej gazety na czas wyjazdu, bo ciągiem przynoszą, i tylko zawalają nam klatkę na dole. Ja tam od razu wyniuchałam, co jest. Dziewczyna zerwała z narzeczonym przez tę Lilian... Bóg raczy wiedzieć, co to za jedna... chociaż wcale bym nie winiła pana Coopera, gdyby znalazł sobie inną... no i wyjechała, żeby się otrząsnąć. W takich razach nikt nie ma głowy, żeby odwoływać poranną gazetę. Tak też i powiedziałam mojej pani, a ona przyznała mi rację.

Pokiwaliśmy głowami jak zahipnotyzowani, czując, że wypada się zgodzić z panią Cheese. Usiłowałam sobie przypomnieć, czy Garth twierdził, że nie widział Therese od spotkania w piątek wieczór na

lotnisku, jeżeli jednak pamięć mnie nie myliła, mówił tylko, że to Gina nie widziała jej od tamtej pory. O sobie nie wspominał.

— Kiedy to było? — spytałam niepewnie. — W sobotę?

— Akuratnie w sobotę. Jakoś tak o szóstej wieczór. Właśnie miałam strugać ziemniaki.

Giną dzwoniła do mnie tego dnia o wpół do dziesiątej wieczorem czasu londyńskiego.

— Bardzo pani dziękujemy — zwrócił się uprzejmie Warren do naszej informatorki. — Ogromnie nam pani pomogła, jesteśmy zobowiązani. Chyba będziemy musieli jakoś inaczej poszukać kontaktu z panną Mariót.

— A niech się wam poszczęści — powiedziała serdecznie kobieta i dźwignęła się po schodach do drzwi.

— Muszę już iść do pani Cheese. Życzę miłych wyczasów w Anglii.

Chórem powtórzyliśmy wyrazy wdzięczności i skierowaliśmy kroki ku Old Brompton Road.

— Może powinienem był dać jej napiwek? — spytał Warren z zatroskaniem.

— Ależ skąd.

— Jesteś pewna? Może masz rację. Nawet nie wiedziałbym, ile jej dać. — Westchnął, przeczesał palcami włosy.

— Ojej, co za ulga! Mieliśmy szczęście, że ją spotkaliśmy. I co o tym sądzisz? Najwyraźniej nie tylko Gina zniknęła tamtego wieczoru. Wygląda mi na to, że za tym wszystkim kryje się Cooper... był przecież, do licha, związany z nimi obiema, a w dodatku... jeżeli wierzyć tej służącej... również ze swoją współpracownicą. Pewno zdradzał każdą z nich.

— Jestem przekonana, że nie romansuje z Lilian — powiedziałam spokojnie.

— Dlaczego?

— Chociażby dlatego, że przyjaźni się z Erikiem.

— Może Erie nic o tym nie wie.

— Po dziesięciu latach? — Szliśmy chwilę w milczeniu. Potem dodałam: — Jeżeli wierzyć Garthowi — powiedziałam z wystudiowaną obojętnością — nie ma mowy o żadnych romansach. Zerwał zaręczyny z Therese. Zupełnie nie przejął się sugestią, że Gina mogła polecieć do Rzymu na spotkanie z producentem filmowym. No i nie mamy żadnego dowodu, że coś poza sprawami służbowymi łączyło go z Lilian. Starał się uwolnić od Therese i od Giny, a nie zbliżyć do nich.

— Spójrzmy prawdzie w oczy — podsumował Warren ironicznie. — Doskonale mu się to udało. Tak skutecznie się od nich uwolnił, że teraz żadnej z nich nie można znaleźć.

Nie odpowiedziałam. Zmroził mnie lodowaty strach. Warren nie mógł się powstrzymać od komentarza:

— Tylko mi nie mów, że ty też się w nim zadurzyłaś. Nadal nie odzywałam się słowem.

— Fiu! — gwizdnął Warren. — Ten to ma dryg do kobiet! Przy kolejnym spotkaniu będę musiał podpatrzeć jego metody!

— Na miłość boską, Warren! Doszliśmy do Old Brompton Road.

— No dobrze — odezwał się Warren pojednawczo.

— Twoim zdaniem Cooper jest niewinny, a moim zdaniem winny. Więc co teraz? Wróćmy do hotelu i sprawdźmy, czy nie ma żadnych wiadomości ze Scotland Yardu.

Wiadomości ze Scotland Yardu nie było, był natomiast telefon od Erica Jantzena, który prosił, żebym oddzwoniła.

Nie chciałam, żeby Warren dyszał mi nad głową, poszłam więc do swojego pokoju i obiecałam, że odezwę się do niego natychmiast po rozmowie z Erikiem. Usiadłam na łóżku, wykręciłam numer Jantzena i czekałam, aż podniesie słuchawkę.

Wyraźnie się ucieszył, że oddzwoniłam tak szybko.

— Ma pani jakieś wieści o Ginie? — zapytał. — Kontaktowała się pani znowu z policją?

Opowiedziałam mu o swojej wizycie z Garthem w Scotland Yardzie poprzedniego wieczoru. Wysłuchał tego z zainteresowaniem. Kiedy skończyłam, powiedział:

— Mam propozycję... Może zjedlibyśmy razem obiad? Mieszkamy nie tak daleko od pani hotelu. Mógłbym po panią wpaść.

Udało mi się ukryć zdziwienie.

— Dziękuję za zaproszenie — odparłam. — Z przyjemnością.

— To świetnie. Będę za jakieś dwadzieścia minut.

Rozłączyłam się i poinformowałam Warrena przez telefon o rozwoju wypadków. Był nie mniej zdziwiony niż ja, ale zgodził się ze mną, że mogę usłyszeć coś nowego. Ustaliliśmy, że zadzwonię do niego zaraz po powrocie, miałam więc kilka minut wytchnienia, zanim zesłam do recepcji na spotkanie z Erikiem Jantzenem.

Już na mnie czekał.

— Obok Haymarket jest taka miła restauracyjka — oświadczył. — Niedaleko stąd. Nawet nie warto brać taksówki. Ma pani ochotę na spacer czy...

Wybrałam spacer i ruszyliśmy. Zabawiał mnie rozmową, kiedy przechodziliśmy przez Piccadilly Circus, a potem skręcaliśmy w Haymarket wśród tłumów wyległych na ulice w przerwie obiadowej, ale czułam, że przychodzi mu to z trudem. Akurat kiedy wyczerpaliśmy temat pogody i ruchu ulicznego w wielkich miastach, dotarliśmy do restauracji, małej, miłej i wyraźnie niedrogiej.

Potwierdziło to moje przypuszczenia, że Erie Jantzen nie szasta pieniędzmi. Zastanowiłam się przelotnie, jak wygląda jego sytuacja finansowa. Wiadomo, że artyści z reguły klepią biedę. Pomyślałam o jego zamożnej, przedsiębiorczej żonie i zadałam sobie w duchu pytanie, czemu Erie znosi jej prawie nie skrywaną obojętność.

— Gdzie poznałeś swoją żonę? — spytałam przy zupie minestrone. — W Anglii?

— Zorientowałaś się, że nie jestem Anglikiem! Chyba nigdy nie pozbędę się akcentu. Nie, spotkaliśmy się w Szwajcarii. Pochodzę z Altdorfu, małej wioski nad jeziorem Lucerna, gdzie urodził się nasz bohater narodowy, Wilhelm Tell. Byłem wówczas młodym początkującym artystą, zarabiałem na życie malowaniem widoczków na zamówienie. Lilian była turystką, zainteresowała się mną, chciała mi pomóc.

Widocznie Lilian czuła się w obowiązku pomagać mężczyznom gorzej sytuowanym niż ona.

— Rozumiem — rzuciłam zdawkowo, lecz w istocie niczego nie rozumiałam.

— Błyskawicznie wywiązał się romans, a po dwóch tygodniach pobraliśmy się w Genewie. — Uśmiechnął się, wzruszył ramionami. — Rodzina Lilian nie akceptowała tego związku, ale nic sobie z tego nie robiliśmy. — Jego duża smutna twarz rozjaśniła się nieoczekiwanie. — Byliśmy młodzi... zakochani. To były czasy. Polubiłem Londyn, szybko się tu zadomowiłem. Niedługo potem zacząłem malować tak, jak zawsze chciałem, a nie na zamówienie. Lilian była bardzo... — urwał w poszukiwaniu trafnego słowa — inspirująca.

I już wtedy bogata, pomyślałam. Pewno od początku utrzymywała ich oboje.

— Lilian — ciągnął Erie Jantzen — to wspaniała, bardzo utalentowana kobieta. Wierzyła we mnie. Kiedy odniosłem wreszcie pewien sukces, zawsze powtarzałem, że to jej zasługa, bo wspierała mnie pomocą i zachętą, kiedy najbardziej ich potrzebowałem.

Usiłowałam ujrzeć Lilian w roli oddanej, inspirującej żony, przejętej twórczością męża. Przekraczało to jednak możliwości mojej wyobraźni. Lilian nie była kobietą przejmującą się czyjąkolwiek pracą poza swoją własną.

— Z pewnością świetnie się zna na szkłe i porcelanie — powiedziałam.

— O tak, znacznie lepiej niż Garth. Garth to tylko człowiek interesu. — Jantzen osuszył sobie delikatnie usta serwetką i sięgnął po szklanekę z wodą. — Chociaż uważa się za autorytet w dziedzinie szkła.

— Powiedz mi, Erie — zagadnęłam, przybrawszy szczery wyraz twarzy — co sądzisz o Garcie Cooperze? Ledwo go znam, ale moja siostra miała o nim bardzo dobre zdanie, chciałabym się więc dowiedzieć, co to za człowiek. Znasz go od pewnego czasu, a mam cię za człowieka o dojrzałych sądach, toteż wiem, że mogę polegać na twoim zdaniu.

Tak jak się spodziewałam, poczuł się mile połaskotany, starał się jednak ukryć swoje zadowolenie. Ściągnął brwi, szykując się do wygłoszenia dojrzałego sądu.

— Garth zawsze bardziej przyjaźnił się z Lilian niż ze mną — powiedział w końcu.

Wstrzymałam się od komentarza, dodał więc żartobliwie, jak gdyby to był dowcip:

— No cóż, Garth jest sprzedawcą! I to znakomitym sprzedawcą, odnoszącym sukcesy! Ma w ręku dobry towar i sprzedaje go bardzo umiejętnie.

— Szkło i porcelanę?

— To tylko margines! Talent Gartha najpełniej rozkwita wtedy, gdy sprzedaje siebie... rzecz jasna nie dosłownie! Ale ten człowiek wie, jak trafić do ludzi, jak ich oczarować, jak zaskarbić sobie ich względy. Z wielkim talentem odgrywa rolę, którą Anglicy określają mianem „czarujący człowiek”. Ale pod tą fasadą kryje się twardy, zdolny biznesmen. Mnie nie nabierze. Innych może nabrać, ale nie mnie.

— Nie wygląda mi na odpowiedniego mężczyznę dla Giny — powiedziałam z zatroskaną miną. — Mam nadzieję, że się w nim nie zakochała.

— Była nim zafascynowana — odparł Erie. — Nie ma co do tego dwóch zdań. Ale jest za młoda dla Gartha. Wiem, jaki typ kobiet mu odpowiada. — Obracał w rękach łyżkę, jakby coś go w niej nagle zainteresowało. — Garth lubi kobiety dojrzałe, mądre, a nie jakieś tam podfruwajki, które ledwo liznęły życia. — Spojrzał na mnie ze skruchą. — Przepraszam, nie chciałem obrazić twojej siostry, wydała mi się urocza, ale...

— Rozumiem. — Odłamałam kawałek bułki, posmarowałam masłem. — Chcesz powiedzieć, że Garth woli kobiety pokroju Thérése.

— Otóż to. — Znów zaczął jeść. — Mnie Therese się bardzo spodobała — dodał nieoczekiwanie. — Lilian natomiast nie, chociaż trudno się temu dziwić. Therese jest rzutka, bystra i zaskakująca. To kobieta pełna namiętności, tryskająca życiem, intrygująca. Gdybym malował portrety... — urwał z uśmiechem. — Ale nie maluję! Gdybym jednak malował, na pewno chciałbym namalować jej portret.

Idiotyczna, lecz obezwładniająca zazdrość utrudniała mi wysłuchiwanie, jak Erie rozwodzi się na temat zalet Thérése. Żeby zmienić temat, spytałam szybko:

— Co w takim razie malujesz? Wybacz, że nic nie wiem o twojej twórczości... podobno tu, w Londynie, jesteś bardzo znany.

— E tam, znany! — powiedział z wyraźnym ożywieniem zaczął opowiadać o sobie ze skromnością i nieśmiałością, które mnie bardzo ujęły. Okazało się, że uprawia malarstwo abstrakcyjne, kiedyś nawet otarł się o surrealizm. Powiedziała mu, że widziałam wystawę prac Salvadora Dalego w muzeum Huntington Hartford w Nowym Jorku. Przez chwilę rozmawialiśmy o sztuce. Zrzucił wreszcie fałszywą maskę krotocwilności i dojrzałam w nim człowieka, którym musiał być dawnymi czasy, kiedy poznał Lilian — wrażliwego, nieśmiałego młodego artystę oddanego bez reszty swojej pracy.

Nie mogłam wprost pojąć, jak pragmatyczna, trzymająca się mocno ziemi Lilian mogła go kiedykolwiek rozumieć. Może zresztą nigdy nie rozumiała.

— Dasz mi znać, jeśli będziesz miała jakieś wieści o Ginie, prawda? — powtórzył Erie, kiedy zegnaliśmy się w recepcji mojego hotelu. — Lilian i ja bardzo martwimy się o nią. Zadzwoń, dobrze?

— Oczywiście! — zapewniłam go, podziękowałam serdecznie za obiad, po czym udałam się do swojego pokoju.

Wiedziałam, że powinnam zadzwonić do Warrena, żeby mu zrelacjonować przebieg obiadu, ale uznałam, że po naszej porannej wyprawie mam go dosyć. Kiedy znalazłam się w pokoju, wyciągnęłam się na łóżku.

Po dziesięciu sekundach moje myśli znów zaczęły krążyć wokół Gartha Coopera.

Poprzedniego wieczoru napomknął, że podejrzenia Terese wobec Lilian osiągnęły apogeum przed trzema miesiącami, na początku ich narzeczeństwa. Wysiłałam pamięć, żeby przypomnieć sobie dokładnie jego słowa, ale zdołałam jedynie odtworzyć jakieś niedopowiedzenia. Uprzytomniłam sobie, że Garth nigdy nie mówi niczego wprost, lecz posługuje się jedynie aluzjami. Teraz, po namyśle, zyskałam pewność, że przedstawiał zazdrość Terese o Lilian, jakby należała do przeszłości, tymczasem wedle słów posługaczki ostatni incydent tego rodzaju miał miejsce całkiem niedawno.

Coś mi tu nie gra, pomyślałam. W zeszłą sobotę Therese powinna była wypominać mu Ginę, a nie Lilian. Bo chyba wtedy właśnie Gina pozostawała w centrum jego zainteresowania.

Przygłębił mnie ten rozrzut możliwości i dwuznaczne zachowanie Gartha. Nade wszystko jednak martwiła mnie sprawa Giny, i to nie tylko jej zniknięcie, lecz również związek z Garthem. Dręczona niepokojem podeszłam do okna, wyjrzałam na dwór i znowu odwróciłam się do drzwi. W końcu pod wpływem impulsu złapałam torebkę i zbiegłam na dół, na ulicę, żeby działaniem rozproszyć udrękę biernego oczekiwania. Postanowiłam pójść do biura Gartha.

Zamiast zastanawiać się nad jego aluzjami, mogę go przecież spytać wprost.

Biuro Gartha mieściło się w Knightsbridge. Nie czułam się na siłach tłuc metrem czy choćby autobusami, szarpnęłam się więc na taksówkę i padłam na błyszczącą skórzaną kanapę.

Przywołałam w myślach rolę doradczyni, filozofki i przyjaciółki, którą od tak dawna grałam wobec Giny. „Droga Claire — pisała moja wyobrażona przyjaciółka z pewną zgryźliwością. — Obawiam się, że opuszcza Cię wrodzony zdrowy rozsądek. Weź, z łaski swojej, pod uwagę następujące rady:

1) Nigdy nie uganiaj się za mężczyzną. Zawsze czekaj, aż on przyjdzie do Ciebie.

2) Nigdy nie przeszkadzaj mężczyźnie w biurze, gdzie może załatwiać ważne sprawy służbowe.

3) Machnij ręką na tego całego Gartha Coopera, który niemal na pewno nie zasługuje na zaufanie. Mniejsza o to, czy podsuwa ci aluzyjnie nieprawdziwe fakty, czy też kłamie jak z nut. Najważniejsze, że najprawdopodobniej nie przedstawia Ci uczciwie sytuacji, a może nawet oszukuje Cię w innych sprawach, o czym w ogóle nie wiesz.

4) Dlaczego Ty, która tak rzadko chodzisz na randki z mężczyznami w swoim kraju, miałabyś choć przez chwilę wierzyć, że Cooper zakochał się w Tobie, tak jak Ty (najwyraźniej) w nim? Przecież to jasne, że stosuje wobec Ciebie romantyczne chwytły, żebyś nie była zbyt dociekliwa w sprawie zniknięcia Giny.

5) Gdybyś chciała dać sobie spokój z Cooperem, a nie wiedziała jak, jest na to prosty sposób: więcej się z nim nie spotykaj.

6) Weź się w garść i przestań się zachowywać jak idiotka. Twoja, pełna rozgoryczenia...

Taksówka przemknęła tunelem obok Hyde Parku i po chwili wynurzyła się na Knightsbridge.

Nic na to nie poradzę, że go kocham, powiedziałam sobie w duchu. Nic na to nie poradzę.

Kiedy minęliśmy sklep Harrodsa, kierowca wskazał na drugą stronę ulicy.

— To ten dom, proszę pani. Przepraszam, że stanąłem z drugiej strony, ale tu nie można zawracać.

— Dziękuję — odparłam. Wsiadłam, zapłaciłam za kurs i przeszłam przez jezdnię. Nad rzędem ekskluzywnych sklepów wznosiły się biurowce, większość witryn zajmowały antyki. W budynku znajdowała się staroświecka winda. Na tablicy obok przeczytałam, że firma Gartha i Lilian mieści się na pierwszym piętrze. Zrezygnowałam z windy i ruszyłam po schodach wijących się wokół szybu dźwigu, przypominając sobie poniewczasie, że dla Anglików nasze drugie piętro jest pierwszym. Na wprost zobaczyłam drzwi z napisem „Cooper-Jantzen, sp. Z.o.o., Import-Eksport, Szkło i Porcelana”. Nagle pożałowałam, że tu przyszłam, ale zanim opuściła mnie odwaga, podeszłam do drzwi i otworzyłam.

Zobaczyłam widny, przestronny nowoczesny sekretariat z puszystą zieloną wykładziną na podłodze i miłymi dla oka, jasnymi ścianami. Kilka kroków ode mnie znajdowało się dwoje drzwi prowadzących do dwóch

pokoi, zapewne gabinetów pary wspólników; po lewej dojrzałam archiwum, po prawej stało lśniące biurko z elektryczną maszyną do pisania, a za nim siedziała bystra sekretarka z burzą kruczoczarnych włosów, krwistoczerwonymi paznokciami i chłodnymi, kompetentnymi czarnymi oczami.

— Dzień dobry — przywitałam się nieco skrępowana. — Czy zastałam pana Coopera?

— W tej chwili nie ma go w biurze. — Dziewczyna poprawiła dyskretnie kosmyk włosów. — Jest pani umówiona?

— Nie, nie jestem.

— Chętnie panią zapiszę. — Otworzyła czerwony skórzany terminarz. — Wolno spytać, jak się pani nazywa?

— Claire Sullivan, ale to nie jest sprawa służbowa. Chciałabym na niego poczekać, chyba że nieprędka przyjdzie.

— Powinien wrócić lada chwila. — Sekretarka spojrzała na zegarek, jak gdyby chciała się upewnić co do prawdziwości swoich słów, wstała, minęła mnie i podeszła do archiwum. — Proszę tędy.

Za archiwum znajdowała się maleńka poczekalnia z widokiem na Knightsbridge.

— Zechce pani tutaj poczekać...

— Bardzo dziękuję — powiedziałam.

Oddała mi się z wdziękiem. Usiadłam, podniosłam jakieś czasopismo ze stolika. Był to Punch. Odłożyłam go i wzięłam do ręki Paris-Match.

Minęło dziesięć minut. Dwa razy dzwonił telefon, dobiegał mnie głos dziewczyny odbierającej telefony. Maszyna elektryczna terkotała bez przerwy, ale po chwili usłyszałam, że sekretarka wstaje i idzie przez archiwum do mnie.

— Może życzy sobie pani kawy? — zagadnęła z progu.

— Jeżeli to nie kłopot.

— Zawsze parzę o trzeciej — powiedziała ze znudzoną miną. — Pan Cooper i pani Jantzen lubią się napić mocnej czarnej kawy po długim służbowym obiedzie.

Wzięła z archiwum maszynkę do kawy i znów wyszła do sekretariatu. Otworzyły się drzwi wejściowe, trącając mały dzwoneczek przymocowany do zawiasu, po czym powoli się zamknęły.

Zostałam sama.

Nie mogąc usiedzieć ze zdenerwowania, wstałam, przeszłam do archiwum, obejrzałam małą fotokopiarkę, pogrzebałam w szafkach. W jednym kącie stała szafa ubraniowa z uchylonymi drzwiami. Zobaczyłam, że wisi w niej męski prochowiec i właśnie miałam się odwrócić, kiedy moją uwagę przykuła koperta wystająca z kieszeni płaszcza. Nie zatrzymałabym na niej wzroku, gdybym nie dostrzegła, że jedyne widoczne słowo adresu jest napisane fioletowym atramentem.

Przypomniały mi się listy Giny, nagryzmołone na kolanie notatki z Hollywood, epistoły z Paryża — wszystkie pisane ubóstwianym przez nią fioletowym atramentem.

Szybko, jednym ruchem, bez zastanowienia, wyjęłam kopertę. Była pusta. Widocznie Garth zniszczył list albo schował w bezpiecznym miejscu, po czym wepchnął pospiesznie kopertę do kieszeni prochowca. Obejrzałam dokładnie stempel pocztowy. List wysłano z Dorking w hrabstwie Surrey o trzeciej po południu w poniedziałek, dwa dni po telefonie do mnie z mieszkania Jantzenów. Nie ulegało wątpliwości, że fioletowe pismo na kopercie należy do Giny...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Patrzyłam na tę pustą kopertę stojąc w spokojnym, opuszczonym biurze. Gdzieś z oddali, zza okien poczekalni, dobiegał stłumiony szum ruchu ulicznego Knightsbridge; wokół mnie panowała głęboka cisza. Nagle za drzwiami, na korytarzu, rozległy się szybkie kroki. Ledwo zdążyłam wetknąć kopertę do kieszeni prochowca, kiedy otworzyły się pchnięte z impetem drzwi i do biura wszedł Garth z Lilian.

— Catherine? Do licha, gdzie ta dziewczyna się podziewa? Zatrudniamy ją, żeby odbierała telefony, a nie żeby mizdrzyła się pół dnia na zapleczu i robiła się na bóstwo.

Nie mogli mnie widzieć. Znajdowali się w sekretariacie, zasłaniały mnie na wpół przymknięte drzwi archiwum.

— Nie wyzłośliwiaj się tak na nią. To bardzo dobra sekretarka, a jej prezencja pracuje tylko na twoją korzyść.

— Mój Boże, jeszcze tylko brakuje, by Thérèse zadzwoniła do mnie z wyzwiskami, że mam romans ze swoją sekretarką!

Już miałam się pokazać, ale na wzmiankę o Thérèse zastygłam w pół kroku.

— Muszę przyznać, Garth, że masz dziś okropny humor! Nie wiem, dlaczego tak się przejmujesz Thérèse, skoro nie widziałeś jej od tyłu dni... To ja powinnam się przejmować. Erie wbił sobie do głowy, że moje zachowanie wobec ciebie nasuwa pewne podejrzenia...

— Boże miłosierny!

— Wiedziałeś, że Therese widziała się z Erikiem w zeszły piątek po twoim powrocie z Paryża? Wczoraj wieczorem powiedział mi, że na lotnisku rozegrała się jakaś scena z Giną.

— Scena! To bardzo łagodne określenie tego ohydneho, żenującego incydentu...

— Dlaczego mi o tym nie wspomniałeś? — spytała łagodnie Lilian.

— Niby dlaczego miałbym ci mówić? Dlaczego miałbym cię zanudzać przykrymi zdarzeniami ze swojego prywatnego życia?

— Podobno Therese powiedziała Ericowi w piątek, po tej scenie na lotnisku, że twoje zainteresowanie Giną to jedynie zasłona dymna... bo tak naprawdę jesteś zainteresowany mną.

— Posłuchaj, guzik mnie obchodzi, co Therese powiedziała Ericowi albo co Erie myśli... — Garth uniósł się gniewem.

— A mnie obchodzi, bo muszę z nim żyć!

— Nie rozumiem, dlaczego? Przecież widać jak na dłoni, że żywisz dla niego wyłącznie pogardę. W ogóle nie pojmuję, dlaczego go nie rzucisz.

— Nie chcę cię zanudzać szczegółami ze swojego prywatnego życia, podobnie jak ty mnie — odparowała Lilian. — Poza tym gdybyśmy się rozstali, Erie by się załamał.

— A ty jesteś szlachetna i liczysz się z jego uczuciami? To mi zupełnie do ciebie nie pasuje, Lilian!

— Posłuchaj, Garth — Lilian przemawiała teraz cierpliwym tonem dorosłego, który uczy dziecko odczytywać godziny na zegarku. — Akurat teraz odpowiada mi mieszkanie z Erikiem. Mniejsza o to, dlaczego. To nie twoja sprawa. Uwierz mi na słowo, że chcę z nim mieszkać, toteż bardzo zirykowało mnie to spotkanie Erica z Terese i jej próby rozbudzenia w nim zazdrości...

— Na miłość boską, Lilian, dlaczego obciążasz tym mnie? Nie ponoszę odpowiedzialności za Therese! Jeżeli Erie jest zazdrosny, machnij na to ręką. Niech sobie będzie zazdrosny! Niczego ci nie udowodni, bo nie ma nic do udowodnienia.

— Łatwo udzielać takich rad, lecz trochę trudniej z nich korzystać. Nie chcę, żeby Erie się denerwował. A tak nawiasem, chciałam cię spytać, co to za grę prowadzisz z Giną? Gdzie ona jest i dlaczego ją ukrywasz?

— Droga Lilian — rzekł Garth ze szczerym, w moim odczuciu, zdziwieniem. — O czym ty, na litość Boga, mówisz? Nie mam zielonego pojęcia, gdzie ona jest. Wcale jej nie ukrywam. Niby dlaczego miałbym ją ukrywać? Nie widziałem jej ani nie miałem od niej wieści od tamtego sobotniego obiadu.

Aż spłonęłam rumieńcem wstydu za niego, kiedy te kłamstwa zadzwoniły mi w uszach. Łzy zapiekły mnie pod powiekami.

Lilian spytała z powątpiewaniem:

— Chcesz powiedzieć, że nie romansowałeś z nią?

— Ależ skąd! Gina to dziewczyna odpowiednia dla mężczyzn w wieku dwudziestu pięciu i czterdziestu pięciu lat, a nie dla mężczyzn po trzydziestce.

— Moim zdaniem — wycedziła Lilian — Gina może być partnerką dla mężczyzn w każdym wieku. Nie wyjawiała ci przynajmniej, dokąd się wybiera, kiedy rozstaliśmy się wtedy po obiedzie?

— Nie, przeprosiłem ją i wróciłem do siebie na Half Moon Street. Obiecałem, że zadzwonię później, ale w końcu nie zadzwoniłem. Byłem zajęty innymi sprawami.

— Therese?

— Nie. Nie widziałem Therese od tamtej sceny na lotnisku w piątek wieczór.

Kolejne kłamstwo. Przypomniała mi się posługaczka pani Cheese na schodach białego domu przy placu. W sobotę o szóstej wieczór Garth kłócił się z Therese w jej mieszkaniu.

— Padałem dosłownie z nóg — mówił Garth. — Miałem za sobą tydzień intensywnej pracy w Paryżu. Niewiele spałem. W sobotę odpoczywałem mniej więcej do siódmej, a potem przespacerowałem się na Shepherd Market, gdzie zjadłem kolację w małej knajpce. Nawet przemknęło mi przez myśl, czyby nie zadzwonić do Giny do hotelu, ale rozmyśliłem się. Nie miałem ochoty na towarzystwo, chciałem spędzić wieczór sam.

— Wiesz... tylko tyle ci powiem, że to zniknięcie Giny dziwnie mi wygląda. I w niedzielę też się do ciebie nie odezwała?

— Nie. Całą niedzielę spędziłem w biurze.

— W biurze? Tutaj? Niedzielę? Boże drogi, stajesz się takim samym niewolnikiem pracy jak ja! Przecież sam mi zawsze odradzałeś pracę w niedzielę!

— Łamałem sobie głowę nad umową z Remy... zeszłoroczną, nie tegoroczną. Nie mogłem się połapać, dlaczego zapłaciliśmy taki wysoki podatek od zysków.

— Och, to bardzo proste, chętnie ci wyjaśnię. A skoro o tym mowa, dlaczego w tym roku przejąłeś umowę z Remy? Nie przypominam sobie takich ustaleń między nami. Znacznie sensowniej byłoby pociągnąć to tak samo jak w zeszłym roku. Zresztą kto by się przejmował zeszłorocznymi podatkami! To już przeszłość.

— Dostałem cynk, że urząd skarbowy znów wkroczył na wojenną ścieżkę z takimi małymi firmami jak nasza. Na wypadek gdyby mieli się tu zjawić jacyś inspektorzy, wolałem sprawdzić, czy wszystko zostało załatwione jak należy.

— Zapewniam cię, że tak! Przecież znasz moją skrupulatność...

— Czekał, słyszę, że wraca Catherine. Przejdźmy do twojego gabinetu.

Otworzyli jedno z dwojga drzwi, które widziałam w sekretariacie, i weszli do gabinetu. Wzięłam się w garść, wymknęłam się z archiwum, wróciłam do poczekalni. W tej samej chwili drzwi do sekretariatu otworzyły się i zatrzasnęły za wchodzącą sekretarką. Dzwoneczek przy zawiasie brzęk-nął słabo, po czym zamilkł.

— Catherine? — zawołała Lilian łagodnym, miłym głosem, takim samym, jakim rozmawiała ze mną poprzedniego wieczoru. — Jest może kawa?

— Właśnie parzę, pani Jantzen. Panie Cooper, pani Claire Sullivan czeka na pana w sali konferencyjnej.

Zapadło długie milczenie. Zamknęłam oczy znękana wstydem, modląc się w duchu, żeby po ich otwarciu znaleźć się gdzie indziej. Ale cud się nie zdarzył.

— Czy mam... — sekretarka zawahała się.

— W porządku, Catherine. Dziękuję.

Garth musiał się już cofnąć do sekretariatu, bo ledwo słyszałam jego głos. Po chwili przemierzał archiwum w kierunku znajdującej się za nim poczekalni.

— Dzień dobry — przywitał mnie oficjalnie. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zamknął drzwi i zostaliśmy sami: on, ja oraz tysiąc wątpliwości. — Co za miła niespodzianka — dodał gładko. Tymczasem ja nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. — Przykro mi tylko, że wpadłaś tu akurat w takiej chwili. Pewnie musiałaś wysłuchać, jak Lilian i ja ścieramy się, i to dość nieelegancko, w różnych sprawach, począwszy od wyssanych z palca pozamałżeńskich romansów Lilian, a skończywszy na knowaniach urzędu skarbowego. Przepraszam, jeżeli cię to stropiło, ale chyba nie powiedziałem nic, czego nie chciałbym, żebyś usłyszała.

Odwróciłam się bez słowa, nie potrafiąc spojrzeć mu w oczy, i wyrzłam przez okno na miasto. Podszedł bliżej, wyczułam, że stoi tuż za mną.

— Co się stało? — spytał nagle. — O co chodzi? Patrzyłam niewidzącym wzrokiem przed siebie.

— O nic — odparłam. Nie umiałam się zdobyć na nic więcej.

— Dostałaś złą wiadomość na temat Giny? Potrząsnęłam głową. Kiedy położył mi rękę na ramieniu, znów odsunęłam się od niego i skierowałam do drzwi.

— Chwileczkę — odezwał się cierpko. W jego głosie brzmiała jednak nuta niepewności. — Chwileczkę. Na pewno przyszedł tu w jakimś celu. Co chciałaś mi powiedzieć?

Przypomniałam sobie mgliście, że zanim odkryłam, iż musi wiedzieć, gdzie jest Gina, chciałam go wypytać o kłótnię z Therese w sobotę wieczór. Teraz już znałam odpowiedź: otaczał tę kłótnię tajemnicą, ukrywał ją. Nie miałam tu już nic do roboty. Zdrowy rozsądek słusznie mi podpowiadał, żeby nie iść do niego do biura. Wykazałam głupotę i naiwność, wykonałam fałszywy krok.

— Przepraszam — powiedziałam. — Źle zrobiłam, że tu przyszedłam i zawracam ci głowę. To naprawdę nic ważnego. Wybacz mi.

— Nie rozumiem — powiedział po chwili.

Znów odjęło mi mowę. Wymacałam klamkę, chcąc otworzyć drzwi, ale nakrył dłonią moją rękę.

— Proszę cię — odezwał się cicho. — Proszę cię, Claire, musisz mi powiedzieć, o co ci chodzi. Co się stało? Czy ma to coś wspólnego z rozmową, którą właśnie odbyłem z Lilian?

Pomyślałam o pustej kopercie w kieszeni jego prochowca.

— Nie — odparłam i spojrzałam mu prosto w oczy. Miał zdezorientowaną, zatroskaną minę. Ogarnęła mnie przemożna chęć, żeby mu wszystko wyznać, ale wiedziałam, że nie mogę. Skłamałam, i to nie raz, lecz kilka razy, nie mogłam mu więc nadal ufać. Z najwyższym trudem, który pozbawił mnie wszelkiej siły, powiedziałam: — Chyba te nerwy o Ginę przygnębiają mnie bardziej, niż sądziłam. Przyszedłam, żeby po prostu z tobą porozmawiać. Dopiero czekając tutaj uświadomiłam sobie, jaki to egoizm z mojej strony, żeby cię nachodzić w biurze. Zanim jednak zdążyłam wyjść, zjawiłeś się z Lilian.

Spojrzał na mnie z uwagą.

— Cieszę się, że przyszedł — powiedział w końcu. — I cieszę się, że zwróciłaś się do mnie w chwili przygnębienia. Może usiądziesz i pogadamy? Mniejsza o biuro. Praca poczeka. Skoro już przyszedł, żeby się ze mną spotkać, to nie wybiegaj teraz, kiedy się zjawiłem.

Potrząsnęłam bezradnie głową.

— Nie... naprawdę... Garth... wolałabym tu nie rozmawiać...

Wyrwałam mu się i znów sięgnęłam do klamki, żeby otworzyć drzwi.

— Posłuchaj, Claire...

— Nie mogę ci tego wyjaśnić... po prostu nie chcę rozmawiać...

— No to sobie nie chciej. Ale ja chcę. Niezależnie od tego, co myślisz, chciałybym ci powiedzieć, że od chwili naszego poznania...

— Muszę już iść. Puść mnie. Usiłowałam otworzyć drzwi.

— ...nie mogę przestać o tobie myśleć...

— Och, przestań, przestań, PRZESTAŃ... Traciłam raptownie grunt pod nogami.

— Ależ, Claire, kochana moja... Rozpłakałam się.

— O Boże. Tak mi przykro... Sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Taki jestem niezdarny przy każdym naszym spotkaniu... Gdyby nie ta okropna sprawa Giny...

— ...w ogóle byśmy się nie poznali — odpowiedziałam drżącym głosem, przetrząsając zawartość torebki w poszukiwaniu chusteczki.

— Masz, weź moją. — Wcisnął mi do ręki dużą białą chustkę. Wysiadałam nos i otarłam bez większego powodzenia twarz, usiłując rozpaczliwie zapanować nad sobą.

— Przepraszam — odezwałam się w końcu sztywno. — Nie jestem sobą. Pozwól mi teraz odejść.

— Zrobię ci coś mocniejszego do picia...

— Nie, chcę wziąć dwie aspiryny i położyć się. Rozboliła mnie głowa.

— Zejdę z tobą, złapię ci taksówkę.

— Nie...

— Ale ja nalegam.

Byłam zbyt wykończona, żeby się dłużej sprzeczać. Przeszliśmy przez archiwum i przez sekretariat. Sekretarka podniosła na nas nieprzeniknione czarne oczy zza zasłony czarnych włosów. Na ulicy Garth zatrzymał taksówkę, podał kierowcy nazwę mojego hotelu i wręczył mu dziesięcioszylingowy banknot.

— Zadzwoń wieczorem — powiedział do mnie. — Jeżeli lepiej się poczujesz, możemy wybrać się dokądś" na spokojną kolację.

— Sama nie wiem...

— Zadzwoń około szóstej. Trzymaj się. — Pocałował mnie; poczułam jego usta muskające mi czoło, jego palce zaciskające się na mojej ręce i znów zapiekły mnie łyzy. — To na razie.

Poruszyłam wargami, ale nie mogłam się zdobyć na słowa pożegnania. Zamknął drzwi, taksówka ruszyła w gąszcz uliczny. Kiedy osunęłam się na skórzane obicie, opadły mnie sprzeczne uczucia. Wyglądałam przez

okno i czułam, że znów palą mnie policzki, tym razem od gorzkich, niemych łez.

Po powrocie do hotelu zastałam trzy karteczki z prośbą o telefon do Warrena, gdy tylko przyjdę. Podarłam je. Znalazłszy się w zaciszu własnego pokoju, zaciągnęłam story i położyłam się. Po jakichś" pięciu minutach zerwałam się i podeszłam do lustra, żeby poprawić sobie rozmazany makijaż. Już się uspokoiłam. Nie zanosilo się na to, żebym w ciągu najbliższych kilku godzin znów miała płakać. Głowę rozsadał mi tępy ból, oczy mnie piekły, lecz poza tym czułam jedynie odrętwienie i apatię. Pogodziłam się z porażką. To do mnie pasuje, pomyślałam sobie, wyzbywając się resztek złudzeń, żeby jedyny mężczyzna, w którym naprawdę się zakochuję, okazał się zakłamanym hipokrytą. Nabrałam pewności, że prowadzi romans z Giną i wie, gdzie ona jest, ale z sobie tylko znanych powodów trzymają w ukryciu, udając przy tym obłudnie, że mi gorliwie pomaga.

Nie miałam teraz cienia wątpliwości, że prowadzi ze mną podwójną grę. Właśnie dlatego ta scena w jego biurze tak bardzo mnie upokorzyła. Domyślił się, że najlepiej zastosować wobec mnie „romantyczny" wariant, po czym odegrał tę rolę z wyjątkową maestrią. Dałam się nabrać na jego pochlebstwa, byłam jak plastelina w jego rękach. Pewno uważa mnie za skończoną idiotkę.

Łzy znów nabiegły mi do oczu, grożąc ponownie zniszczeniem ledwo co poprawionego makijażu, kiedy zadzwonił telefon. Początkowo nie zamierzałam odbierać, ale potem uchwyciłam się tej sposobności, żeby zapomnieć o swoich kłopotach.

— Halo? — rzuciłam ostrożnie do słuchawki.

— Już miałem dzwonić do Scotland Yardu, żeby zgłosić twoje zaginięcie — odezwał się rozżalony Warren. Gdzieś ty się, do licha, podziewała? Obiecałaś, że zadzwonisz po obiedzie z Erikiem Jantzenem, a dochodzi już czwarta. Omal nie osiwiiałem ze zmartwienia.

— Przepraszam — powiedziałam. — Coś mnie zatrzymało. Masz ochotę do mnie zajrzeć? Wpadłam na pewien trop i chciałabym to z tobą omówić.

— Tak? — Bardzo się podniecił. — Już pędzę. Nic beze mnie nie rób.

W telefonie zapadła cisza. Usiadłam na brzegu łóżka i nic nie robiłam. Po minucie Warren pukał już do moich drzwi. Otworzyłam.

— Czego się dowiedziałaś? — spytał z przejęciem.

— Co się stało? Gdzie ona jest? zaproponowałam, żeby usiadł i zapalił papierosa.

— Po południu zajrzałam do biura Gartha Coopera

— powiedziałam spokojnie. — Miałam co do niego pewne podejrzenia. Kiedy tam przyszłam, jego samego nie było, był natomiast jego prochowiec. Z kieszeni wystawała pusta koperta ostemplowana w poniedziałek, trzy dni temu. List był zaadresowany do Gartha pismem Giny, a na stemplu wyczytałam, że wysłano go z Dorking w hrabstwie Sur-rey.

Warren był tak zdumiony, że z wrażenia upuścił papierosa. Rzucił się nerwowo, żeby go podnieść, po czym wdeptał niedopałek w dywan.

— Zatem Cooper przez cały czas kłamał! Skoro napisała do niego w poniedziałek...

— Dostał list we wtorek albo wczoraj, w środę. Czyli musi wiedzieć, gdzie ona jest.

— Powtórz jeszcze, skąd był wysłany?

— Z Dorking w hrabstwie Surrey.

— Surrey jest na południe od Londynu, prawda? Dorking powinno być niedaleko stąd. Mam w pokoju atlas samochodowy Anglii. Skoczę po niego, zaraz sprawdzimy, gdzie to jest.

Okazało się, że Dorking leży jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt kilometrów na południe od Londynu.

— Wygląda mi na spore miasteczko — rzekł Warren, medytując nad przewodnikiem. — Wybierzmy się do Dorking pociągiem jeszcze dziś wieczór, żeby się rozejrzeć. Musi tam być stacja. To najwyraźniej podmiejska miejscowość, z której ludzie dojeżdżają do Londynu do pracy.

Zawahałam się, bo apatia stłumiła we mnie wolę działania. Warren wciąż ślęczał nad mapą.

— Dorking... Najbliższe większe miasteczko to Guildford. Posłuchaj, co za nazwy! Abinger Hammer, Shere, Gom-shall, Holmbury St Mary...

Na wspomnienie Holmbury St Mary przeszył mnie ból. Aż przygryzłam wargę. Podniósł wzrok.

— Coś się stało?

— Garth powiedział mi, że ma domek na wsi, w Hombury St Mary. Jeździ tam na soboty i niedziele.

— Czyli to jest to! — zawołał Warren. — Już wiemy, gdzie jest Gina! Siedzi w domku Coopera w Surrey! — Zamknął z trzaskiem atlas i zerwał się na równe nogi. — Dobra, jedziemy!

— Poczekaj — zmitygowałam go. — Jeżeli Gina ukrywa się w wiejskim domku Gartha, może wcale nie podziękować nam za to, że się wtrącamy. Skoro mogła napisać i wysłać list, najwidoczniej siedzi tam z własnej woli, dobrze się miewa i nic jej nie grozi.

Wbił we mnie wzrok.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chyba się domyślasz... nie jesteś taki głupi. Posłuchaj, oto co się moim zdaniem wydarzyło... — Wzięłam głęboki oddech, zebrałam wszystkie siły woli. Usiłowałam mówić chłodnym, rzeczowym, obojętnym tonem. — Gina przyjechała do Londynu, żeby spędzić weekend z Garthem, ale na lotnisku spotkała ich rozjuszona Therese. Rozegrała się tam scena, po której Gina i Garth udali się osobno do centrum. Potem rzecz jasna Garth obawiał się dalszych awantur ze strony Therese, zaproponował więc, żeby Gina zatrzymała się potajemnie w jego domku w Surrey.

— Nie wierzę — odparł natychmiast Warren. — Garth spędził cały tydzień w Londynie. Po co Gina miałaby tkwić na wsi, skoro przyjechała do Londynu, żeby pobycć razem z nim? I dlaczego w takim razie nie zadzwoniła do Candy--Anny z zawiadomieniem, że jeszcze przez kilka dni nie wróci do Paryża? No i ta wersja zupełnie nie wyjaśnia sobotniego telefonu Giny do Nowego Jorku z mieszkania Jantzenów.

— W takim razie zaproponuj inne wyjaśnienie, które uwzględniałoby fakt, że Gina najprawdopodobniej siedzi sobie teraz bezpiecznie, z własnej nieprzymuszonej woli, w domku Gartha w Surrey!

Spojrzał na mnie naburmuszony. Jego wzrok, omiatając pokój w poszukiwaniu natchnienia, rozjaśnił się na widok telefonu.

— Zadzwońmy do informacji, żeby zdobyć numer telefonu w domku Gartha w Surrey.

— Nie będzie tam telefonu.

— Skąd wiesz?

— Gina nie pisała do Gartha, gdyby mogła stamtąd zadzwonić.

Zamilkł.

— Nie zaszkodzi spróbować — powiedział w końcu. — A nuż się czegoś dowiemy?

— No dobrze — zgodziłam się bez przekonania.

Po dziesięciu minutach wypytywania rozmaitych telefonistek w Londynie i w Surrey Warren dowiedział się, że telefon w Holmbury St Mary, w posiadłości zwanej Coneyhurst Cottage, należącej do pana Gartha Coopera, figuruje w spisie pod numerem Holmbury 626.

— Mogłaby mnie pani połączyć? — poprosił. Czekaliśmy pełni napięcia. A potem rzekł zawiedziony: — Nikt nie odpowiada? Dziękuję. Spróbuję później.

— Nie ma w tym nic dziwnego — powiedziałam, żeby go pocieszyć, kiedy już odłożył słuchawkę. — Jeżeli Gina ukrywa się w tym domku, nie będzie przecież odbierała telefonów.

— To prawda. — Trochę się rozchmurzył. — Ale przynajmniej miałem rację, że jest tam telefon. I co ty na to, Claire? Może skoczylibyśmy jeszcze dzisiaj pociągiem do Dorking, przenocowali tam w hotelu, a jutro rano wynajęli samochód i podjechali do domku Coopera?

Pomyślałam o obietnicy Gartha, że zadzwoni później, żeby zaprosić mnie na kolację. Uznałam, że podczas rozmowy słabość wzięłaby nade mną górę i przyjąłabym jego zaproszenie. A gdybym poszła z nim do restauracji, mogłabym tylko pogorszyć swoją sytuację. Najlepiej wyjechać na dzień lub dwa z Londynu.

Warren zaczynał się już dziwić moim wahaniom, więc odpowiedziałam pospiesznie:

— Zgoda, jedźmy. Wiesz, jak się tam dostać?

— Popytam na dole w recepcji. Jak tylko się dowiem, możemy się zbierać i ruszać w drogę.

— Dobrze.

Kiedy zostałam sama, otworzyłam walizki i znowu zaczęłam się pakować. Z ulgą pomyślałam, że wreszcie mam coś do roboty, coś, co chociaż na chwilę pozwoli mi zapomnieć o moich kłopotach. Kiedy kończyłam, zadzwonił telefon i Warren oznajmił mi, że o siódmej mamy pociąg z dworca Waterloo.

— Możemy przekazać coś tutaj wpół do szóstej — powiedział — a potem weźmiemy taksówkę na dworzec. Podróż trwa mniej więcej trzy kwadranse. Zdobyłem nazwę agencji wynajmu samochodów w Dorking i nazwę hotelu, w którym możemy się zatrzymać. Możemy zatem ruszać.

Po obiedzie zapłaciliśmy w recepcji za noclegi. Czekala tam na mnie kartka z wiadomością od Gartha. Podarłam ją i wyrzuciłam. Dziesięć

minut później, z bagażem ulokowanym bezpiecznie w taksówce, opuszczaliśmy Piccadilly Circus jadąc na dworzec Waterloo.

Wysiedliśmy w Dorking tuż przed ósmą i wzięliśmy taksówkę do zajazdu, który polecono Warrenowi w recepcji w Londynie. Miasteczko wprawiło nas oboje w osłupienie.

Nawet Warren, który jak mi się zdawało, nigdy nie zwracał uwagi na otoczenie, umilkł na widok szerokiej High Street z rzędami starych sklepików i wąskich, krętych bocznych uliczek pełnych pubów oraz sklepów z antykami. Taksówkarz powiedział nam, że nasz zajazd był niegdyś prawdziwą oberżą, co przywiodło mi na myśl Klub Pickwicka Dickensa, i wtedy zrozumiałam, dlaczego nazwa Dorking wydała mi się tak znajoma.

— Dasz wiarę? — zachłysnął się Warren, kiedy taksówka skręciła pod wiekowym łukiem z High Street na podwórzec zajazdu. — Tutaj mieszkają ludzie! I wcale nie zbudował tego Walt Disney. Ludzie naprawdę tu mieszkają.

Wreszcie poczułam, że jestem w Anglii. Londyn ze swoimi nowoczesnymi gmazyskami i międzynarodową atmosferą trochę mnie rozczarował, zwłaszcza po wcześniejszej wizycie w Paryżu. Natomiast tutaj, w Dorking, zobaczyłam starą dobrą Anglię. Kiedy weszłam do swojego pokoju i zobaczyłam przez okno dużą zieloną górę wznoszącą się nad miasteczkiem od północnego wschodu, przeżyłam jedną z tych dziwnych chwil, w których nam się zdaje, że już kiedyś w tym miejscu byliśmy. Co za niedorzeczność! Żadne znane mi miasteczko w Nowej Anglii nie przypominało tego targowego miasteczka w Surrey ani żaden z moich przodków nie pochodził z Anglii; rodzina mojej matki wywodziła się ze Szkocji, a mój ojciec był Ulsterczykiem z protestanckiej części Irlandii Północnej. Byłam tu więc cudzoziemką, a mimo to poczułam się jak w domu.

Zdążyliśmy akurat na kolację; musiałam przywyknąć do sztywnych pór posiłków w Anglii, do tej brytyjskiej punktualności. Zjedliśmy sutą angielską kolację, za którą z mojej transatlantyckiej perspektywy zapłaciliśmy bardzo niewiele i po której poczuliśmy się tak najedzeni, że musieliśmy posiedzieć godzinę w holu przy kawie, zanim zdołaliśmy się podnieść z foteli. W końcu Warren wyszedł, żeby jeszcze raz zadzwonić do domku Gartha, ale na próżno. Uznaliśmy, że najlepiej pójść wcześniej spać, a nazajutrz z samego rana wybrać się do Holmbury.

Noc miałam niespokojną. Załóżmy, że Gina istotnie jest w tym domku, rozmyślałam, na co zresztą wszystko wskazuje. Trzeba to mądrze rozegrać. Im więcej o tym myślałam, tym mniej miałam ochotę na towarzystwo Warrena. Mógł wparować do domku jak słoń do składu z porcelaną i zasypać Ginę pytaniami, żądaniem, oskarżeniami. A jeżeli Gina nie zechce z nami wrócić, jeżeli będzie wolała tam zostać? Warren może stracić głowę i zrobić jakiś głupi krok. Niemal widziałam oczyma wyobraźni, jak wynosi stamtąd Ginę siłą w szczerym przekonaniu, że działa dla jej dobra. Aż się wzdrygnęłam. Muszę coś wymyślić, żeby dotrzeć tam przed nim.

Nazajutrz rano przy śniadaniu okazało się, że wynajął już samochód. Miał go odebrać, gdy tylko zjemy.

— Niestety bardzo źle się czuję — powiedziałam ze skruchą. — Czy nie moglibyśmy przełożyć wyjazdu na popołudnie? Strasznie mnie boli głowa.

Spojrzał na mnie z z troskaniem.

— Masz aspirynę? Oczywiście, lepiej się połóż. Może wezwać lekarza?

— Nie, nie — rzuciłam prędko, żeby powstrzymać jego opiekuńcze zapędy. — Wezmę dwie aspiryny, trochę poleżę i do południa mi przejdzie. Przepraszam za tę zwłokę, ale...

— Nic nie szkodzi, rozumiem. Nie przejmuj się... tylko mi przykro, że się źle czujesz. — Zastanowił się. — Może pojedę teraz sam i sprawdzę, czy Gina tam jest?

— Proszę cię — powiedziałam szybko — zaczekajmy do popołudnia! Przejechałam pięć tysięcy kilometrów, żeby odnaleźć Ginę, więc wolałabym być przy tym obecna, a nie wylegiwać się w hotelowym łóżku.

Warren zawstydział się.

— Jasne. Rozumiem. Wybacz mi.

Westchnęłam cicho z ulgą. Postanowił zwiedzić miasteczko i wysłać karty do znajomych, a kiedy odebraliśmy już samochód z agencji, uznał, że wybierze się na to zwiedzanie pieszo.

— Najlepiej zostaw kluczyki u mnie — zaproponowałam. — Żebyś nie zgubił na spacerze.

— Świetny pomysł — podchwycił skwapliwie i bardzo poważnie, chociaż ja rzuciłam to lekko. — Wiecznie coś gubię.

Wręczył mi kluczyki i wyszedł.

Gdy tylko znikł mi z oczu, wymknęłam się do samochodu, włożyłam kluczyk do stacyjki, sprawdziłam kontrolki. Zanim opuściłam dom, już

jako dorosła dziewczyna prowadziłam samochód na co dzień, toteż odruchy kierowcy weszły mi w krew; od tamtej pory minęły wprawdzie trzy lata, ale odkąd zamieszkałam w Nowym Jorku, też czasem wynajmowałam sobie samochód, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że prowadzenie wozu przychodzi mi bez trudu tak jak pływanie: jeśli raz się nauczysz, to już nie zapomnisz. Prowadzenie samochodu w Anglii może okazać się kłopotliwe, pomyślałam, ale na pewno sobie poradzę. Skupiwszy się na tym, co robię, uruchomiłam silnik, wrzuciłam bieg, zwolniłam hamulec. Samochód ruszył po kocich łbach podwórca zajazdu. Po chwili przejechałam ostrożnie pod wąskim łukiem i skręciłam w High Street. Przemknęło mi przez głowę, że bardziej się denerwuję, niż sądziłam, wsunęłam się więc za zielony piętrowy autobus. U wylotu High Street skręciłam w prawo i znalazłam się w spokojniejszych, podmiejskich dzielnicach mieszkalnych. Zatrzymałam się na pierwszej stacji benzynowej, żeby zapytać o Holmbury St Mary. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że wybrałam właściwą drogę.

— Proszę jechać przez Westcott, obok hotelu Wotton Hatch — rzekł uczynny mechanik. — Dalej prosto główną szosą i kiedy przed Abinger Hammer zobaczy pani po lewej zagony rukwi wodnej, proszę uważać na skręt w lewo. Tuż przed zegarem w Abinger stoi biały drogowskaz z napisem „Do Holmbury St Mary”. Tam trzeba skręcić, a potem jeszcze kilka kilometrów i będzie pani na miejscu.

Podziękowałam mu i pojechałam dalej. Za małą wioską, którą uznałam za Westcott, szosa biegła wśród pól poprzecinanych z rzadka piaszczystymi splachciami. Zauważyłam soczystą zieleń liści i łańcuch wzgórz za polami na północ, ale panował tu większy ruch, niż się spodziewałam, toteż nie miałam możliwości napawać się widokami.

W końcu dostrzegłam boczną drogę za zagonami rukwi wodnej i skręciłam w lewo do Holmbury St Mary. Wąska polna dróżka wiła się zakolami; prawie nikt tędy nie jechał, mogłam się więc lepiej przyjrzeć okolicy. Minąwszy stare sioło, w którym tak się zapatrzyłam na piękne chaty, że omal nie przegapiłam drogi, dojechałam wreszcie do większej wioski otoczonej błoniami, z kościołem na wzniesieniu oraz z całą plejadą malowniczych domostw i sklepików rozrzuconych wokół.

Zatrzymałam się przy najbliższym przejściu i spytałam jakąś kobietę o drogę do Coneyhurst Cottage. Powiedziała, że nigdy o nim nie słyszała.

Przygnębiona ruszyłam dalej i zatrzymałam się przy pubie; lokal był zamknięty, ale właściciel był w środku i przecierał właśnie ładę.

— Przepraszam! — zawołałam przez otwarte okno. — Nie orientuje się pan, jak dojechać do Coneyhurst Cottage?

Wysoki, dobrze zbudowany wążacz podniósł wzrok.

— Do Coneyhurst? — Przyglądził sobie machinalnie wąsy. — To pewno gdzieś na Holmbury Hill. A kto tam mieszka?

— Niejaki pan Garth Cooper.

— A! — Twarz mu się rozjaśniła. — I owszem, znam pana Coopera. Często tu przyjeżdża na soboty i niedziele. Jego dom stoi prawie u szczytu wzgórza, trochę na odludziu, piękny stamtąd widok. Proszę jechać do góry drogą na Peaslake... minie pani kilka dużych domów, między innymi Holmbury House. Proszę się wciąż kierować na Peaslake, a tuż przed szczytem, po lewej, zobaczy pani ten dom.

Podziękowałam mu i wróciłam do wozu. Kiedy wyjeżdżałam z wioski pod górę, wyszło słońce. Promienie przeświecały przez bujne zielone liście wysokich drzew, tworząc na krętej wąskiej drodze rozmaite desenie. Potem drzewa się skończyły, a po prawej zobaczyłam strome zbocze wzgórza. Z lewej rozciągał się widok wart przystąpienia, ale byłam zbyt blisko kresu swojej podróży, toteż nie stawałam. Minęłam kilka rozrzuconych z rzadka domów, furtkę z napisem „Holmbury House”. Jechałam teraz jeszcze bardziej stromym podjazdem. Nagle droga się rozwidliła; zgodnie z instrukcją knajpiarza skręciłam na Peaslake i wrzuciłam niższy bieg. Pochwaliłam Warrena w duchu, że wynajął małego austina. Droga była teraz tak wąska, że denerwowałam się prowadząc większy wóz.

Właśnie zastanawiałam się, kiedy wreszcie dotrę do szczytu wzniesienia, gdy zobaczyłam Coneyhurst Cottage. Wyobrażałam sobie, że będzie duży i pokryty słomianą strzechą, ale spotkał mnie zawód. Domek był mały, miał nie więcej niż trzydzieści lat i tkwił mocno w stromym zboczu, skąd roztaczał się panoramiczny widok na dolinę.

Zaparkowałam samochód na poboczu wśród drzew, wysiadłam i podeszłam wolno do domu. Wszystkie okna były zamknięte; ani śladu żywego ducha. Znalazłam frontowe drzwi, po chwili wahania zadzwoniłam, lecz nikt nie otworzył, obeszłam więc dom dookoła i szarpnęłam klamkę tylnych drzwi. Były zamknięte. Stałam tak, zastanawiając się, co robić. Kilka kroków od domu znajdowała się

niewielka szopa. Podeszłam i otworzyłam drzwi, ale w środku były tylko narzędzia ogrodnicze i taczki. Kiedy się odwróciłam, słońce wyjrzało zza chmur, a od doliny zadął chłodny wiatr.

Zadrżałam.

Gapiły się na mnie ślepe okna domu, i nagle, zupełnie nie wiadomo dlaczego, zdjął mnie strach. Wycofałam się prędko przez mały tarasowy ogródek. Zauważyłam, że część ostatniego tarasu, tuż przy żywopłocie wyznaczającym granice posiadłości, niedawno skopano i zagracono. W świetle porannego rześkiego światła wyraźnie błyszczała wilgotna ziemia.

Odrzuciłam nasuwający się domysł, co to może być. Łata miała niecałe dwa metry długości i metr szerokości. Nagle, właściwie nie zdając sobie z tego sprawy, znalazłam się w pół drogi do szopy. Kiedy do niej dotarłam, wzięłam oparty o ścianę szpadel i wróciłam do grządki u podnóża ogródka.

Szpadel wrył się miękko w mokrą ziemię i utknął.

Zrobiło mi się okropnie zimno. Znowu drżałam na całym ciele. Mimo to, zdjęta obsesją, by przywołać do życia swoje najgorsze koszmary, pochyliłam się i zaczęłam grzebać w ziemi, aż wreszcie odkopałam coś przerażającego, zniekształconego i ohydneho, coś, co z ledwością rozpoznałam.

Była to ludzka ręka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy przeszły mi mdłości, zmusiłam się całym wysiłkiem woli, żeby wrócić do mogiły. Musiałam sprawdzić. Odzyskawszy jaki taki dystans, uklęknęłam ponownie na ziemi i schyliłam się nad tą ręką, przyciskając chusteczkę do nosa i ust. Na palcu serdecznym tkwił pierścionek z lśnią-cym brylantem, który skrzył się szyderczo w jasnym świetle. Zacisnęłam mocno powieki, po czym znów je otworzyłam. Pierścionek nadal tam tkwił. Przez kilka sekund myślałam z odrazą, że powinnam zobaczyć, czy nie wygrawerowano na nim jakiegoś napisu, ale zrezygnowałam z tego pomysłu i odeszłam od mogiły. Pierścionek zaręczynowy stanowił wystarczający dowód: Therese nie chciała zerwać zaręczyn, mogła więc nosić pierścionek nawet wtedy, gdy Garth wycofał się z narzeczeństwa.

Pełna wymowa tego odkrycia uderzyła mnie z obezwładniającą siłą. W ogródku weekendowego domku Gartha leżała pogrzebana jego narzeczona i wszystko wskazywało na to, że właśnie on ostatni widział ją żywą. Terese wybiegła z domu po kłótni z nim, a potem sąsiedzi już jej nie widzieli.

Gdyby policja знаła fakty, powiedziałam sobie w duchu, z pewnością obciążyłaby Gartha winą za zabójstwo. Dziewczyna przysparzała mu kłopotów, pokłócił się z nią, ostatni widział ją żywą...

Czoło miałam lodowate. W szopie znalazłam kran do węża ogrodowego. Odkręciłam go. Chlusnęła zimna woda.

Umyłam sobie ręce z fanatyczną dokładnością, wytarłam w spódnice i znów wyszłam na chłodne światło poranka. Kiedy wsiadłam do samochodu, opadłam na fotel kierowcy i zaczęłam się trząść na całym ciele.

Usiłowałam pogodzić się z myślą, że Garth jest mordercą, jednakże całym sercem się przed tym wzbraniałam. Owszem, byłam skłonna uznać, że uprawia wobec mnie jakąś grę, lecz nie mogłam uwierzyć, że chodzi o morderstwo. Staralam się myśleć trzeźwo. Dokąd udała się Therese po sobotniej kłótni z Garthem w swoim mieszkaniu? Jeżeli ją zabił, kiedy to się stało i gdzie? I dlaczego zakopał ciało w ogrodzie własnego domku, skoro mógł wybrać każde inne miejsce na zboczu tego wzgórza?

Nie mogłam jednak uwierzyć, że to on ją zabił. Nie mogłam uwierzyć, że Garth jest mordercą.

W głowie kotłowały mi się najdziwniejsze myśli. Zaczęłam rozważać, czy Gina mogła być wmieszana w to wszystko. Jeżeli Garth osłaniał moją siostrę... nie, ona nie zabiłaby Therese. Po raz setny zastanowiłam się, gdzie Gina może teraz być i zapragnęłam z całej duszy się z nią skontaktować. Potem pomyślałam ze zgrozą o Warrenie i aż wstrzymałam oddech. Gdyby przyjechał do domku i znalazł w ogrodzie mogiłę, natychmiast zawiadomiłby policję. Musiałam go jakoś powstrzymać, żeby zgodnie z powziętym zamiarem nie przyjechał po południu węszyć w domku.

Przez całą drogę powrotną do Dorking roztrząsałam, jak by tu odwieść Warrena od realizacji jego planu, ale gdy dotarłam na podwórzec zajazdu, wcale nie byłam bliższa rozwiązania tej kwestii niż wtedy, gdy wyjeżdżałam z Holmbury St Mary. Zerknęłam na zegarek. Było wpół do dwunastej. Modląc się w duchu, żeby nie spotkać Warrena w holu ani na schodach, wślizgnęłam się do hotelu i pobiegłam na górę do swojego pokoju.

Zatrzasnąwszy i zaryglowawszy za sobą drzwi, klapnęłam na łóżko, sięgnęłam po telefon i poprosiłam panią z centrali, żeby połączyła mnie z biurem Gartha w Londynie.

Kiedyś czytałam, że osobę zakochaną można uważać za częściowo niepoczytalną, dopóki skutki tej przypadłości zaciemniają jej umysł. Gdyby miesiąc wcześniej ktoś mi powiedział, że nie zgłoszę natychmiast na policję faktu odnalezienia zwłok, lecz będę dzwoniła do domniemanego mordercy, żeby przestrzec go przed grożącym mu niebezpieczeństwem, z pewnością odparłabym oburzona, że nigdy nie zachowałabym się tak nieodpowiedzialnie.

Ale zachowywałam się rzeczywiście nieodpowiedzialnie. Co gorsza, działałam w przeświadczeniu, że postępuję jak najbardziej słusznie, bo wbrew wszelkim dowodom zdążyłam nabrać przekonania o niewinności Gartha. Czekałam z niepokojem w mojej cichej, spokojnej sypialni na połączenie, po czym nagle Catherine, sekretarka Gartha, podniosła słuchawkę i odezwała się tym swoim chłodnym, wystudowanym, uprzejmym głosem:

— Dzień dobry, tu spółka Cooper-Jantzen. Czym mogę służyć?

— Dzień dobry — rzuciłam prędko. — Czy zastałam pana Coopera?
Mówi Claire Sullivan.

— Niestety, ani pana Coopera, ani pani Jantzen nie będzie dziś w biurze. Czy chciałaby się pani czegoś dowiedzieć?

— Może pani się orientuje, gdzie oni teraz są?

— Przygotowują się, żeby przyjąć podczas weekendu francuskich klientów w domku pana Coopera w Surrey! Pani Jantzen pojechała tam wczoraj wieczór, żeby wszystko przygotować, a pan Cooper wybiera się dziś po południu odebrać tych klientów z lotniska. Niewykluczone, że złapie go pani jeszcze przed wyjściem z domu. Ma pani jego domowy numer telefonu?

— Nie. Mam tylko telefon do pracy. Czy mogłaby mi pani podać? Sprawa jest bardzo pilna.

— Chwileczkę. — Usłyszałam, jak otwiera z trzaskiem automatyczny skorowidz. — Tak, Mayfair... czyli MAY... 7543.

— Bardzo pani dziękuję.

Odłożyłam słuchawkę i po chwili znów ją podniosłam, żeby podać telefonistce kolejny numer. Słyszałam, jak go wykręca, jak po drugiej stronie telefon dzwoni bez końca.

— Przykro mi — rzekła telefonistka. — Nikt się nie zgłasza.

— Dziękuję.

Nie dopuszczałam jednak myśli, że nie zdołam się skontaktować z Garthem. Powodowana żądzą czynu, zerwałam się na równe nogi, wybiegłam z pokoju i pognałam po schodach do automatu telefonicznego, który zauważyłam wcześniej w jednym z korytarzy.

Na szczęście miałam przy sobie właściwe monety. Rzuciłam okiem na instrukcje, które wydały mi się okropnie zawiłe, wykręciłam numer Gartha i czekałam. Kiedy rozległ się dzwonek, pomyślałam w popłochu: czy aby wybrałam dobry numer? Ponieważ byłam podminowana, zamroczyło mnie na chwilę i wbiłam sobie do głowy, że się pomyliłam. Wyjęłam monety z automatu, odwiesiłam słuchawkę i znów wykręciłam numer.

Tym razem jakiś cud sprawił, że ktoś odebrał po pierwszym dzwonku.

— Halo?

Już otworzyłam usta i wzięłam oddech, żeby się odezwać, gdy nagle coś mnie poraziło, zanim zdołałam wykrztusić pierwsze słowo.

Bo to nie Garth podniósł słuchawkę, lecz Gina...

— Garth? — spytała Gina wylęknionym głosem, ponieważ wciąż milczałam. Uświadomiłam sobie mgliście, że niechcący trafiłam na

umówiony szyfr, który miał jej umożliwić rozpoznanie, kiedy może odebrać bez obaw telefon. — Garth, co jest? Co się znów stało?

— Stało się to — odpowiedziałam rozedrganym głosem — że twoja siostra nareszcie zdołała cię odnaleźć. Gdzieś ty się, do diabła, podziewała?

Łzy ulgi parzyły mi policzki; byłam tak wdzięczna losowi, że całe otoczenie zawirowało mi przed oczami w oszłamiającej mgiele.

— Claire! O Boże, skąd ty dzwonisz? Co robisz? Claire, mam takie wyrzuty sumienia wobec ciebie, takie straszne...

— I słusznie! Zamartwiałam się o ciebie jak głupia. Po tym twoim telefonie uwikłałam się w nieprawdopodobne sytuacje!

— Próbowałam dodzwonić się stąd do ciebie w poniedziałek, ale wyjechałaś już z Nowego Jorku... wyjechałaś tak nagle, Claire! W życiu nie sądziłabym, że w ciągu dwóch dni zdecydujesz się na wyjazd do Paryża...

— A czego się, na miłość boską, spodziewałaś? Że będę sterczała w Nowym Jorku i zachodziła w głowę, czy nie zostałam zamordowana, zgwałcona lub porwana? Albo że wrosnę w podłogę swojego mieszkania jak Statua Wolności i będę czekała, aż raczysz sobie o mnie przypomnieć?

— Claire, wcale o tobie nie zapomniałam. Naprawdę próbowałam dzwonić znów w sobotę wieczór, ale u ciebie stałe było zajęte. Potem nie miałam kiedy zadzwonić, dopiero w poniedziałek, a wtedy już...

— Dlaczego dzwoniłaś od Jantzenów?

— Bo... wiesz, nie mogę rozmawiać przez telefon. Garth dostanie szału, jak się dowie, że z tobą rozmawiałam. Powiedział, że absolutnie nikt, nawet ty, nie może wiedzieć, gdzie byłam od soboty...

— Gino, posłuchaj, musisz powiedzieć mi coś więcej! Garth wpadł w tarapaty. Jego była narzeczona...

— Wiem.

— Ale...

— Proszę cię, Claire, błagam... nie przez telefon. Poczekaj, gdzie ty jesteś? W Regent Paláce?

— W Dorking.

— W Dorking! Nie wolno ci tam zostać! Grozi ci niebezpieczeństwo! Wracaj do Londynu. I to natychmiast. Następnym pociągiem na dworzec Waterloo. O nic nie pytaj, kochana, tylko wracaj. Rozumiesz? Zaraz stamtąd wyjedź i przyjdź tutaj.

— Poczekaj chwilę! Gdzie jest Garth? Muszę z nim porozmawiać. Mam mu tyle...

— Jedź samochodem do swojego domku w Holmbury St Mary. Ale ty, Claire, musisz natychmiast wrócić do Londynu. Zaklinam cię! Wracaj!

— Dobrze — powiedziałam, żeby ją uspokoić. — Dobrze, przyjadę najwcześniejszym pociągiem. Nie martw się.

— Będę na ciebie czekała — odparła z ulgą. — Tylko się pośpiesz!

— A jak sądzisz, co ja robię od tego twojego cholernego telefonu w sobotę wieczór? No dobrze, pośpieszę się. O nic się nie martw. Trzymaj się.

— I ty też, kochana. No to na razie.

— No to pa.

Odwiesiłam słuchawkę, oparłam się w odurzeniu o ścianę, po czym zaczęłam szukać chusteczki. Znalazłam tę, którą Garth dał mi poprzedniego dnia w biurze. Pomyślałam sobie cierpko, że przez ostatnie dwa dni wylałam więcej łez niż przez ostatnie dwa lata.

Kiedy się pozbierałam, wróciłam na górę do swojego pokoju i zaczęłam rozważać następny krok. Miałam szczerzy zamiar jak najszybciej spotkać się z Giną, ale najpierw musiałam powstrzymać Warrena, żeby nie pojechał jej szukać w domku weekendowym, a potem musiałam spróbować złapać Gartha, żeby raz na zawsze rozstrzygnąć nasze prywatne sprawy. Przede wszystkim jednak Warren. Poszłam do jego pokoju, zapukałam, ale nikt nie odpowiadał. Uznałam, że pewno nadal jest na spacerze. Widocznie postanowił dokładnie zwiedzić Dorking.

Po kwadransie znów spróbowałam. Tym razem szczęście mi dopisało.

— Jak się czujesz? — spytał, wpuszczając mnie do środka. — Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Nic lepszego nie mogło mi się zdarzyć.

— Bo wciąż się nie najlepiej czuję — odparłam słabym głosem. — Coś okropnego... Ale mam dla ciebie rewelacyjną wiadomość. Szukam cię od pół godziny. Jak sądzisz, czego się dowiedziałam pod twoją nieobecność? Zadzwoiłam do biura Gartha, żeby zapytać, czy nie ma jakichś wieści o Ginie, i wyobraź sobie, że Gina podniosła słuchawkę! Byłam tak wstrząśnięta, że nie mogłam wprost uwierzyć! Nie chciała wiele mówić przez telefon, ale umówiłyśmy się o piątej w recepcji Regent Palace.

— Nie do wiary! — zawołał Warren ze zdumieniem. — Naprawdę? Ale co ona robiła w biurze Coopera? Gdzie była przez cały ten czas?

— Przecież ci powiedziałam, że nie chciała rozmawiać przez telefon! Prawda, że to rewelacja? Poleżę sobie jeszcze ze dwie godziny, może przejdzie mi ból głowy, i złapiemy pociąg do Londynu, żeby zdążyć na piątą.

— Wspaniale! — ucieszył się. — Cudownie! Zadzwoń na stację, żeby się dowiedzieć o pociągi do Londynu...

— Jak chcesz, to jedź pierwszy. Ja tu sobie trochę odpocznę...

— Oczywiście, rozumiem. Ale poczekam na ciebie, pojedziemy razem.

— Podeszedł do telefonu. — Sprawdzę tylko godziny odjazdów.

Wolałam się z nim dłużej nie sprzeczać, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń. Skoro postanowił czekać na mnie, zawsze przecież jakoś mu się wymknę, tak jak dziś rano, i sama pojedę samochodem. Westchnęłam z ulgą, kiedy zaczął mówić do słuchawki. Podeszłam do toaletki i zaczęłam oglądać rzeczy rozrzucone na politurowanym blacie. Było tam kilka widokówek z Surrey.

— Czwarta czterdzieści pięć? Rozumiem... a wcześniej?

Obok widokówek leżał paszport Warrena. Zerknęłam na zdjęcie i ku swojemu zaskoczeniu uznałam, że jak na zdjęcie paszportowe wyszedł bardzo fotogenicznie. Wyglądał młodo, przystojnie, inteligentnie, patrzył śmiało w obiektyw. Przerzuciłam kartki, żeby zajrzeć do części wizowej, ciekawa, w jakich krajach był. Miał wstemplowany wjazd do Brazylii w zeszłym roku. Potem przyjazd do Paryża, no i teraz ta wizyta w Londynie.

— Dobrze... świetnie. A o której przyjeżdża do Londynu? Czy to ekspres?

Nagle coś przykuło moją uwagę. Warren dwukrotnie przekroczył granicę Anglii i Francji.

— Mówi pani, że zatrzymuje się po drodze tylko na jednej stacji?

Wpatrywałam się ze zdumieniem w paszport. Po chwili zdałam sobie sprawę, że pierwszy stempel brytyjskiej kontroli granicznej jest z ubiegłej soboty, a drugi, władz francuskich, nosi datę o jeden dzień późniejszą, z niedzieli.

Warren był w Londynie tego wieczoru, kiedy Gina dzwoniła do mnie od Jantzenów. Był w Londynie tego wieczoru, kiedy zniknęła Therese. Był w Londynie w sobotę, po czym wrócił sobie spokojnie w niedzielę do Paryża i nawet się o tym nie zająknął...

— Bardzo pani dziękuję — odezwał się Warren za moimi plecami. — Do widzenia.

Rzucił słuchawkę, a ja rzuciłam paszport; pierwszy stuk zagłuszył drugi. Niczego nie pojmując, odwróciłam się do niego z tępym wzrokiem.

— Wszystko w porządku? — spytałam od niechcienia. — Którym pociągiem jedziemy?

— Jest pociąg o trzeciej, chyba najlepiej tym. Wpadłbym po ciebie wół do trzeciej.

— Dobrze. Dziękuję, Warren — powiedziałam machinalnie, po czym wstrząśnięta do szpiku kości wyszłam od niego i ruszyłam pustym korytarzem.

Kiedy znalazłam się znów w swoim pokoju, jeszcze nie mogłam trzeźwo myśleć o tym nowym odkryciu. Musiałam postać chwilę w oknie, wyglądając na Dorking, żeby otrząsnąć się z pierwszego szoku. Po co Warren przyjechał do Londynu? I dlaczego zataił tę wizytę? Czyżby naprawdę miał coś do ukrycia? Czy mógł mieć coś wspólnego z zabójstwem Therese?

Przez dobrych kilka minut myślałam o Warrenie, myślałam o tym, że zawsze lekceważyłam go jako naiwnego, dobrodusznego, przerośniętego młokosa. Najwyraźniej go nie doceniałam. Chyba nie był nawet w połowie taki naiwny i szczerzy, za jakiego go uważałam.

Raptem tknęła mnie inna myśl. Czy aby nie dałam się również zwieść gorliwości Warrena przy poszukiwaniach Giny? Bawiło mnie i wzruszało jego poświęcenie, chociażby tygodniowy urlop z pracy i lot do Londynu, żeby ją znaleźć. A jeżeli za tą jego gorliwością kryły się jakieś złowrogie zamiary? Znów wróciłam myślą do Terese i nagle nasunęło mi się pytanie: a jeżeli Warren zabił Therese na oczach mojej siostry? Kiedy uprzytomnił sobie, że była świadkiem morderstwa, chciał ją za wszelką cenę odnaleźć. Może nie wiedział nawet, że była świadkiem zbrodni, dopóki nie przyjechałam do Paryża ze swoją opowieścią o histerycznym telefonie Giny do Nowego Jorku w sobotę wieczór...

Rozbiegane myśli wymykały mi się spod kontroli. Próbowałam włączyć hamulec psychiczny i powtarzałam sobie, że Warren nie miał powodu zabijać Therese. Dlaczego miałby to zrobić? O ile wiedziałam, nawet jej nie poznał.

Zaczęłam krążyć nerwowo po pokoju, wzięłam niezdecydowanie torebkę, potem znów ją odłożyłam i wróciłam do okna. Może dramatyzuję, przypuszczając, że Warren chciał odnaleźć Ginę, żeby ją zmusić do milczenia. Może to Therese zagrażała Ginie i Warren ją zabił,

przypadkiem albo nie, żeby ochronić moją siostrę. Następnie, po moim przyjeździe do Paryża, wywnioskował z mojej relacji, że Gina była świadkiem zbrodni, o czym przedtem nie wiedział, zapragnął więc ją odszukać, żeby to wyjaśnić. Gdyby ta teoria była słuszna, tłumaczyłoby to, dlaczego Gina nie zawiadomiła policji, bo jeżeli Warren zabił Terese w trosce o nią, z pewnością nie chciałaby zgłaszać tego na policję. Zebrałam się w sobie. Mogłam tak siedzieć w pokoju i snuć najrozmaitsze teorie, ale to nie było najrozsądniejsze wyjście. Najlepiej będzie odszukać Gartha i zmusić go do wyjawienia całej prawdy zamiast dotychczasowych półprawd i wykrętów; skoro ukrywał Ginę w londyńskim mieszkaniu, a przedtem w domku w Holm-bury St Mary, musiał wiedzieć, z jakiego powodu i kogo Gina się boi.

Powzięłam decyzję. Zgarnęłam torebkę, uchyliłam ostrożnie drzwi i wymknęłam się na dół do austina zaparkowanego na podwórku. Po chwili siedziałam już w samochodzie, kierując się na High Street w drodze powrotnej do Holmbury St Mary.

Byłam tak roztrzęsiona, że wyjechałam z Dorking złą drogą i straciłam cenne minuty, krążąc po bocznych uliczkach i usiłując się rozeznać, gdzie jestem. W końcu, chyba mając więcej szczęścia niż rozumu, znalazłam szosę do Westcott i Abinger Hammer, i kilka minut później mijałam już hotel w Wotton Hatch, który widziałam zeszłym razem. Zaczęło kropić. Gdy dotarłam do zakrętu prowadzącego ku Holmbury St Mary, musiałam włączyć wycieraczki. Kapuśniaczek szybko jednak przeleciał i kiedy znalazłam się wreszcie na dróżce prowadzącej na szczyt Holmbury Hill, do domku Gartha, wyrzowało znów blade słońce, a wspomnienie po deszczu pozostało jedynie w postaci ciemnej chmury rzucającej cień na drogę za mną.

Jechałam za szybko. Musiałam się zmuszać, żeby zwalniać. W normalnych okolicznościach wąska kręta droga przekonałaby mnie wystarczająco, że powinnam ograniczyć prędkość do kroku piechura, ale tak bardzo chciałam się zobaczyć z Garthem i poznać całą prawdę, że uleciały mi z głowy nawet najbardziej podstawowe zasady bezpieczeństwa ruchu kołowego.

Na szczęście nie mijał mnie po drodze żaden samochód, toteż dotarłam na miejsce bez przeszkód. Jeszcze zanim zaparkowałam wóz, stwierdziłam, że tym razem nie jestem sama; moje dawne miejsce zajął zgrabny kremowy jaguar. Szprychy jego kół mieniły się w słońcu, przód

wbijał się delikatnie w podszycie. Ktoś przyjechał tu przede mną. Doszłam do wniosku, że musi to być Garth, a potem uprzytomniłam sobie, że przecież nie widziałam wcześniej jego samochodu. W Londynie wszędzie jeździliśmy taksówkami. A jeżeli samochód należy do kogoś innego? Znowu wpadłam w dygotki, bo przypomniała mi się ręka trupa w płytkim grobie, po czym wzięwszy się w garść, wrzuciłam luz, żeby samochód stoczył się kilka metrów w dół, i zaparkowałam na poboczu trochę niżej od jaguara. To na pewno Garth. Przecież Gina twierdziła, że jest w drodze. Ponoszą mnie nerwy, upatruję niebezpieczeństwa tam, gdzie go nie ma.

Wysiadłam i zatrzasnęłam drzwi. Wokół panowała cisza. Lesiste zbocze po prawej tchnęło bezruchem i spokojem. W gałęziach drzew nie szeptał najłżejszy szmer wiatru; czasem zakwilił ptak, po czym smyrgnął w podszycie. Kiedy postąpiłam krok do przodu, poczułam, jak mokre gałązki trzaskają mi pod nogami, a oddech przyspiesza gwałtownie.

Nadal wszystkie okna były zamknięte; nigdzie żywego ducha. Przez długą chwilę wahałam się, a potem zesłam z drogi i ruszyłam żwawo ścieżką prowadzącą do drzwi frontowych. Nacisnęłam dzwonek i odczekałam. Jego dźwięk dochodził jakby z daleka, przeszywając całun ciszy. Wciąż czekałam. Już miałam zadzwonić po raz wtóry, kiedy drzwi się otworzyły.

Twarz Coopera nie zdradzała żadnych emocji. Popatrzył na mnie, jak gdyby mnie nie znał.

— Przepraszam cię, Garth — wyjąkałam — ale muszę z tobą porozmawiać.

Nie odpowiedział. Był bardzo opanowany, jedną rękę trzymał na zasuwie, drugą, zaciśniętą w pięść, przy boku. Jak to się często zdarza w chwilach wielkiego napięcia, zorientowałam się, że zwracam uwagę na drobiazgi. Garth miał na sobie niedbały sportowy strój, ciemne spodnie, niebieską koszulę i płócienne buty na cichych spodach. Włosy miał w nieładzie; kiedy mu się przyglądałam, przyglądał je znanym mi już gestem, który zauważyłam podczas naszego pierwszego spotkania w Paryżu.

— Nie mogę teraz rozmawiać — rzucił szorstko. — Musisz z tym poczekać.

— Ale...

— Wracaj do Londynu. Tam się z tobą skontaktuję. Stanowczo potrząsnęłam głową.

— Posłuchaj, Claire. Bardzo mi przykro, ale naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. Lada chwila zjawią się tu goście, a nie jestem jeszcze przygotowany na ich przyjęcie. Lepiej wracaj do Londynu.

Ubodło mnie to jego zniecierpliwienie moją obecnością, słabo zresztą skrywane.

— Do Londynu? — spytałam prędko. — I gdzie niby mam na ciebie czekać? W hotelu? Czy u ciebie w domu razem z Giną?

Wbił we mnie wzrok. Nie sposób było odgadnąć, co myśli.

— Gdzie wolisz — rzucił obojętnie i zaczął zamykać mi przed nosem drzwi. — Teraz musisz mi wybaczyć... Przepraszam za ten pośpiech, ale...

— Wcale nie musisz przeproszać — odparłam, oburzona jego zachowaniem. — Bo nigdzie się nie wybieram.

Oczy piekły mnie od doznanego upokorzenia, ale gniew wziął górę nad rozczarowaniem i rozpaczą. Przynajmniej się przekonałam, że od początku udawał zainteresowanie moją osobą, żeby utrudnić mi poszukiwanie Giny, i jakieś przewrotne, idiotyczne poczucie dumy kazało mi dowieść mu, że nie znaczy dla mnie więcej niż ja dla niego.

— Claire...

— Nie — powiedziałam twardo. — Nie! Wysłuchasz mnie, czy masz na to ochotę, czy nie! Dlaczego tyle razy mnie okłamałeś? Dlaczego twierdziłeś, że nie widziałeś Giny od soboty, chociaż przez cały czas wiedziałeś, gdzie ona jest? I dlaczego powiedziałeś, że nie widziałeś Therese od piątkowej kłótni na lotnisku, skoro pokłóciłeś się z nią w jej mieszkaniu w sobotę wieczór? Same kłamstwa...

— Posłuchaj — rzekł blady jak kreda. — Posłuchaj, Claire, Therese nie żyje...

— Wiem! — zawołałam. — Jest zamordowana! I leży pogrzebana tu, w twoim ogrodzie!

Otworzył drzwi nieco szerzej, sądziłam więc, że wpuści mnie do środka na rozmowę, ale on tylko wyszedł do mnie na ganek.

— To nie ja ją zabiłem — wycedził. — Musisz mi uwierzyć. Nie zabiłem jej.

— Dlaczego miałabym ci wierzyć?! — zawołałam napastliwie. — Od początku do końca zasypywałeś" mnie samymi kłamstwami...

— To nieprawda.

— Prawda!

— Na miłość boską! — zawołał, widać dotknięty do żywego. — Przestań wykrzykiwać te swoje oskarżenia, jakbym popełnił śmiertelny grzech! Kłamałem tylko dlatego...

— ...żeby mnie oszukać — dokończyłam za niego. — Sądziłam, że jesteś wobec mnie szczery, a tyś mnie...

— Pomiąłem pewne fakty... podobnie jak ty przy naszym pierwszym spotkaniu. Upłynęło sporo czasu, zanim mi wyjawiałaś, co Gina naprawdę powiedziała ci dzwoniąc do Nowego Jorku! Jeżeli pominięcie pewnych faktów nazywasz kłamstwem, to ty również masz kłamstwo na sumieniu!

— Ja...

— Proszę cię — powiedział — wracaj do Londynu. Jedź do mojego mieszkania. Porozmawiaj z Giną. Naprawdę nie mogę z tobą teraz rozmawiać.

— Tak się martwiłam o Ginę! — Nie chciane łzy paliły mi policzki; usiłowałam nad nimi zapanować, ale na próżno. — Tak się o nią martwiłam... wystarczyłoby jedno twoje słowo... jedno słowo i nie musiałabym się martwić.

— Sprawa była poważniejsza, niż ci się zdawało — uciął szorstko. — Zamordowano kobietę. Chciałem cię tylko trzymać z dala od tego wszystkiego...

— Guzik cię to obchodziło! — Moje ostre słowa jakby zwarzyły powietrze między nami. Pochyliłam głowę i odwróciłam się, żeby ukryć wstydlive łzy. — Nic to dla ciebie nie znaczyło! Nie musisz mnie obrażać dalszym udawaniem...

— Niczego nie udawałem — przerwał mi hardym, gniewnym głosem. Nie chciałem cię obrazić. I znaczyło to dla mnie więcej niż cokolwiek na świecie.

Zatkałam rękami uszy i potrząsnęłam głową, jakbym próbowała otrząsnąć się z jego słów. Ból zamglił mi wzrok. Nie widziałam nawet, jak Garth podchodzi, dopóki nie poczułam, że bierze mnie w ramiona, i nie poczułam chłodu jego oddechu na swoim rozpalonym policzku.

— Claire...

— Puść mnie!

Wyrwałam mu się. Ból był tak dotkliwy, że przestałam trzeźwo myśleć; kierowałam się wyłącznie odruchami. Uciekłam, potykając się na ścieżce, i wybiegłam aż na szosę.

W jednej sekundzie odwróciłabym się, gdyby Garth mnie zawołał, ale on się nie odezwał. Wiedziałam, że z ulgą się mnie pozbył.

Byłam tak rozdygotana, że zapomniałam o samochodzie. Nie dostrzegłam go przez zalane łzami oczy, chociaż go mijałam. Zbiegłam ze wzgórza, widząc jedynie zamazaną, soczystą zieleń buków nad głową i desenie światła rzucane przez słońce, którego promienie przeświecały przez liście i kładły się cieniem na drodze.

Po jakimś czasie przestałam biec. Dyszałam ciężko, dostałam kolki w boku. Stałam, zgięta w pół, by przeczekać ból. Ponieważ łatwiej mi było usiąść, niż wyprostować się i ruszyć dalej, osunęłam się na przydrożny nasyp. Siedziałam tam długo. Nikt nie nadchodził. Nic się nie działo. Co pewien czas odzywał się jakiś ptak, a raz z oddali doleciał mnie nikły warkot samolotu.

W końcu pomyślałam sobie: co za bezsens tak się gryźć z powodu mężczyzny, którego poznałam niecały tydzień temu! Gruba przesada! Zachowałam się jak zakochana nastolatka, która wyobraża sobie, że porwał ją huragan miłości. Podekscytowana podróżą po Europie, a przy tym zdenerwowana także zaginięciem Giny, straciłam na pewien czas poczucie rzeczywistości. Teraz jednak mogłam ponownie zacząć się zachowywać jak rozsądna dorosła osoba. Stać mnie przecież na krytycyzm, spokój, obiektywizm i trzeźwość umysłu. Miłość od pierwszego wejrzenia jest dobra dla osób pokroju Giny... bajkowe romanse są dobre dla tych, którzy bujają w obłokach. Ja natomiast chodzę po ziemi i bajki dawno przestały mnie bawić.

Podniosłam się. Nogi miałam jak z waty, lecz ruszyłam przed siebie. Minęłam furtkę Holmbury House, znalazłam się na otwartej przestrzeni zbocza porośniętego paprociami i wrzosem. Przed sobą widziałam spowite mgiełką łany, kępy drzew i niewyraźny zarys wzgórz w oddali. Świeciło słońce. Okolica urzekła pięknem. Właśnie to piękno uzmysłowiło mi wyraźnie nagą brzydotę mojego żalu.

Łzy ponownie puściły mi się z oczu. Nie zdołałam ich powstrzymać i rozplakałam się. Szperając daremnie po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki, znowu usiadłam przy drodze.

Chyba lepiej przyznać przed sobą, że się zakochałam, i przestać sobie wmawiać, że zachowuję się jak podłotek, pomyślałam. Wreszcie znalazłam chustkę, wydmuchałam nos i przycisnęłam rękę do bolącej głowy. Poczułam się okropnie chora. Być może później uda mi się ocenić

ten epizod jako cenne doświadczenie i wrócić do prozy życia codziennego, ale teraz czułam, że w żaden sposób nie mogę zdobyć się na taki dystans.

Ból utraty był nie do zniesienia.

Pomyślałam o swoim pustelniczym mieszkanku wysoko nad Manhattanem, o samotnych wieczorach, o żmudnych dniach trawionych na uczeniu dziewcząt przedmiotu, którym większość z nich wcale nie była zainteresowana. Moje wygodne, bezpieczne, spokojne życie! Nigdy przedtem nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo jest puste.

Wstałam zgnębiona, czując się tak, jakbym nie miała przyszłości ani przeszłości. Teraźniejszość, ulotna, a zarazem pełna grozy, przypominała koszmar, od którego nie ma ucieczki. Rozglądałam się nerwowo, modląc się w duchu, żeby spotkać kogoś, z kim mogłabym porozmawiać, kto pomógłby mi odzyskać poczucie rzeczywistości i powstrzymał rozpad mojego świata. Kiedy rzuciłam okiem na drogę wijącą się po odsłoniętym zboczach, dojrzałam zielony kabriolet, który piał się mozolnie do góry w moją stronę.

Czekałam.

Samochód się zbliżył. Kiedy dojeżdżał, zobaczyłam, że zwalnia, i już po chwili zatrzymał się przy mnie. Kierowca opuścił boczną szybę. Był to Erie Jantzen.

— Claire! — zawołał ze zdumieniem. — No wiesz, to doprawdy niespodzianka! Co ty robisz w Surrey?

Ponieważ wyleciało mi z głowy, że Garth i Lilian mieli w ten weekend przyjmować w domku francuskich gości, byłam nie mniej zdziwiona jego widokiem niż on moim. Kiedy szukałam gorączkowo w myślach jakiegoś wykrętu, spytał z zatroskaniem:

— Czy coś się stało?

— Nie — odparłam. Nie wiedziałam, co dodać.

— Nadal nie masz wieści o Ginie?

— Nie widziałam się z nią.

Przynajmniej nie skłamałam. Potrząsnął głową ze współczuciem.

— Źle wyglądasz. Musisz być bardzo zmęczona — powiedział. — Pewnie to wszystko dużo cię kosztuje. Może napiłabyś się kawy? Albo herbaty? Jadę do domku Gartha, niedaleko stąd, na pewno się nie pogniewa, jeśli na chwilę wpadniesz. Moja żona i Garth będą gościć przez weekend francuskich klientów, a w takich wypadkach ja też zwykle

spędzam tam sobotę i niedzielę. Jeszcze ich nie ma... rano mieli dopiero odebrać swoich Francuzów z lotniska i przyjadą tu z nimi po obiedzie.

Patrzyłam na niego niewidzącym wzrokiem. Musiałam sprawiać wrażenie osoby pomyłonej.

— Och — odezwałam się w końcu.

Trudno to nazwać odpowiedzią, ale zachęciło go to do ponowienia zaproszenia.

— Zrobię ci kawy! Proszę cię, na pewno jesteś zmęczona! Domek jest tu niedaleko, jakiś kilometr stąd...

Nie mogę znów spotkać Gartha, pomyślałam ze strachem. Drugi raz nie zniosłabym jego widoku. Potem wyłowiłam z chaosu inną myśl: wiedziałam od sekretarki Gartha, że Lilian miała pojechać wczoraj wieczorem do domku, żeby wszystko przygotować. Widocznie Garth przyjechał zamiast niej, a Lilian wybrała się na lotnisko po klientów. Tylko dlaczego Erie o tym nie wie? Dlaczego uważa, że oboje są na lotnisku?

— Bardzo ci jestem wdzięczna — dobiegły mnie własne drżące słowa — ale jakoś nie mam ochoty na kawę. — Nagle zapragnęłam uciec, lecz zaraz przypomniałam sobie, że przyjechałam do domu Gartha samochodem, nie ma więc mowy o ucieczce, muszę po niego wrócić. — może — wyjąkałam — podrzuciłbyś mnie do domku? Chyba... to znaczy na pewno... zostawiłam tam wóz.

Spojrzał na mnie najpierw z osłupieniem, a potem podejrzliwie. Wyczułam, że bardzo chciałby się dowiedzieć, dlaczego byłam w domku i co takiego tam się stało, że jestem teraz wrakiem i mówię od rzeczy.

— Ależ naturalnie — odpowiedział z rezerwą, przyglądając mi się badawczo. — Wskakuj!

Wychylił się i otworzył drzwi od strony pasażera. Kiedy samochód ruszył, Erie odezwał się do mnie, usiłując znów przybrać dobroduszny ton:

— Naprawdę powinnaś mi powiedzieć, co się stało! Przecież widzę, że nie jesteś sobą. Co zaszło w domku?

— Nic — odparłam. — Sądziłam, że może zastanę tam Ginę, ale się myliłam. Wyszłam więc przespacerować się tą drogą, żeby pomyśleć, co robić dalej. Z każdą godziną coraz bardziej się denerwuję.

— No tak — mruknął, nie odrywając oczu od drogi. — Rozumiem. To musi być bardzo przygnębiające.

Samochód sunął z warkotem do góry. Minęliśmy domy, minęliśmy drogowskaz do Peaslake i wjechaliśmy na krętą drogę prowadzącą do domku.

— Masz klucz? — spytałam nagle.

— O, tak — odparł. — Każde z nas ma klucz. Czasem, kiedy Garth bawi za granicą, użycza nam tego domku na soboty i niedziele. Teraz jest pewnie na lotnisku.

Już miałam otworzyć usta, żeby mu powiedzieć, iż Garth wcale nie jest na lotnisku, kiedy Erie pokonał ostatni zakręt i domek ukazał się naszym oczom.

Zatkało mnie. Słowa zamarły mi na ustach.

— Co się stało? — spytał szybko Erie. — Co ci jest?

— Bo... bo sądziłam, że złapałam gumę — powiedziałam słabym głosem. — Ale widocznie tak mi się tylko wydawało. Wszystko w porządku.

Było to oczywiście kłamstwo. Bynajmniej nie doznałam wstrząsu z powodu swojego samochodu, który stał jak przedtem pod drzewami, lecz dlatego, że znikł kremowy jaguar.

Garth się ulotnił.

— Na pewno nie skusisz się na kawę? — ponowił swoją propozycję Erie, parkując w miejscu, na którym wcześniej stał jaguar Gartha. — To naprawdę żaden kłopot.

Byłam zbyt zdumiona, żeby się dalej opierać. Kawa świetnie mi robi, pomyślałam, a skoro Garth zniknął, nie mam powodu wzbraniać się przed wejściem do domku.

— E, chyba zmienię zdanie — powiedziałam niezręcznie. — Bardzo ci jestem wdzięczna.

Zaczęłam się zastanawiać, dokąd Garth mógł się udać. Gdyby wrócił do wsi Holmbury, musiałby nas minąć po drodze. Uznałam, że z takiego czy innego powodu pojechał na szczyt wzgórza i dalej, do Peaslake — może dokupić coś do jedzenia w tamtejszych sklepach. Gdy podchodziliśmy do frontowych drzwi i Erie wyjął klucz, naszły mnie obawy, co będzie, jeżeli Garth wróci z Peaslake, zanim wypiję kawę i opuszczę domek.

— Proszę — rzekł Erie, kiedy otworzył drzwi i usunął się na bok, żeby mnie przepuścić.

Nie było tu żadnego korytarza. Drzwi wejściowe otwierały się na długi jasny salon z oknami na całą ścianę, z których roztaczał się widok na całą

dolinę. Z prawej były schody, z lewej dwie pary drzwi. Domyśliłam się, że jedno prowadzi do kuchni, drugie do jadalni.

— Ładnie tu, prawda? — zagadnął Erie stojący za moimi plecami. Powiedział to z satysfakcją właściciela, a nie zwykłego gościa. — Można tu doskonale odpocząć od Londynu.

Pokój był umeblowany antykami. Dostrzegłam kanapę i fotele w stylu regencji, pod ścianą długą rzeźbioną dębową komodę, a pod schodami staroświecki zegar.

— Ładnie — odparłam z roztargnieniem. — Szkoda, że to współczesny domek, a nie stary dom, który pasowałby do tych antyków.

— Mówisz tak, bo jesteś Amerykanką — odparł. — My, Europejczycy, wcale nie przepadamy za wiekowymi domami, w których jest wilgoć, korniki w dachu i lodowate przeciągi od nieszczelnych okien w zimie. — Machnął niedbale ręką w stronę kanapy. — Siadaj... rozgość się. Zaparzę kawy.

Usiadłam, lecz kiedy zniknął w kuchni, zaraz wstałam i podeszłam do drzwi sąsiadujących z kuchnią. Tak jak się domyślałam, prowadziły do jadalni. Stała tam szafka pełna ślicznej angielskiej porcelany, a naprzeciwko narożna serwantka zastawiona najpiękniejszym szkłem, jakie widziałam w życiu. Nie mogłam się oprzeć pokusie, otworzyłam drzwiczki i wyjęłam jeden kieliszek. Nóżkę miał tak smukłą, że sądziłam, iż zaraz złamie mi się w rękach, a jego brzeg był cienki jak papier. Wokół niego biegł delikatny napis. Odstawiłam prędko kieliszek, żeby to kruche piękno nie rozprysło mi się w palcach, zamknęłam serwantkę i wróciłam do salonu.

— Erie, czy na parterze jest łazienka?

— Nie! — odkrzyknął. — Jest na górze. Drugie drzwi po lewej.

Weszłam powoli po schodach. Myślami znów krążyłam wokół Gartha, zastanawiałam się, co porabia i kiedy wróci. Natychmiast zaczęłam się spieszyć. Nie wolno mi tu zabawić dłużej niż dziesięć minut. A potem wynoszę się stąd, wyjeżdżam. Nigdy więcej nie zobaczę tego domku...

Kiedy znalazłam się na podeście, zorientowałam się, że nie pamiętam wskazówek Erica. Wszystkie drzwi były zamknięte. Przez chwilę patrzyłam na nie bezmyślnie. Drugie drzwi po prawej? Nie, powiedział, że po lewej. Drugie drzwi? Trzecie drzwi po lewej? Pokręciłam się po małym korytarzyku, otworzyłam jakieś drzwi i weszłam wprost do garderoby z kłębowiskiem starych ubrań. Zdławiłam w sobie okrzyk zniecierpliwienia

i już miałam się odwrócić, gdy uświadomiłam sobie, że kłębówisko starych ciuchów na podłodze jakoś dziwnie wygląda.

Spojrzałam jeszcze raz.

Ciarki przeszły mi po głowie, oddech zamarł w piersiach. Dłuższą chwilę stałam jak wryta, wpatrując się ze zgrozą w ten straszliwy stos na podłodze, po czym nagle, właściwie nie wiedząc, dlaczego to robię, uklęknęłam, ściągnęłam z wierzchu stare palto i zobaczyłam tuż przed sobą twarz kobiety wykrzywioną grymasem gwałtownie zadanej śmierci. Z początku jej nie poznałam, lecz po chwili...

Była to Lilian Jantzen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stałam tam chyba dłuższą chwilę, porażona strachem, po czym powoli, bezwiednie zamknęłam drzwi i oparłam się o nie. Chciałam się ruszyć, ale tak jak w najgorszym koszmarze, szok sparaliżował mnie kompletnie. Ocknąwszy się z zamroczenia, które nie trwało pewno dłużej niż pół minuty, choć wydawało mi się, że trwa pół godziny, przesłam na drugą stronę korytarzyka i wślizgnęłam się do pokoju naprzeciwko. Znalazłam się w sypialni, na wprost okna na całą ścianę, bardzo podobnego do okna w salonie dokładnie pode mną. Na dworze lał deszcz. Strugi wody siekły w olbrzymią szybę i spływały po szkle na parapet.

Wokół panowała cisza.

Ktokolwiek zamordował Lilian, pomyślałam sobie, zamordował również Therese, a kto mógł je zabić jak nie Garth lub Erie? Warren mógł wprawdzie zabić Thérèse, ale nie mógł zabić Lilian. Przypuszczalnie Lilian zginęła poprzedniego wieczoru, jeśli rzeczywiście przyjechała wtedy do domku, żeby przygotować weekend, albo dziś rano, a Warren był przecież ze mną od wczoraj wieczór... chyba że wymknął się wczoraj w nocy, kiedy położyłam się spać? Ale nie, bo dopiero później wynajął samochód, a nie mógł tu dotrzeć w inny sposób. Zatem albo Garth, albo Erie zabił Lilian. I albo Garth, albo Erie zabił Therese.

Tak mnie zmroziła potworność tego odkrycia, że przez chwilę nie mogłam dalej myśleć. Wciąż powtarzałam sobie w duchu, że albo Garth, albo Erie zabił Lilian i że albo Garth, albo Erie zabił Therese, nie formułowałam natomiast prostego pytania, jakie się tu nasuwało: ale który z nich? Nagle coś sobie przypomniałam. Skoro Gina zatrzymała się u Gartha, zapewniła mu alibi na poprzedni wieczór. Rano też nie mógł zabić Lilian, bo podczas mojej pierwszej wizyty domek stał pusty, a ciało było zbyt sztywne, żeby mógł ją zabić, skoro zjawił się tu niecałe dwie godziny temu...

Musiałam porozmawiać z Giną. Jeżeli potwierdzi, że Garth spędził z nią poprzedni wieczór, zyskam pewność, że jest niewinny.

Aparat stał przy łóżku. Przetrzęsłam nerwowo torebkę w poszukiwaniu numeru telefonu, drżącymi rękami podniosłam słuchawkę i wykręciłam zero, żeby połączyć się z centralą.

Telefon zabrzączał trzy razy, po czym usłyszałam w uchu miły dziewczęcy głos:

— Tu centrala.

— Uprzejmie proszę — rzuciłam ściszym głosem

— o połączenie z numerem w Londynie: Mayfair 7543.

— Mayfair 7543? Chwileczkę.

Coś trzasnęło, zapadła cisza. Czekałam i czekałam.

— Łączę — usłyszałam ponownie głos dziewczyny. Nadal czekałam. Serce waliło mi boleśnie. Dłonie miałam tak mokre, że słuchawka omal nie wyslizgnęła mi się z ręki.

— Wciąż próbuję — odezwał się głos.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie szyfr telefoniczny ustalony przez Ginę i Gartha.

— Bardzo mi przykro — powiedziała uprzejmie telefonistka. — Ale nikt się nie zgłasza.

— Chwileczkę — powiedziałam niepewnym głosem.

— Proszę zadzwonić dwa razy, odłożyć słuchawkę, po czym zadzwonić jeszcze raz. Bardzo panią proszę.

Zapewne w Wielkiej Brytanii ludzie są bardziej przyzwyczajeni do ekscentryczności niż w Ameryce. Już sobie wyobrażałam kąśliwą uwagę z ust nowojorskiej telefonistki w odpowiedzi na tak dziwną prośbę.

— Proszę chwilę poczekać — odparła spokojnie panienska z centrali. Usłyszałam, że znów wykręca numer.

Niewykluczone, że moja prośba stanowiła dla niej interesującą odmianę w nudnej skądinąd pracy. Usłyszałam, jak po drugiej stronie telefonu dzwoni dwa razy, potem nastąpiła cisza. Wreszcie zadzwonił jeszcze raz, ale Gina nie doczekała nawet końca sygnału. Rozległ się odgłos podrywanej słuchawki.

— Halo?

— Proszę mówić...

— Gino, to ja. Posłuchaj. Nie mogę teraz rozmawiać. Powiedz mi tylko jedno: gdzie Garth był wczoraj wieczór?

— Garth? — spytała zaskoczona. — Wczoraj wieczór? Tutaj! Kupił coś do jedzenia, przygotowałam mu kolację. Był zmęczony, wcześniej się położył. A dlaczego pytasz?

— Rozłącz się — rzuciłam bez tchu. — Zadzwon na policję. Zamordowano Lilian Jantzen, jej ciało jest ukryte w domku Gartha. Natychmiast zawiadom policję.

Aż krzyknęła z wrażenia.

— Zaraz dzwonię — powiedziała i rozłączyła się. Jeszcze przez sekundę wsłuchiwałam się w szum na linii, tak zahipnotyzowana swoim odkryciem, że zapomniałam odłożyć słuchawkę na widełki. Garth był niewinny. A na dole, sam na sam ze mną w pustym domu...

Ze słuchawki, mimo przerwane połączenia, dobiegł mnie powolny, ukradkowy trzask. Zamarłam.

Erie Jantzen podsłuchiwał na dole przez telefon w salonie.

Słuchawka wypadła mi z rąk i potoczyła się po stole. Zabrakło mi tchu, odebrało mowę i władzę w kończynach. Gdy tak stałam, sparaliżowana strachem, usłyszałam odgłos jego cichych, miarowych kroków pnących się ku mnie po schodach.

Kiedy zdołałam się wreszcie poruszyć, przemierzyłam bezszelestnie pokój po miękkim dywanie i otworzyłam drzwi. Stał u szczytu schodów. Gdy wyszłam na korytarz, zatrzymał się. Zmierzyliśmy się wzrokiem.

Jeżeli uda mi się wymknąć do łazienki, pomyślałam, będę się mogła zamknąć...

On jednak postąpił krok naprzód, cofnęłam się więc do sypialni.

— Chyba się trochę pospieszyłaś — rzekł, wciąż siląc się na jowialny ton. Zmrużył małe oczka nad pulchnymi policzkami, twarz miał bez wyrazu. Poruszał się jak automat.

Wycofałam się pod szerokie okno, dalej nie miałam już dokąd się usunąć. Stała.

— Policja aresztuje Gartha — powiedział. — Wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu.

— Chyba tak — odparłam, grając na zwłokę. Garth powinien niebawem wrócić z Peaslake. Miałam tę przewagę, że wiedziałam, iż jest w pobliżu, tymczasem Erie sądził, że wciąż jest w Londynie. Jeżeli zdołam go sprowokować do rozmowy, dopóki nie nadjedzie Garth...

— Ale ty nie wierzysz, że Garth zabił Lilian, prawda? Dlatego zadzwoniłaś do swojej siostry. Zapewniła mu alibi.

— Ma alibi tylko na wczorajszy wieczór — powiedziałam, nadal grając na zwłokę. — Mógł ją przecież zabić dziś rano.

— Policja stwierdzi, że Lilian nie zginęła dziś rano — odparł. — Zabiłem ją wczoraj wieczorem, tu, w domku.

Zapadło milczenie. Po chwili zdobyłam się na odpowiedź:

— Nie rozumiem.

— Miałem prawo ją zabić — odparł, jak gdyby to wszystko tłumaczyło.
— Zasługiwała na to. Sama była morderczynią.

Patrzyłam na niego w osłupieniu. Wyciągnął chustkę, otarł sobie twarz i po raz pierwszy zobaczyłam, że jest do głębi poruszony.

— Zabiła Therese — dodał. — Moja żona zabiła inną kobietę. Moja żona. Lilian. Była oszustką, malwersantką i morderczynią.

Zaczął płakać. Kiedy przyglądałam mu się ze zgrozą pomieszaną z litością, zmiął chustkę w rękach. Gdy ponownie mógł wydobyć coś z siebie, powiedział:

— Wprawdzie Lilian twierdziła, że Therese zginęła przez przypadek, ale ja w to nie wierzę. Moim zdaniem chciała ją zabić. Therese знаła różne ważne... kompromitujące fakty...

— Kompromitujące Lilian?

— Tak. W zeszłym roku Lilian oszukała Gartha na jakieś dziesięć tysięcy funtów, mówiąc, że firma jest winna urzędowi skarbowemu znacznie więcej, niż była w istocie. To ona prowadziła księgi, wypełniała formularze podatkowe. Dwa lata temu wpakowała się w długi, kiedy usiłowała rozkręcić interes i podejmowała zobowiązania, którym nie mogła potem sprostać. Straciła przy tym sporo pieniędzy, ten rok przyniósł niskie zyski, a ona liczyła na większe i wydała swoje dywidendy... Wciąż potrzebowała pieniędzy, coraz więcej i więcej. No więc zaczęła oszukiwać. Przywłaszczyła sobie pieniądze, którymi powinna była podzielić się z Garthem. Mogła przecież zaciągnąć pożyczkę... zdobyć jakiś kredyt... ale nie, musiała posunąć się do oszustwa. „Gdybym pożyczyła, straciłabym mnóstwo pieniędzy na odsetki — oznajmiła. — Pieniądzy, którymi mogłam obracać”. W interesach była bezwzględna. Nie słuchała głosu rozsądku. „Garth nigdy się nie dowie — tłumaczyła. — Sprawy ksiąg pozostawia mnie. Nigdy tego nie wykryje”.

Przywłaszczyła sobie te pieniądze, oszukała go i w ten sposób naraziła się na szantaż. Dopiero po chwili zareagowałam:

— Ale skąd Therese dowiedziała się, że Lilian oszukała Gartha?

— Ode mnie — odrzekł po prostu. Zapadło milczenie.

— Wyglądało to tak... — podjął po chwili. — Terese była moim sprzymierzeńcem, moją bratnią duszą. Podobnie jak ja dążyła do zerwania zażyłości łączącej Gartha z Lilian, a była przekonana o jej istnieniu. Trzy miesiące temu pojechała w ślad za nimi na konferencję do Paryża... oboje zatrzymali się w garsonierze Gartha... nie musimy wnikać w szczegóły.

Potem spotkała się ze mną, bo oczekiwała, że zrobię Lilian scenę. Nie wiedziała, że Lilian wcale by to nie obeszło. I tak chciała ode mnie odejść. Od pewnego czasu nie byłem jej już do niczego potrzebny.

Łzy znów zaczęły ciec mu po twarzy, a wraz z nim płakało niebo, miotając kroplami deszczu o szyby.

— Ale ja ją kochałem — oświadczył. — Byłem gotów zrobić wszystko, żeby nie dopuścić do jej odejścia. Kiedy Thérèse spytała mnie, dlaczego nie próbuję wyjaśnić z Lilian tego epizodu z Garthem w Paryżu, wyznałem jej prawdę... że Lilian skorzystałaby z pierwszej lepszej sposobności, żeby się mnie pozbyć, toteż urządzenie jej sceny miałoby się z celem. Powiedziałem wtedy Thérèse, że Lilian tylko dlatego nadal mieszka ze mną pod jednym dachem, iż wiem o jej oszustwach wobec Gartha, a zagroziłem, że wszystko mu wyjawię, jeżeli mnie rzuci.

— I co na to Therese?

— Z początku nic. O, na pewno zrobiła awanturę Garthowi, ale Lilian zostawiła w spokoju. Do niej dobrała się później. — Na chwilę przerwał. — W zeszłą sobotę — dodał z ciężkim westchnieniem. — Blisko tydzień temu. Wpadła do nas jak burza pod moją nieobecność, kiedy Lilian była sama, i zagroziła, że narobi jej kłopotów, jeżeli nie odczepi się od Gartha. Jak sama oznajmiła, wcześniej zrobiła awanturę Garthowi. Powiedziała też Lilian, że Garth udaje zainteresowanie młodą Amerykanką, z którą przyleciał poprzedniego wieczoru z Paryża, lecz jej nie nabierze. Zainteresowanie Gartha Giną miało być według niej zasłoną dymną dla jego związku z Lilian. Mnie zresztą powiedziała to samo poprzedniego wieczoru... Po scenie z Garthem i Giną na lotnisku w Londynie zadzwoniła do mnie z prośbą o spotkanie, a kiedy się zobaczyliśmy, przekazała mi swoje domysły. Zgodziłem się z nią. Gina nie była w typie Gartha. Podzielałem zdanie Therese, że Garth używa Giny jedynie w charakterze zasłony dymnej.

Therese spotkała się ze mną w piątek wieczór. W sobotę późnym popołudniem wygarnęła wszystko Garthowi w swoim mieszkaniu, a potem, wciąż nie usatysfakcjonowana, przybiegła do nas i powiedziała Lilian, że jeżeli nie zrezygnuje z Gartha, to poinformuje zarówno Gartha, jak i wydział do spraw malwersacji, iż jest oszustką. Gorzej nie mogła trafić. Lilian żyła swoim przedsiębiorstwem... było jej mężem, dzieckiem, kochankiem, dosłownie wszystkim. Ona je stworzyła, rozbudowała, wykarmiła własną piersią. Na punkcie firmy miała bzika graniczącego z

fanatyzmem. Zrobiłaby wszystko, żeby ją ochronić. A tu wkracza Therese i grozi jej wydziałem do spraw malwersacji, krokami prawnymi, nieodwracalnym zszarganiem reputacji firmy...

Nie wiem, co się stało potem. Lilian twierdziła, że doszło do rękoczynów, Therese rzekomo poślizgnęła się i uderzyła w głowę, ponosząc śmierć na miejscu. Ja jednak uważam, że to nie był przypadek. Uważam, że Lilian zabiła ją umyślnie... Tak czy owak mieliśmy w mieszkaniu ciało Therese... czy to zabitej przypadkiem, czy umyślnie.

Kiedy przyszedłem pół godziny później, Lilian zdążyła zaciągnąć ciało do pokoju gościnnego i zamknąć drzwi na klucz. Nigdy przedtem nie widziałem jej tak roztrzęsionej.

Powiedziała mi, co się stało, i poprosiła mnie o pomoc. Postanowiłem wykorzystać sytuację. Odparłem, że pomogę jej pozbyć się ciała, jeżeli zgodzi się rozpocząć ze mną nowe życie, przestanie spotykać się z Garthem poza biurem i pozwoli mi towarzyszyć sobie we wszystkich służbowych wyjazdach, w których on również będzie uczestniczył.

Obiecała. Dała mi słowo. Przynurkowała, że zrobi wszystko, o co proszę. Postanowiłem więc pójść do takiego małego sklepiku z używanymi kuframi i walizami w Pimlico nad Tamizą. Lilian oświadczyła, że musi zapewnić sobie alibi... wydzwoniła przyjaciółkę, zaproponowała wspólne pójście do kina. Kiedy wychodziłem, rozmawiały jeszcze przez telefon... Na śmierć zapomniałem, że kilka godzin wcześniej, przy obiedzie, zaprosiłem Ginę do nas na wieczór na drinka. Zupełnie mi to wyleciało z głowy.

Nigdzie jednak nie znalazłem kufra... o tej porze wszystkie sklepy były już zamknięte, nawet ten w Pimlico. Pomyślałem, że będę musiał wziąć jedną z waliz Lilian. Wróciłem do domu i nie wiedząc, że Lilian wyszła już do kina, zawołałem, że nie znalazłem kufra na ciało i że będziemy musieli poświęcić jedną z naszych waliz. Kiedy nikt nie odpowiadał, zorientowałem się, że jej nie ma. Natychmiast zabrałem się do roboty, znalazłem walizę, udało mi się zatrzaskać wieko z ciałem w środku. Kiedy wszystko było gotowe, zniosłem walizę do samochodu i pojechałem do Holmbury St Mary. Sądziłem, że jeżeli zakopię ciało w ogródku domu, nikt go tam nie znajdzie, a jeżeli nawet ktoś odkryje grób, to podejrzenia padną na Gartha, nie na nas. Garth nigdy nie dbał o ogród, chociaż czasami napomykał o tym, że chciałby zatrudnić ogrodnika... uznałem

więc, że najprawdopodobniej nie zapuści się na dół, dopóki chwasty nie zarosną mogiły.

Kiedy skończyłem pracę w domku, wróciłem do Londynu. Lilian zdążyła już przyjść z kina i czekała na mnie. Zapytała: „Jak się pozbyłeś Giny po powrocie z Pimlico?”

Nie miałem pojęcia, o czym ona mówi. Nagle przypomniałem sobie o zaproszeniu Giny na drinka. „Wpuściłam ją do środka — oświadczyła Lilian. — Nie zaczekała, aż wrócisz?” I wtedy zrozumiałem, że Gina mogła być w mieszkaniu, kiedy krzyczałem do Lilian, że nie znalazłem kufra na ciało... mogła siedzieć w jakiejś kryjówce, gdy wkładałem zwłoki do walizy. Omówiłem to z Lilian. Dopuszczaliśmy możliwość, że Ginie nie chciało się na mnie czekać i że wyszła przed moim powrotem, ale musieliśmy się upewnić. Usiłowaliśmy ją odnaleźć, lecz bezskutecznie. Znikła. Ulotniła się. Ślad po niej zaginął.

— Garth ją ukrywał — odparłam drżącym głosem. — Dopiero dzisiaj się dowiedziałam.

— Garth to sprytny aktor. Zdołał przekonać nas oboje, że nie widział jej na oczy od tamtego wspólnego obiadu w zeszłą sobotę. Przynajmniej mnie przekonał. Lilian...

Urwał, zapatrzył się tępo przed siebie, błędząc myślami gdzie indziej.

Prawie nie śmiałam oddychać, żeby nie zakłócać jego myśli i nie przypominać mu o swojej obecności w tym pokoju. Chciałam go zapytać, dlaczego zabił Lilian, ale postanowiłam nie przerywać tej ciszy. Deszcz za oknem siekł zbocze wzgórza od strony doliny.

— Później zjawiała się policja — odezwał się po chwili Erie. — Wtedy dowiedzieliśmy się o historycznym telefonie Giny do ciebie. Nic u nas nie znaleziono, ale zrozumieliśmy, że musimy odszukać Ginę. Stanowiła dla nas zagrożenie. Zastanawialiśmy się, czy zawiadomi policję, ale Lilian uznała, że nie. Policja mogłaby przypuszczać, że Gina pokłóciła się z Therese o Gartha, a gdyby wszczęto śledztwo w sprawie zabójstwa Therese, Gina stałaby się główną podejrzaną.

Czekałam, całe ciało bolało mnie od napięcia. Erie podniósł z wolna wzrok i spojrzał na mnie. Chwyając się pierwszego lepszego tematu, rzuciłam pospiesznie:

— Nie rozumiem, dlaczego Lilian zginęła.

— Bo złamała słowo — odparł. — Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem... bo przecież pozbyłem się ciała, zdołałem zatuszować jej

zbrodnię... po tym wszystkim nie dotrzymała przyrzeczenia. Zapewniała mnie, że zrezygnuje z Gartha i że zaczniemy wszystko od nowa, ale to były tylko czcze obietnice. Ten tak zwany „weekend służbowy” tu w domku był fikcją. W piątek rano nie mieli przylecieć do Londynu żadni klienci. Coś mnie tknęło, że Lilian kłamie, zadzwoniłem więc do firmy Remy International we Francji, żeby sprawdzić, czy wysyłają na sobotę i niedzielę dwóch przedstawicieli do Anglii. Powiedziano mi, że nie. Dowiedziałem się o tym wczoraj wieczorem i natychmiast ruszyłem tutaj. Lilian przyjechała tu wcześniej, żeby rzekomo przygotować dom na przyjęcie gości. Na mój widok udała zdziwienie... i wszystkiego się wyparła. Twierdziła, że postradałem zmysły... — urwał. Po chwili powtórzył, jak gdyby zaskoczony tym określeniem w swoich ustach: — Postradałem zmysły. Twierdziła, że postradałem zmysły... Powiedziałem, że wiem doskonale, iż planowała po prostu weekend z Garthem, ale nie chciała się przyznać. Wciąż tylko kłamała... więc musiałem te kłamstwa uciąć... Kiedy to zrobiłem, zapadła głucha cisza. Ta cisza była nie do zniesienia. Tak mnie wytrąciła z równowagi, że wróciłem jak najszybciej do Londynu...przedtem wepchnąłem tylko ciało do szafy, a potem odjechałem. Wszędzie było tak ciemno, spokojnie i cicho...

Dziś rano wziąłem się w garść. Wiedziałem, że muszę przyjechać do domku, żeby pogrzebać ciało. Musiałem zachowywać się normalnie, udawać, że nic się nie stało. Dlatego zatrzymałem się przy tobie, zaprosiłem cię na kawę... tak bardzo chciałem zachować pozory normalności. Ale po co ty tu przyjechałaś? I dlaczego byłaś taka roztrzęsiona? Wyczułem, że możesz mnie podejrzewać. Kiedy skorzystałaś z pretekstu, żeby wymknąć się na górę, pomyślałem: a jeżeli ona chce przeszukać dom? Tak długo cię nie było... Wtedy brzęknął telefon, jak zawsze, kiedy ktoś podnosi słuchawkę drugiego aparatu w sypialni, no i zgadłem, co się stało.

— Chciałam zapytać siostrę, gdzie Garth spędził wczorajszy wieczór.

— Skąd mogła to wiedzieć? A tak nawiasem, gdzie Garth ją ukrywał?

— U siebie w mieszkaniu — odparłam. Wytrzeszczył na mnie oczy.

— Cały ten tydzień spędziła w jego mieszkaniu?

W lot pojęłam, czym mogę wytrącić go z równowagi.

— A jak sądzisz, dlaczego Gina przyjechała z nim z Paryża? — spytałam. — Bo była w nim zakochana. Myliłeś się w swoich

przypuszczeniach co do swojej żony. To Gina, a nie Lilian była zakochana.

Wciąż wytrzeszczał na mnie oczy.

— A ten fikcyjny służbowy weekend?

— Przypuszczalnie w Remy International udzielono ci błędnej informacji. Dzisiaj rozmawiałam z sekretarką Gartha, która potwierdziła to spotkanie.

Po długim milczeniu wyszeptał:

— Nie wierzę.

— Lilian też nie wierzyłeś — powiedziałam. — Toteż nie ma powodu, żebyś uwierzył mnie. Ale podejrzewam, że Lilian mówiła prawdę. Poza tym nie sędzę, żeby Garth był zainteresowany ukradkowym romansiem z twoją żoną podczas tego weekendu. Miał inną pieczeń do upieczenia.

— Nie wierzę — powtórzył. — Nie wierzę.

Był blady jak płótno. Zaczął się trząść i odwrócił się, porażony tym, co mu sugerowałam... że zabił swoją żonę z powodu niewierności, która istniała tylko w jego wyobraźni.

Zerwałam się. Skoczyłam przez pokój, chcąc przemknąć obok niego na korytarz, ale złapał mnie za nadgarstek i wciągnął z powrotem do pokoju. Szarpałam się konwulsyjnie, lecz Erie był znacznie silniejszy ode mnie. Wzywałam rozpaczliwie pomocy, nikt jednak się nie zjawił.

Byłam bez szans, wpadłam w popłoch. Próbowałam jeszcze krzyknąć w ostatnim, desperackim przypływie siły, ale palce Erica zacisnęły się na mojej szyi i krzyk zamarł mi na ustach. Cały pokój zakołysał się, zawirował przed moimi oczami, a kiedy krew zaszumiała mi w uszach, pojęłam mgliście, że wszystko stracone i że nic więcej nie mogę zrobić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Raptem uścisk zelżał. Usłyszałam dudnienie w uszach, lecz i ono stopniowo ustało. Zorientowałam się, że znów widzę. Leżałam na podłodze, czułam pod palcami szczecinę dywanu, a kiedy wstałam chwiejnie na nogi, zobaczyłam, że Erie stoi o krok ode mnie ze wzrokiem wbitym w drzwi.

Powoli odwróciłam głowę, krzywiąc się z bólu. Byłam w szoku, zupełnie otepiała. Na wprost siebie zobaczyłam ohydny czarny pistolet automatyczny. Dzierżyła go silna, stanowcza ręka, mocno i pewnie.

— Claire, nic ci nie jest? — To był głos Gartha.

Ból nie pozwalał mi skinąć głową, nie mogłam też dobrać głosu. Udało mi się wstać, lecz zaraz usiadłam na brzegu łóżka.

— Zrobił ci krzywdę?

— Oczywiście, że zrobił! — Szok sprawił, że wpadłam w bezsensowny gniew. — Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? Dlaczego wyjechałeś? Omal mnie nie zabił!

— A czyj to był pomysł, żebyś tu wracała? — spytał łagodnie. — Nie mój! Boże miłosierny, omal cię nie zamordował! — Odwrócił się znów do Erica. — Schodzimy na dół. Idź przodem. Załóż ręce na głowę. Nie chcę mieć po drodze żadnych wypadków.

Erie wyszedł posłusznie na korytarz.

— Chodź, Claire.

— Tylko mi tu nie rozkazuj! — wybuchnęłam. Po chwili wymamrotałam: — Przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje...

— Rozumiem. — Poczekał na mnie przy drzwiach, nie spuszczać Erica z oka, a kiedy do niego podeszłam, ujął moją rękę i przez chwilę przytrzymał w swojej. — Dobra, Erie. Ruszaj.

Wtedy zobaczyłam, że drzwi do przyległego pokoju są otwarte, a tuż za progiem szumi cicho aparat, który wyglądał jak przenośny magnetofon.

— Claire, bądź tak dobra i wyłącz. Wyciągnij tylko sznur z kontaktu, ale nie dotykaj aparatu.

Odruchowo spełniłam jego polecenie. Nie próbowałam nawet rekonstruować w myślach przebiegu zdarzeń, zdałam sobie jednak niejasno sprawę z tego, że Garth musiał zarejestrować większość, a może nawet całość mojej rozmowy z Erikiem w sypialni. Zeszliśmy na dół.

— Stój tam, Erie, i nie ruszaj się. Możesz opuścić rękę. Claire, radzę ci, żebyś łyknęła sobie koniaku. Butelka stoi tam, pod kredensem, kieliszek znajdziesz w jadalni.

Podszedł do telefonu, nie wypuszczając broni z prawej ręki, podniósł słuchawkę lewą. Następnie odłożył słuchawkę na stół i zaczął kręcić, wciąż tylko lewą ręką.

Wybrał numer dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

— Proszę z policją. — Zobaczył, że wciąż stoję bez ruchu w drzwiach jadalni. — Proszę cię, Claire, nalej sobie koniaku i usiądź! Wyglądasz... Halo? Policja? Moje nazwisko Cooper, dzwonię z Coneyhurst Cottage na Holmbury Hill... ostatni dom na wzgórzu przed Peaslake przy drodze z Holmbury. Czy ktoś mógłby tu zaraz przyjechać? Zamordowano kobietę.

Wyszłam otumaniona do jadalni i rozejrzałam się za kieliszkiem, którego nie bałabym się stłuc, ale stały tam same kruche okazy kolekcjonerskie widziane wcześniej. Ręce tak mi się trzęsły, że byłam pewna, iż upuszczę każdy kieliszek, którego dotknę, w końcu więc zrozpaczona poszłam do kuchni i wzięłam z szafki filiżankę.

Garth właśnie odłożył słuchawkę, kiedy wróciłam z filiżanką w ręce do salonu.

— Na miłość boską, nie będziesz chyba piła courvoisiera z filiżanki!

— Naczynie jak każde inne — odcięłam się szorstko. — Dlaczego miałabym nie pić, jeśli mam ochotę?

Musieliśmy być w niezłym szoku, skoro kłóciliśmy się o takie głupstwa.

Erie powiedział, że chciałby usiąść.

— Dobrze. Weź tamten fotel.

— I też chętnie bym się napił — dodał.

Garth skinął na mnie, żebym mu naląła, po czym rzucił surowo:

— Jak możesz być taki spokojny? Gdyby nie było mnie w domu, zabiłbyś i Claire.

— Nie... nie, ja tylko... nagle zrozumiałem... pojąłem...

— Ze ani teraz, ani przedtem nie interesował mnie romans z twoją zimną, szczwaną zakłamaną żoną? Że zabiłeś ją za nic?

— Przeżyłem taki wstrząs — wyjąkał Erie. — Coś we mnie wstąpiło... Chciałem ją zabić za to, że mi powiedziała, że ujawniła mi prawdę...

— Gdybyś miał krztynę oleju w głowie, nie słuchałbyś Therese. Zachowałbyś żonę przy życiu, i Bóg z tobą! Nie domyślałeś się, że wprost nie mogę się doczekać, żeby zebrać wystarczający kapitał, który pozwoli

mi czmychnąć z tej spółki? Naprawdę miałeś mnie za mężczyznę, który chętnie pracuje pod dyktando kobiety i przez cały czas znosi jej kaprysy? Lilian nigdy nie wypuściła władzy z rąk, chociaż jak wiesz, oficjalnie byliśmy współnikami. To ona wybrała mnie z szarej masy sprzedawców londyńskich i namówiła do pracy ze sobą... i klnę się na Boga, nigdy nie pozwoliła mi o tym zapomnieć! Byłem jej wdzięczny, zadowolony ze stworzonych przez nią perspektyw, ale znudziło mi się, do cholery, dzień w dzień, rok w rok grać drugie skrzypce...

— To dlaczego nie odszedłeś?

— Niewiele brakowało! Wprawdzie były między nami kłótnie i różnice zdań, ale wiedziałem, że nigdzie indziej nie dorobię się w tak krótkim czasie takich pieniędzy, a nade wszystko chciałem zgromadzić kapitał, który pozwoliłby mi się usamodzielnąć. Bo w odróżnieniu od ciebie nie chciałem, żeby żona mnie utrzymywała... kiedy ja bym się oddawał nierentownym zajęciom. Kiedy się ożenię, będziemy żyli z moich pieniędzy, nie z pieniędzy żony.

— Lilian rozumiała...

— Niczego nie rozumiała poza własnym interesem! Dla niej liczyła się tylko ta firma! Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Nawet jeżeli miałeś pecha się w niej zakochać, nie zakładaj, że ona też wiedziała, co znaczy miłość. Może dawno temu, przed laty, kiedy ją poznałeś, ale ja ani razu nie dostrzegłem u niej nawet przebłysku zrozumienia. Miłość jej nie interesowała! Lilian nie dbała o nikogo... ani o ciebie, ani o nikogo innego. Miała klapki na oczach, była zimna i wyrachowana. Gdyby nie poniosły cię nerwy i nie próbowałbyś przed chwilą udusić Claire, wybaczyłbym ci zamordowanie Lilian i nie mierzyłbym teraz do ciebie z pistoletu.

— Wcale nie chciałem skrzywdzić Claire... coś mnie zamroczyło... otumanilo...

— Owszem, chciałeś! Z rozmysłem zacisnąłeś ręce na jej szyi i z takim samym rozmysłem usiłowałeś ją udusić.

— Nie wiedziałem, co robię...

— Mów tak policji, a nie mnie. Bo mnie też coś może „zamroczyć” albo „oszołomić” i poczuję nieprzepartą chętkę, żeby pociągnąć za spust.

Zapadło ciężkie milczenie. W końcu Garth odezwał się do mnie:

— Jak się teraz czujesz?

— Lepiej. — Trzymałam filiżankę bardzo mocno, ale i tak drżały mi ręce. — Dokąd pojechałeś, kiedy stąd wyszłam?

— Donikąd. Odstawiłem wóz na szczyt wzgórza, ukryłem go w zaroślach, a potem wróciłem tutaj i przygotowałem magnetofon. Kiedy przyjechałem wcześniej, znalazłem ciało

Lilian, ale ponieważ liczyłem na to, że Erie się tu zjawi, postanowiłem nagrać jego wyznanie. Niestety ustawiłem aparat w salonie, a wy przenieśliście się na górę, do sypialni. Musiałem więc opuścić swoją kryjówkę w szafce pod schodami i pójść za wami z całym sprzętem na górę... Przygotowywałem się do tego przez cały tydzień. Erie miał rację podejrzewając, że ten służbowy weekend to fikcja, mylił się jednak zakładając, że Lilian o tym wiedziała. Otóż nie wiedziała. Chciałem poddać maleńkiej próbie oboje Jantzenów, bo uważałem, że oboje maczali palce w zabójstwie Therese. Wymyśliłem zatem wizytę przedstawicieli Remy International, żeby zwabić ich do swojego domku. Uznałem, że tutaj, złapani w pułapkę na tym odludziu, prędzej przyznają się do winy, zwłaszcza że grób Therese znajduje się kilka kroków stąd, na końcu ogrodu.

— Nic dziwnego, że tak skwapliwie chciałeś się mnie dziś rano pozbyć!

— Tak. Właśnie znalazłem ciało Lilian i usiłowałem zaplanować swój następny krok. Domyślałem się, że lada chwila zjedzie tu Erie. Przepraszam cię za moją szorstkość, ale bałem się, że coś może pójść nie tak. Sporo ryzykowałem, nie zgłaszając sprawy na policję. Kiedy dowiedziałem się, że Therese nie żyje i że Erie wywiózł ciało z mieszkania, żeby się go pozbyć, od razu wiedziałem, że gdy je znajdą, stanę się podejrzanym numer jeden. A jeśli policja by uwierzyła, że coś mnie łączy z Giną, ona stałaby się podejrzaną numer dwa. Therese była zazdrosna, znana z urządzania obrzydliwych scen. Po jej śmierci podejrzenie natychmiast padłoby na Ginę i na mnie, nie na Jantzenów, którzy z pozoru nie mieli żadnych powodów, żeby ją zabić. Dysponowałem kluczem do mieszkania Jantzenów, no i nie miałem żadnego alibi na sobotni wieczór. Policja dopatrzyłaby się motywu, środka i sposobności do popełnienia zbrodni. To samo dotyczyło Giny... była fizycznie obecna na miejscu zbrodni, jej obecność dałoby się potwierdzić rozmową telefoniczną, którą odbyła z Nowym Jorkiem, oraz twoim zgłoszeniem tej rozmowy w Scotland Yardzie.

— Co Gina zrobiła po rozmowie ze mną? I dlaczego tak nagle przerwała połączenie?

— Zdawało jej się, że słyszy, jak otwierają się drzwi wejściowe, ale to był fałszywy alarm... hałas z mieszkania pod spodem. Zorientowała się dopiero po odłożeniu słuchawki, kiedy i tak przerwała połączenie. Wzięła się w garść, zrozumiała, że musi natychmiast uciekać. Opowiadała mi, że wpadła w panikę, gdy tylko Erie wyszedł z ciałem, toteż zadzwoniła do ciebie, nawet nie zastanawiając się nad tym, co robi.

— To mi pasuje do Giny — powiedziałam drżącym głosem.

— Kiedy rozłączyła się z tobą, wybiegła z mieszkania, znalazła najbliższą budkę i wykręciła mój numer. Poza Jantzenami byłem jedynym człowiekiem, jakiego знаła w Londynie. Kazałem jej natychmiast przyjechać do swojego mieszkania. Posłuchała mnie. Doszliśmy do wniosku, iż Jantzenowie domyśla się, że za dużo widziała, uznałem więc, że musi się ukryć i zaniechać wszelkich kontaktów. Nazajutrz z samego rana przywiozłem ją tutaj, bo wiedziałem, że Jantzenowie do końca tygodnia będą siedzieli w Londynie.

— Przecież sprawdzaliśmy w domku! — odezwał się nieoczekiwanie Erie. — Przyjechałem tu w poniedziałek samochodem...

— Na szczęście Gina zdążyła przedtem wyjechać. W niedzielę wieczorem znalazła ciało Therese, podobnie jak Claire znalazła je dziś rano. Tak ją to rozstroiło, że natychmiast wezwała taksówkę i udała się do Dorking, gdzie zatrzymała się w hotelu. Próbowwała mnie złapać, ale ja już wyjechałem do Paryża... Musiałem tam pojechać w pilnych interesach, zresztą za wszelką cenę chciałem zachowywać się normalnie, jak gdyby nigdy nic. Gina omal nie napisała do mnie do Paryża, ale przypomniała sobie, że w środę rano mam wrócić do Londynu, toteż list do Paryża mógłby się ze mną minąć. Napisała więc na mój domowy adres do Londynu, żebym zaraz po powrocie wiedział, gdzie jest i jak się z nią mogę skontaktować.

Kiedy otrzymałem list Giny, kazałem jej przyjechać do mojego mieszkania do Londynu. Uznałem, że nigdzie indziej nie będzie bezpieczna. Po powrocie zacząłem przygotowywać tę inscenizację w domku. Wiedziałem już, gdzie się znajduje ciało Therese, i byłem przekonany, że uda mi się dowieść naszej niewinności, a zarazem winy Jantzenów. Zdziwiłem się, kiedy nie zastałem tutaj Lilian. Zgodnie z naszą umową miała przyjechać wczoraj wieczorem, żeby wszystko przyszykować. Zaraz po przyjeździe chciałem jej powiedzieć, że w ostatniej chwili firma Remy International odłożyła spotkanie na później, i

zapropnować wspólny obiad z Erikiem, zanim wrócimy do Londynu. Po przyjeździe Erica miałem wygłosić swój akt oskarżenia, który nagrałbym na magnetofon. Wszystko starannie zaplanowałem, więc nieobecność Lilian bardzo mnie wzburzyła. Pod wpływem impulsu postanowiłem przeszukać dom i kiedy otworzyłem drzwi do szafy na górze, znalazłem ją martwą w środku.

Erie poruszył się w fotelu pod kominkiem. Zerwałem się nerwowo, ale on po prostu zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach, jak gdyby na samą wzmiankę o Lilian i jej śmierci oddalił się od nas, opuszczony, zamknięty w swoim żalu i rozpacz.

Zastanawiałam się, kiedy przyjedzie policja. Muszą już chyba być w drodze! Obracałam bez końca filiżankę w palcach, lecz kiedy znów spojrzałam na Erica, zobaczyłam, że podrywa się i podnosi nagle wzrok.

— Co to za hałas? Garth nawet nie drgnął.

— Zdawało mi się, że słyszę hałas w kuchni...

— Nie ruszaj się! — Garth wymierzył w niego broń. Stał odwrócony plecami do kuchni. — Nie myśl, że nabierzesz mnie na taką sztuczkę.

Znów się zjeżyłam, wszystkie mięśnie miałam napięte. Obejrzałam się na drzwi do kuchni i filiżanka wyslizgnęła mi się ze spoconych rąk, bo ku mojemu przerażeniu klamka zaczęła się ruszać.

Krzyknęłam.

Garth okręcił się na pięcie, ale nie dość szybko. Drzwi były otwarte na oścież.

— No dobra, Cooper — odezwał się zimny, twardy głos, który z trudem rozpoznałam. — Odłóż broń.

Patrzyłam na przybysza nie wierząc własnym oczom. Przede mną stał Warren Mayne.

Wszystko rozegrało się tak błyskawicznie, że dzisiaj, z perspektywy czasu, trudno mi wyraźnie przypomnieć sobie tę scenę. Pamiętam tylko, że krzyczałam coś do Warrena; pamiętam, jak Garth, zaskoczony, opuścił na chwilę pistolet... a wtedy, w ułamku sekundy, Erie rzucił się na niego i obaj zaczęli walczyć o broń.

Warren coś krzyknął, lecz żaden z nich nie zwrócił na niego uwagi.

— Pomóż mu... rozdziel ich... — Sama nie wiedziałam, co mówię. Wyrwałam się naprzód, ale zanim doskoczyłam do Gartha, Warren rzucił ostro:

— Claire, nie podchodź. Cooper, rzuć broń, bo...

— Nie... nie... — wyjąkałam.

Mój własny głos zabrzmiał mi w uszach piskliwie i histerycznie.

Garth poślizgnął się na dywanie i zatoczył w bok na stół. Pistolet wypadł mu z ręki, okręcił się w powietrzu i upadł na dywan kilkanaście centymetrów od prawej ręki Erica.

Krzyknęłam.

— W porządku — rzucił Warren, gdy Erie złapał broń. — A teraz...

Kiedy Erie pociągnął za spust, rozległ się ogłuszający wybuch. Poczulałam gryzący zapach dymu, zobaczyłam grozę na twarzy Warrena, ale zanim zemdlalam, ujrzałam jeszcze, jak pistolet wypada Ericowi z dłoni i krew ciurka mu z ust.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy odzyskałam przytomność, w pokoju roiło się od policjantów. Ciało Erica było zakryte prześcieradłem, nie widziałam już więc jego twarzy. Warren, blady, oszołomiony, tłumaczył bezradnie nie wiadomo komu:

— Nic nie rozumiem. Myślałem... — nie zdobył się jednak na to, żeby dokończyć.

Głowa mi pękała, w ustach zaschło, ktoś trzymał mnie w ramionach, jakbym była kruchym naczyniem z porcelany kostnej. Ocknęłam się i spojrzałam w górę. Leżałam na kanapie w stylu regencji, z głową na piersi Gartha.

— Masz — powiedział. — Wypij.

Koniak znów palił mnie w gardle. W głowie mi się trochę przejaśniło, poczułam, że mogę się poruszać. Inspektor policji, widząc, że odzyskałam przytomność, podszedł i spytał uprzejmie, jak się czuję.

— Dziękuję. Jako tako — Odpowiedziałam z pewnym wysiłkiem.

— To świetnie. Postaramy się jak najprędzej wziąć od pani oświadczenie, a potem ktoś odwiezie panią do domu. Do kogo należała broń samobójcy? Do pana, panie Cooper?

— Tak.

— Czy mógłbym zobaczyć pańskie pozwolenie na broń? Proszę mi wybaczyć, to zwykła formalność.

— Bardzo proszę. — Wstał, podłożył mi delikatnie poduszki pod głowę, nachylił się, żeby sprawdzić, czy mi jest wygodnie. Spotkaliśmy się wzrokiem. Uśmiechnęłam się niepewnie i od razu poczułam się lepiej.

— A teraz pan, młody człowieku — zwrócił się inspektor do Warrena. — W pańskiej ręce też widziałem broń. Czy ma pan pozwolenie?

— Nie — odparł Warren stropiony. — Ale to nie jest angielski pistolet. Kupiłem go w Paryżu. Jestem obywatelem amerykańskim.

— Dalibóg — mruknął inspektor. — To doprawdy międzynarodowa afera. Dziękuję panu, panie Cooper — dodał, rzucając okiem na pozwolenie Gartha i zwracając mu dokument. — Teraz weźmiemy od państwa oświadczenia. Zaczniemy chyba od pani, panno Sullivan. Jeżeli oczywiście czuje się pani na siłach.

Przytaknęłam. Przeszliśmy do jadalni, gdzie usiadłam z inspektorem przy stole, a sierżant z notatnikiem i ołówkiem w ręce na fotelu w kącie. Odpowiadając na pytania inspektora, zrelacjonowałam mu całą historię od

początku do końca, od sobotniego telefonu Giny do Nowego Jorku. Inspektor słuchał, kiwał ze współczuciem głową, jak lekarz domowy, który udziela swojemu przyjacielowi rady. Ołówek sierżanta szeleścił jednostajnie po papierze.

Kiedy wreszcie skończyłam i nie miałam już nic do dodania, inspektor podziękował mi i powiedział, że każe jednemu ze swoich podwładnych odwieźć mnie do hotelu w Dorking.

— Wolałabym poczekać na pana Coopera — powiedziałam z zakłopotaniem. — Czy mogłabym tu zostać?

— Pan Cooper pewnie długo tu jeszcze zabawi, więc odradzam pani czekanie. Na pani miejscu wróciłbym do hotelu, żeby trochę odpocząć. Może chciałaby pani, żeby panią odwiózł pan Mayne? Nie będziemy go tu chyba długo trzymać.

Nie miałam dość sił, żeby się spierać, toteż ustąpiłam.

— Proszę z łaski swojej pozostać z nami w kontakcie — rzekł inspektor. — Będziemy musieli poprosić panią o podpis pod oświadczeniem, kiedy zostanie przepisane na maszynie. Wtedy będzie pani mogła przeczytać je w całości.

— Dobrze — odparłam. — Oczywiście.

Ktoś w salonie fotografował ciało. Zjawili się chyba kolejni policjanci. W domu roіło się od granatowych mundurów. Inspektor poprosił teraz do jadalni Warrena. Rozejrzałam się za Garthem, ale nigdzie go nie było. Weszłam do kuchni, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam go z trzema policjantami u podnóża ogrodu, przy grobie Therese.

Usiadłam znów na kanapie. Po około dziesięciu minutach Garth wrócił do salonu i natychmiast podszedł do mnie.

— Wszystko w porządku? Czy ktoś cię odwiezie do Dorking? — Spojrzał z odrazą na ciało, które nadal czekało na karetkę. — Sam bym cię odwiózł, ale nie mogę wyjechać, dopóki nie złożę oświadczenia przed policją.

— Chyba Warren mnie odwiezie. Inspektor zaproponował, że podrzuci mnie jeden z jego podwładnych, wolałam jednak poczekać.

Zamierałam dodać: „bo chciałam z tobą porozmawiać” — ale nie zdążyłam. W tej samej chwili z jadalni wyłonił się Warren. Wyglądał jakby bardziej dojrzałe, bardziej poważnie i miał bardziej zatroskaną minę niż kiedykolwiek.

— Chciałbym cię przeprosić — odezwał się, podchodząc do Gartha i stając przed nim na dywanie. — Sam nie wiem, jak mam to wyrazić. Gdyby Jantzen nie wycelował w siebie...

— Ale wycelował — odrzekł Garth, zmieszany tym otwartym przejawem emocji, chociaż była ona jak najbardziej szczerą. — Daj spokój... już po wszystkim.

— Tak, jednak gdybym nie zachował się jak dureń i wszystkiego nie popsuł...

— Czy mógłbyś odwieźć Claire do Dorking? Miała ciężki dzień. Moim zdaniem nie powinna tu być ani chwili dłużej. — Odwrócił się do mnie. Tak na mnie spojrzał, że serce mi podskoczyło. — Będziemy w kontakcie — powiedział.

— Dobrze, Garth.

— I nie waz się odlecieć wieczorem do Ameryki.

— Nie, Garth.

— Bo gdybyś wyjechała, poleciałbym za tobą nazajutrz rano.

Nie mogłam nic wykrztusić, ale zdobyłam się na uśmiech. Łzy napłynęły mi do oczu. Wszystko wokół błyszczało i lśniło mgliście w przyćmionym świetle lamp.

— Panie Cooper...? — odezwał się grzecznie inspektor za naszymi plecami. — Zechciałby pan teraz złożyć oświadczenie?

— Tak — odparł Garth. — Tak, jak najbardziej.

— Chodź, Claire. — Warren położył mi rękę na ramieniu. — Jedźmy stąd.

Wyszłam za nim powoli z domku. Było późne popołudnie, nadal lało, zapadł zmrok. Chłodny deszcz obmył mi policzki.

Warren zaprowadził mnie do małego niebieskiego, nie znanego mi samochodu.

— Przecież przyjechałam innym wozem — powiedziałam bezsensownie.

— Tamten później odbiorą stąd pracownicy agencji. A ten wynajęłam, żeby przyjechać tu za tobą.

Pomógł mi wsiąść, zamknął drzwi i obszedł samochód z drugiej strony, żeby zająć miejsce za kierownicą.

— Przecież mówiłam ci, że rozmawiałam z Giną w biurze Gartha — powiedziałam, odzyskując pamięć. — Szykowałeś się do wyjazdu do Londynu. Dlaczego nie wyjechałeś?

— Doszedłem do wniosku, że jesteś ze mną niezupełnie szczerą. — Włączył stacyjkę. — Zachowywałaś się tak dziwnie i taka byłaś roztrzęsiona. Kiedy poszłaś się położyć do swojego pokoju, zadzwoniłem do biura Gartha, żeby sprawdzić, czy była tam Gina. Sekretarka wzięła mnie za pomyłkę. Pobiegłem więc do ciebie, zapukałem, ale nie otworzyłaś. To mnie upewniło, że coś przede mną ukrywasz. Już na dworze przekonałem się, że samochód znikł. Nietrudno było się domyślić, że wybrałaś się gdzieś sama, a dokąd mogłaś pojechać, jak nie do domku Gartha? Wynająłem nie bez kłopotów kolejny samochód i przyjechałem tu za tobą. Nie miałem pojęcia, co knujesz, ale pomyślałem, że nie zaszkodzi sprawdzić.

— Powinnaś być do ciebie więcej zaufania — powiedziałam ze wstydem. — Ale wszystko świadczyło przeciwko Garthowi, a ja chciałam udowodnić sobie, że jest niewinny, zanim ci powiem, co odkryłam. — Zaczęłam mu opowiadać o tym, jak znalazłam ciało Therese w płytkim grobie, jak wróciłam wstrząśnięta do Dorking, próbowałam dodzwonić się do Gartha i trafiłam na Ginę. — Kazała mi natychmiast wracać do Londynu — powiedziałam. — Ale byłam na tyle głupia, że nie posłuchałam. Uznałam, że muszę się zobaczyć z Garthem w domku i dowiedzieć się, o co tu chodzi.

— Nie rozumiem tylko, skąd ci się wzięło przekonanie, że Garth jest niewinny — powiedział Warren. — Czy to kobieca intuicja?

— Owszem — odparłam z grymasem. — Tak to chyba można nazwać.

Sunęliśmy powoli w dół wąską krętą drogą. Właśnie mijaliśmy miejsce, w którym spotkałam Erica. Znów spojrzałam na tę piękną okolicę, ale w deszczu wyglądała mgliście, a ciemności nie pozwalały wiele dojrzeć.

— Prawdopodobnie przypadłaś mu do gustu — zaryzykował ostrożnie Warren po chwili milczenia.

— Chyba tak — przyznałam.

— Bo pewnie nie mówiłby, że poleciałby za tobą do Ameryki, gdyby interesował się Giną.

— Pewnie nie.

Aha, więc o to mu chodziło!

— Może nigdy nie doszło do niczego między nim a Giną. Może zbyt dużą wagę przykładalem do ich przyjaźni. Może to była tylko niezobowiązująca znajomość.

— Może.

Najwyraźniej podniosło go to na duchu. Swój nowy, bardziej dojrzały, bardziej zatroskany wyraz twarzy miał do skrzyżowania z szosą pod Abinger Hammer, a dalej nucił już pod nosem przez całą drogę do Dorking.

Miasteczko spowite mgłą i wczesnym półmrokiem wyglądało tajemniczo, trochę niesamowicie i bardzo staro. Nawet dwudziestowieczny ruch kołowy nie ujmował wiekowości West Street z jej starymi domami, małym, wzniesionym przed wiekami pubem i kocimi łbami w bocznych uliczkach. Wjechaliśmy na High Street, minęliśmy nowoczesne sklepy, po czym znów zanurzyliśmy się w historię, kiedy wjechaliśmy pod łukiem na podwórzec zajazdu.

— Ciekawe, czy dostaniemy coś do zjedzenia — powiedział Warren. — Na kolację jeszcze za wcześnie, ale może podają herbatę.

— Napiałabym się kawy.

Weszliśmy do hotelu i podeszliśmy przez hol do recepcji. Ktoś się właśnie meldował, jakaś wysoka, smukła blondynka ze znajomą burzą włosów wystających spod okropnego kapelusza. Miała na sobie ohydny płaszcz, koszmarne pończochy i pantofle na niskich obcasach, a mimo to wyglądała prześlicznie.

Owionął nas zapach paryskich perfum.

Oboje jak na komendę otworzyliśmy usta, ale ona odwróciła się do nas, zanim zdążyliśmy coś powiedzieć, i uśmiechnęła się na nasz widok promiennym, olśniewającym uśmiechem.

— Och, kochani! — zawołała rozedrganym głosem. — Co za rozkosz znów was oboje widzieć! Przepraszam, że sprawiłam wam tyle kłopotu...

— Nie uwierzysz — opowiadała Gina — ale nic podobnego by się nie wydarzyło, gdyby nie moja ciekawość. Pamiętasz pannę Stick, naszą nauczycielkę ze szkoły niedzielnej? Zawsze mówiła mamie, że ciekawość mnie zgubi, i miała rację. Omal mnie nie zgubiła.

Było to godzinę później. Po naszym pełnym zaskoczenia i zamętu spotkaniu w recepcji hotelu, kiedy dowiedziałam się, że podczas mojego przesłuchania Garth zadzwonił do Giny, iż może już bez obaw wyjść z ukrycia, jeszcze przez jakiś czas rozmawialiśmy w holu. Potem przeprosiłam Ginę i Warrena i poszłam na górę do swojego pokoju. Po dziesięciu minutach Gina również przyszła, ułożyła się z wdziękiem w nogach łóżka, ja zaś, leżąc oparta o poduszkę, znów zaczęłam grać rolę doradczyni, filozofki i przyjaciółki.

— Chcesz powiedzieć — odparłam udając powagę — że wyłącznie ciekawość doprowadziła cię do zguby?

— Wyłącznie — potwierdziła Gina z przekonaniem.

— Słowo honoru. Bo wiesz, kiedy w sobotę wieczór znalazłam się w mieszkaniu Jantzenów, czekając na Erica, na obiecane drinka, rozmowę o Dinie di Lasci, o włoskim przemyśle filmowym i tak dalej, kiedy już Lilian przeprosiła mnie, wybiegła i zostałam sama... Nie miałam nic innego do roboty, więc zaczęłam się zastanawiać, co łączy Gartha z Lilian... a musisz przyznać, kochana, że trudno uwierzyć, aby taki mężczyzna jak Garth, pracując z kobietą, ograniczył kontakty do płaszczyzny czysto zawodowej, zwłaszcza że Lilian z tą swoją macierzyńską zaborczością była dość atrakcyjna... no więc... — Zgubiła się w tym zdaniu labiryncie, zaczerpnęła powietrza i rozpoczęła od nowa: — No więc pomyślałam sobie, że rozejrzę się troszeczkę po domu. Nie żebym miała od razu węszyć ani nic takiego, ale tak tylko chciałam zerknąć...

— Co spodziewałaś się znaleźć? — spytałam zaciekawiona. — Listy miłosne, na wpół spalone w kominku? Kompromitujące zdjęcia?

— Nie, właściwie to nie... Sama nie wiem, co spodziewałam się znaleźć, ale pomyślałam sobie, że to może być ciekawe, ponieważ zaś nie miałam nic lepszego do roboty...

— ...więc zaczęłaś myszkować, a kiedy zniknęłaś z pola widzenia, Erie otworzył drzwi wejściowe i krzyknął do Lilian, że nie znalazł kufra na ciało.

— Czyli już wiesz — powiedziała Gina zawiedziona.

— No tak, oczywiście. Ale kochana, wyobrażasz sobie...? Byłam w ich sypialni małżeńskiej i kiedy to usłyszałam, nie mogłam się poruszyć, a co dopiero odezwać. I wtedy przyszło mi do głowy, że Erie może wejść do sypialni! Schowałam się za drzwiami i podglądałam przez szparę, a on otworzył drzwi do pokoju po przeciwnej stronie, chyba gościnnego, i wtedy zobaczyłam... no wiesz, ciało... od razu oczywiście poznałam Therese, bo kiedy przyleciałam poprzedniego dnia z Garthem, urządziła nam okropną scenę na lotnisku. Zamurowało mnie ze strachu. Mogłam jedynie patrzeć. Erie wyjął z szafy walizkę i... nie, nie mogę nawet o tym mówić. To było takie straszne. Ciągnęło się to godzinami... chociaż w rzeczywistości zabrało mu chyba tylko kilka minut... wyszedł z walizką i znów znalazłam się sama. I wtedy formalnie wpadłam w obłąd. Chciałam

krzyczeć, ale nie mogłam. Omal nie wybiegłam z domu, jednak pomyślałam sobie, że gdyby wrócił po coś, czego zapomniał, spotkalibyśmy się w windzie, no więc zmusiłam się do tego, żeby odczekać jeszcze kilka minut. Ale byłam tak przerażona, że musiałam z kimś porozmawiać... z kimkolwiek... najlepiej...

— ...ze mną — dokończyłam za nią.

— Och, Claire, ty zawsze jesteś tak niesamowicie opanowana, taka rozsądna i taka zrównoważona...

— Tak bardzo zrównoważona, że rzuciłam się na oślep w ten wir, żeby też się zabawić.

— Przeraziłam się oczywiście, kiedy usiłowałam się dodzwonić do ciebie później i nie mogłam się połączyć. Jak ci już mówiłam przez telefon, w sobotę wieczór dzwoniłam jeszcze dwa razy od Gartha, ale za każdym razem było zajęte...

— Wydzwaniałam do Scotland Yardu, żeby wytropiono twój telefon.

— W niedzielę znowu miałam dzwonić, ale Garth zawiózł mnie do swojego domku, żebym tam się ukryła, i znalazłam ciało w ogrodzie... O raju! Wpadłam potem w takie dygotki, że nie mogłam się nawet zdobyć na telefon. Wreszcie w poniedziałek spróbowałam jeszcze raz... nikt nie odpowiadał...

— Byłam już w drodze do Paryża.

— A potem Garth mi powiedział, że znalazł cię w Paryżu! Mówię ci, Claire, omal się nie rozplakałam. Kiedy pomyślałam, że musiałas wydać kupę forsy... i to dlatego, że okazałam się egoistką i tak bezmyślnie cię w to wciągnęłam...

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — rzuciłam pojednawczo. — Przynajmniej odwiedziłam Europę.

— Wcale tak nie uważam — sprzeciwiła się Gina. — Teraz nie będzie cię stać na ten twój wymarzony czerwony samochódzik...

Przypomniałam sobie mgliście, że kiedyś pomysł kupna samochodu wydawał mi się taki ważny.

— ...a mnie ominęło kilka ważnych sesji zdjęciowych. Warren pewnie stracił pracę, bo wyjechał tak nagle, właściwie bez uprzedzenia, żeby mnie szukać... Ale przyznaj, że to urocze z jego strony, żeby zadać sobie tyle trudu! Ten Warren ma w sobie coś krzepiącego. Kiedy mówi, że poruszy niebo i ziemię, od razu się czuje, że nie rzuca słów na wiatr... w każdym razie nie mówi tego po to, żeby komuś zaimponować. Kiedy zobaczyłam

go z tobą na dole w hotelu, aż mnie coś ścisnęło w gardle. W końcu miło jest wiedzieć, że komuś tak bardzo na tobie zależy.

— Hm — mruknęłam.

— I wiesz co, Claire, z ręką na sercu, gdybym miała ci wyznać szczerą prawdę...

— No to już wyznaj.

— Garth trochę mnie rozczarował. A tak mnie wcześniej urzekł w Paryżu! Ale kiedy musiałam u niego mieszkać, zrozumiałam, że mnie nudzi. Czy to nie straszne? Jednak to prawda. Najpierw sądziłam, że to takie romantyczne, że musi mnie ukrywać i że przez kilka dni będę tak blisko niego, ale on, o dziwo, stracił wszelkie zainteresowanie moją osobą. Wiem oczywiście, że miał wtedy sporo na głowie, mimo to jednak... zresztą mniejsza o to. Ale nawet kiedy był w domu i odpoczywał, to wołał czytać i słuchać kwartetów Beethovena czy czegoś takiego. Nie ma nawet telewizora. Staralam się nie być ciężarem... gotowałam mu, wysprzątałam mieszkanie, ale... no wiesz, do niczego nie doszło. Na pewno gdyby Warren był na jego miejscu...

— Owszem — przyznałam jej rację. — Warren jest dla ciebie bardziej odpowiedni.

— Od początku radziłaś mi za niego wyjść, prawda?

— Pamiętam, że raz czy drugi o tym wspomniałam...

— I chyba tak zrobię. Czuję, że po tym wszystkim chcę się ustatkować, prowadzić dom i mieć sześcioro dzieci.

— Poczekaj, aż ci to przejdzie — poradziłam, naprawdę trochę o nią niespokojna. — A potem upewnij się, czy nadal chcesz za niego wyjść. Bo w końcu...

Rozległo się pukanie do drzwi. Gina zerwała się, żeby otworzyć.

— Warren!

— Gina!

Spojrzeli na siebie roziskrzonym wzrokiem. Spuściłam nogi z łóżka i poszłam wyrzucić przez okno. Na dworze było ciemno, nadal padało, światła miasteczka były zamglone.

— A tak nawiasem, Warren — spytałam nagle, nie odwracając się — dlaczego nie powiedziałeś mi, że w ubiegły weekend byłeś w Anglii?

— W ubiegły weekend? — powtórzyła po mnie Gina. — W Anglii? To prawda, Warren?

Obejrzałam się. Miał zawstydzoną minę.

— Skąd wiesz?

— Widziałam stemple w twoim paszporcie. Dlaczego nie powiedziałeś mi, że byłeś w Londynie?

— Bo... — Oblał się pąsem. — Chyba postąpiłem idiotycznie. Martwiłem się o Ginę... i nie ufałem Garthowi. Poleciałem za nimi do Londynu i próbowałem na własną rękę przeprowadzić amatorskie śledztwo w sprawie Gartha. Kiedy dowiedziałem się, że ma narzeczoną, a nikt nie wie, czy nadal jest z nią zaręczony czy nie, zadzwoniłem do Therese i umówiłem się na sobotę wieczór. Nie zjawiała się... bo już nie żyła... Potem uznałem, że robię z siebie idiotę, toteż najlepiej będzie, jeżeli wrócę do Paryża. Chyba obleciał mnie strach. Ale nie chciałem ci o tym mówić, bo to było takie głupie i...

— Wcale nie było takie głupie! — zaproponowała Gina z oburzeniem. — To wprost cudowne, że tak się o mnie troszczyłeś! Kiedy pomyślę, ile sobie zadałeś trudu, żeby...

Patrzyli na siebie z podziwem i osłupieniem, jak gdyby żadne z nich nie mogło uwierzyć w ten bajkowy hit szczęścia, który ich spotkał. Zaczęłam się czuć wyraźnie niepotrzebna.

— No dobrze — zaczęłam — skoro już sobie wszystko wyjaśniliśmy...

Zadzwonił telefon. Gina, która stała najbliżej, podniosła słuchawkę.

— Halo? A, cześć! Czy wszystko... tak, dziękuję. Tak, kogo? Claire? Tak, stoi tu obok. Już ci ją daję. — Odwróciła się do mnie. — To Garth — oznajmiła i dodała zdumiona: — Chce z tobą mówić. Sądzisz, że coś nowego wynikło?

— Nie — odpowiedziałam. — To, co wynikło, trwa już co najmniej od czterech dni.

I podeszłam do słuchawki.

— Powinienem był pozwolić Ginie porozmawiać z tobą przez telefon, kiedy przyjechałaś do Londynu — powiedział do mnie Garth. — Masz całkowite prawo złościć się na mnie za to, że nie byłem z tobą szczery i nie przyznałem się, że wiem, gdzie ona jest. Jednak sytuacja była tak wyjątkowa i tak ryzykowna, że nie chciałem cię w to wciągać. Sądziłem, że im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej, bo wtedy ani na siebie, ani na nas nie ściągniesz nieszczęścia. Ale myliłem się.

Była sobota wieczór, minął dokładnie tydzień, odkąd siedziałam w swoim mieszkaniu na Manhattanie i usiłowałam wytropić telefon Giny z Europy. Garth zaprosił mnie na kolację do podniebnej restauracji, daleko

w dole pod nami ciągnęła się w nieskończoność panorama migoczących świateł Londynu, arterie tętniącej życiem metropolii liczącej sobie prawie dwa tysiące lat.

— Wybaczyłaś mi już ten brak szczerości?

— Byłeś szczery w ważnych sprawach. Tylko to się liczy.

— Ale mi nie wierzyłaś! Skąd twoje przekonanie, że wolę Ginę od ciebie?

— Tak myślałeś?

Jak mogłam mu powiedzieć, że zakładałam, iż każdy atrakcyjny mężczyzna woli Ginę ode mnie?

— Owszem, tak! Teraz ty nie jesteś zupełnie szczerą! Przez cały czas sądziłaś, że moje uczucia do ciebie są udawane...

— Bo to wszystko stało się tak nagle! A tyś się przecież spotykał z Giną!

— Kilka niezobowiązujących wieczorów w Paryżu, żeby zapomnieć o Thérèse...

— I pojechałeś z nią do Londynu!

Gdy już raz zaczęłam, nie mogłam przestać. Chyba to te moje belferskie nawyki.

— Dzięki przemyślanej manipulacji z jej strony...

— I potem wylądowała w twoim mieszkaniu, gotowała ci...

— Powiedzmy, że usiłowała gotować. Mam nadzieję, że Warren ma smykałkę do kuchni, bo w przeciwnym razie oboje umrą z głodu. A tak nawiasem, jak u ciebie z gotowaniem?

Pod nami, w dole, jasne światła Londynu punktowały ciemności. Kelner przechodząc zatrzymał się, żeby nam dolać szampana z butelki stojącej w kubelku z lodem.

— No więc — powiedziałam — umiem gotować bardzo, ale to bardzo klasyczne jajka na miękko.

— Naprawdę? W sam raz na śniadanie. — Uniósł kieliszek w moim kierunku, uśmiechnął się, a jego jasne oczy przestały być nieprzeniknione.

— Za twoje klasyczne jajka na miękko! — rzucił swobodnie. — I za pierwszą sposobność, żebym mógł ich skosztować!